

NORA ROBERTS  
SPIRALA CZASU

SPIRALA CZASU

Satime

*Spirala czasu*

**Nora Roberts**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znał ryzyko i chciał je podjąć. Jeden fałszywy krok, jedna nieprecyzyjna komenda i może być po wszystkim, w zasadzie zanim cokolwiek się zacznie. Zawsze jednak traktował życie jak hazard. Często - być może zbyt często - działał impulsywnie, lekkomyślnie pakując się w niebezpieczne sytuacje. Tym razem jednak starannie wyliczył, jakie ma szanse.

Poświęcił dwa lata życia na obliczenia i symulacje, na prace konstrukcyjne. Rozważył, obliczył i przeanalizował każdy szczegół. Gdy chodziło o pracę, potrafił zachować cierpliwość. Wiedział, co mogłoby się stać. Nadszedł czas, by się przekonać, w jakim stopniu teoria pokryje się z praktyką...

Niektórzy współpracownicy uważali, że przekroczył cienką linię dzielącą geniusz od szaleństwa. Nawet entuzjaści jego teorii mieli obawy, że posuwa się za daleko. Opinie innych zupełnie go nie interesowały, liczyły się wyłącznie rezultaty. A wynik

tego najważniejszego doświadczenia w jego życiu będzie miał wymiar osobisty. Bardzo osobisty.

Za wielkim pulpitem sterowniczym wyglądał bardziej jak korsarz przy kole sterowym niż jak naukowiec u progu wielkiego odkrycia. Nauka stanowiła jednak treść jego życia. Sprawiała, że stał się prawdziwym odkrywcą, jak Kolumb czy Magellan.

Wierzył w przypadek, w powszechnym znaczeniu tego słowa, w nieprzewidywalne następstwo pewnych zjawisk i bytów. Teraz miał to udowodnić. Poza obliczeniami, technologią i wiedzą potrzebował jeszcze tego, co jest niezbędne wszystkim odkrywcom. Szczęścia.

Leciał sam, w ogromnym cichym oceanie kosmosu, poza uczęszczanymi trasami transportowymi i komunikacyjnymi. Takiego poczucia spełnienia marzeń nie można osiągnąć w laboratorium. Po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży uśmiechnął się. Spędził w laboratoriach zbyt wiele czasu.

Samotność działała uspokajająco, nawet kusiła. Już niemal zapomniał, jak to jest przebywać tylko w towarzystwie swych myśli. Gdyby chciał, mógł zwolnić, cieszyć się samotnością tak długo, jak miałyby na to ochotę.

Tu, na krawędzi świata opanowanego przez człowieka, gdzie jego planeta zmalała do rozmiarów widocznej na niebie gwiazdy, miał czas. A czas stanowił klucz do wszystkiego.

Jeszcze raz sprawdził wszystkie istotne elementy - prędkość, trajektorię, odległość - wcześniej bardzo starannie obliczone. Konsola rzucała zielonkawą po-

światę, roztaczała aurę tajemniczości wokół ostrych rysów pilota.

Koncentrując się, przymrużył oczy i skierował statek w stronę Słońca. Wiedział, co się stanie, jeśli pomylił się w obliczeniach choćby o mikron. Grawitacja olbrzymiej gwiazdy przyciągnie go i zniszczy. W czasie krótszym od sekundy statek i pilot przestaliby istnieć.

Całkowita, jednoznaczna klęska, pomyślał, patrząc na Słońce wypełniające już cały ekran. Albo całkowite zwycięstwo. Wspaniały widok. Jarzące, wirujące światło wypełniało kabinę i oślepiało. Nawet ze znacznej jeszcze odległości, Słońce miało w sobie siłę życia i śmierci. Jak gorąca kobieta.

Opuścił zasłonę ekranu. Zwiększył szybkość, patrząc na wskaźnik dochodzący do punktu wyznaczającego granice możliwości statku. Temperatura na zewnątrz gwałtownie rosła. Czekał, wiedząc, że intensywne światło odizolowane teraz ochronnym ekranem uszkodziłoby mu rogówki. Człowiekowi pędzącemu w kierunku Słońca grozi ślepotą i zniszczenie.

Czekał spokojnie, gdy rozległ się pierwszy brzęczyk ostrzegawczy, czekał, gdy statek zanurkował i zawirował, miotany wypadkową pędu i siły ciężkości. Spokojny głos komputera informował o prędkości, pozycji i co najważniejsze, o czasie.

Mimo dudniącego w uszach pulsu, ręce pilota pozostały spokojne i pewne. Z pracujących pełną mocą silników wydobywały jeszcze trochę dodatkowej prędkości.

Leciał w kierunku Słońca, tak szybko, jak nikt dotąd.

Zacisnął zęby i cofnął dźwignię do pozycji zero. Statek zadygotał, przechylił się. Potem opadł. Raz, drugi, trzeci, zanim pilot zdołał to skorygować. Siła ciągu wcisnęła go w fotel. Chwycił mocniej przyrządy sterownicze. Gdy walczył o utrzymanie kursu, kabina eksplodowała dźwiękiem i światłem.

Pociemniało mu przed oczami. Pomyślał, że zamiast spalić się w Słońcu, zostanie zmiażdżony przeciążeniami. Po chwili jednak statek pomknął naprzód, jak strzała wypuszczona z łuku. Starając się odzyskać oddech, pilot obrał kurs i ruszył ku swemu przeznaczeniu.

Na Północnym Zachodzie największe wrażenie wywarła na Jacobie przestrzeń. Jak okiem sięgnąć, w każdym kierunku rozciągały się lasy, skały i niebo. Ciszę zakłócał tylko szelest małych zwierząt buszujących w poszyciu i śpiew ptaków nad głową. Ślady na otaczającym statek śniegu świadczyły o obecności także większych zwierząt. Co ważniejsze, śnieg dowodził, że obliczenia okazały się niedokładne, co najmniej o kilka miesięcy. Na razie jednak Jacob cieszył się, że jest w przybliżeniu tam, gdzie chciał się znaleźć. No i że w ogóle żyje.

Wrócił do statku, by odnotować fakty i wrażenia. Oglądał fotografie i filmy tego miejsca i czasu. Prze studiował starannie wszystkie dostępne informacje o końcu dwudziestego wieku. Ubrania, język, klimat społeczny i polityczny. Jako naukowiec był zafascynowany. Jako człowiek nieco rozbawiony, ale też nie na żarty przerażony. I zakłopotany, ilekroć przypomi-

nał sobie, że jego brat wybrał to życie, w prymitywnych warunkach, w niezbyt budującej przeszłości. Z powodu kobiety.

Jacob otworzył schowek i wyjął fotografię. Przykład technologii dwudziestego wieku, pomyślał z rozbawieniem. Najpierw obejrzał Caleba. Brat miał na twarzy swój zwykły, niewymuszony uśmiech. Siedział wygodnie na stopniach prowadzących do małej drewnianej budowli, ubrany w obszerne dżinsy i sweter. Obejmował ramieniem kobietę. Kobietę o imieniu Libby, niewątpliwie atrakcyjną. Może nie tak efektowną, w jakich Cal zwykle gustował, lecz z pewnością niebrzydka.

Tylko co w niej było takiego, że Cal porzucił dla niej dom, rodzinę i wolność ?

Jacob wiedział już od dawna, że bardzo jest ciekaw tej całej Libby. Wrzucił zdjęcie z powrotem do schowka. Sam ją pozna, sam oceni. Potem da Calowi porządko kopniaka na rozpęd i zabierze go do domu.

Najpierw jednak musiał zastosować pewne środki ostrożności. W drodze z kokpitu do sypialni zdjął skafander. Dżinsy i bawełniany sweter, które kosztowały go fortunę, czekały zwinięte w plastikowej torbie. Doskonała podróbka, pomyślał, podciągając spodnie. No i, trzeba uczciwie przyznać, bardzo wygodne i miłe w dotyku.

Przebrany, przyjrzał się sobie w lustrze. Gdyby spotkał ludzi podczas swego krótkiego, jak miał nadzieję pobytu, nie chciałby się wyróżniać. Nie miał ani czasu, ani ochoty na wyjaśnianie wszystkiego ludziom, którzy byli zbyt prymitywni, by cokolwiek

pojąć. Nie życzył też sobie rozgłosu w mediach, tak nagminnego w epoce, do której przybył.

Choć nie zamierzał tego otwarcie przyznać, szary sweter i granatowe džinsy bardzo mu odpowiadały. Doskonale układały się na ciele, nie krępowały ruchów. Najważniejsze, że w tym ubraniu wyglądał jak człowiek z dwudziestego wieku.

Ciemne włosy niemal sięgały mu ramion. Jak zwykle były w nieładzie, gdyż Jacob nie zwracał sobie głowy troską o fryzurę. Stanowiły jednak ładną oprawę trochę nadto ostrych rysów twarzy. Jacob zabawnie marszczył brwi. Miał ciemnozielone oczy. Usta, najczęściej ponuro zaciśnięte, gdy ślezczał nad obliczeniami, potrafiły się jednak czarująco uśmiechać.

Teraz się nie uśmiechał. Zarzucił na ramię torbę i wyszedł na zewnątrz.

Ufając bardziej słońcu niż zegarkowi, uznał, że minęło już południe. Niebo było zadziwiająco puste. Czuł się dziwnie, stojąc pod niebieską kopułą, na której rysował się jedynie biały ślad w postaci smugi, pozostawiany, jak wiedział, przez archaiczne środki transportu. Nazywają to samolotami, przypomniał sobie.

Jak cierpliwi musieli być ludzie, pomyślał. Siedzieli obok innych, ramię przy ramieniu, czekając całymi godzinami na pokonanie trasy z jednego wybrzeża na drugie albo z Nowego Jorku do Paryża. Potem ta sama męczarnia podczas powrotu...

Oderwał wzrok od nieba i ruszył. Miał szczęście, że słońce świeciło jasno i nie było zbyt zimno. Nie zadbał o żadną kurtkę czy inną ciepłą odzież. Czuł pod

stopami miękkiego śniegu. Wiatr sprawiał, że na początku trochę marzł, potem rozgrzał się marszem.

Był naukowcem z powołania, często zatapiał się w pracy przez całe godziny i dni. Nie zaniedbywał jednak swego ciała; utrzymywał je w takiej samej sprawności, jak umysł.

Spojrzał na naręczny komputer, wskazujący teraz położenie. Cał zadbał przynajmniej o precyzyjne wskazanie miejsca lądowania statku i położenia domu tej Libby. Niemal trzysta lat później Jacob wydobył tam pojemnik zakopany przez brata i tę kobietę.

Jacob wystartował w roku 2255. Przebył przestrzeń i czas, żeby odnaleźć brata. I zabrać go do domu.

Gdy tak szedł, nie widział żadnych śladów człowieka ani eleganckich kurortów, które pojawiają się tu za sto lat. Tylko przyroda, wielkie połacie dziewiczej przyrody, nienaruszonej. Słońce malowało na śniegu cienie wysokich, majestatycznych drzew.

Mimo całej logiki tego eksperymentu i miesięcy przygotowań Jacob czuł się nieswojo. Stał na planecie, która była teraz dla niego bardziej obca niż Wenus. Wciągał w płuca powietrze; widział, jak przy wydechu zamienia się w parę. Czuł zimno na twarzy i dłoniach bez rękawiczek i oszałamiający zapach sosen.

A on sam miał się urodzić dopiero w dalekiej przyszłości.

Czy to samo odczuwał mój brat? Nie, myślał Jacob, on nie czuł podniecenia, smaku zwycięstwa. Przynajmniej nie od razu. Cał był zagubiony, ranny. Nie wybierał się tutaj, stał się mimowolnym więźniem

czasu, ofiarą okoliczności i losu. Zdezorientowany i samotny, dał się oczarować kobiecie.

Jacob zatrzymał się przy strumieniu. Nieco ponad dwa lata temu, przypomniał sobie, albo za dwieście lat, stałem tu w lecie. Strumień zmienił trochę bieg, lecz miejsce wyglądało podobnie.

Wtedy nie było śniegu, tylko trawa. Ale trawa odrasta, rok po roku, lato po lecie. Miał tego dowód. Właściwie sam był tego dowodem. Strumień później popłynął szybciej, tam gdzie teraz przebija się między skałą a grubą warstwą lodu.

Nieco oszołomiony ciszą i samotnością, nabrał w ręce trochę śniegu. Wtedy, gdy szukał pojemnika, także był sam. Z nieba dobiegał jednak hałas licznych pojazdów, kilka kilometrów dalej znajdowało się skupisko hoteli. Gdy odkopał skrzynkę, usiadł na trawie i rozmyślał.

Teraz też rozmyślał, tyle że stojąc. Gdyby zaczął kopać, natrafiłby na tę samą skrzynkę. A przecież kilka dni temu zostawił ją w domu rodziców. Skrzynka istniała tutaj, pod ziemią, tak samo jak w jego własnym czasie. Tak, jak istniał on.

Gdyby ją teraz wykopał i zaniósł do statku, nie odnalazłby jej w lecie, w dwudziestym trzecim wieku. Skoro tak, to jak mógłby się znaleźć tu teraz, żeby ją wykopać?

Interesująca łamigłówka. Ruszył, pozostawiając tę kwestię do późniejszego przemyślenia.

W końcu zobaczył domek. Nieważne, że widział go na fotografiach i filmowych symulacjach. Ten był prawdziwy, rzeczywisty. Z dachu zsuwały się wolno

płaty topniejącego śniegu. W oknach osadzonych w pociemniałym drewnie odbijało się słońce. Z komina ku błękitnemu niebu unosił się dym. Jacob widział dym i czuł jego zapach.

Zadziwiające, pomyślał. Czuł się jak dziecko, które znalazło pod choinką niezwykle prezent. Prezent należał do niego. Mógł go badać, analizować, składać i na powrót rozkładać poszczególne elementy, aż wszystko zrozumie.

Poprawił na ramieniu torbę. Zaśnieżoną ścieżką podszedł do ganku. Stopnie zaskrzypiały. Ten kolejny namacalny dowód realności otaczającego go świata sprawił, że Jacob szeroko się uśmiechnął.

Podniecony odkryciem, nie pomyślał, żeby zapukać. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Niesamowite, absolutnie niesamowite - powiedział cicho.

Otaczało go drewno. Prawdziwe, wykorzystane hojnie, rozrzutnie. Kamień, taki wykopany z ziemi, łączył się z drewnem w konstrukcji ogromnego kominka. W kominku płonął ogień. Polana syczały i traskały. Wydzielały cudowny zapach. Pomieszczenie było dość małe i dziwnie piękne.

Jacob mógłby tu spędzić wiele godzin, badając każdy centymetr pokoju i mebli. Chciał jednak zobaczyć również resztę. Mówiąc cicho do miniaturowego magnetofonu, ruszył w górę po schodach.

Sunny szarpnęła kierownicę landrowera i zakłęła. Jak mogła uwierzyć, że z przyjemnością spędzi kilka miesięcy w górach? Cisza i spokój! Komu

to potrzebne? Wjeżdżając na pochyłość, zmieniła bieg. Pomysł zaszcycia się w tej samotni, żeby wszystko przemyśleć i podjąć najlepszą decyzję, był po prostu śmieszny.

Wiedziała przecież, czego chce. Czegoś wielkiego, spektakularnego. Zdegustowana prychnęła i odrzuciła z czoła jasne włosy. Fakt, że nie zdecydowała się co do szczegółów, nie ma znaczenia. Wybór sam się w końcu dokona, jak zwykle.

Na pewno nie latanie transportowcami i nie spadochroniarstwo. Nie balet ani trasa koncertowa z zespołem rockowym. Nie prowadzenie ciężarówki ani pisanie haiku.

Nie każdy w wieku dwudziestu trzech lat już wie, co tak naprawdę chce robić, przypomniawszy sobie, zatrzymując samochód przed domkiem. Dzięki metodzie eliminacji w ciągu dziesięciu czy dwudziestu lat będzie już pewnie kroczyć po drodze do sławy i sukcesu.

Bębniąc palcami w kierownicę, przyglądała się domowi. Przysadzisty i niebrzydki. Na frontowym ganku stał stary fotel na biegunach. Odkąd sięgała pamięcią, stał tam rok po roku, latem i zimą. W takiej ciągłości kryło się *coś* uspokajającego. Spokój. Nie, chciała czegoś nowego, czego jeszcze nie poznała.

Westchnęła. Gdyby chociaż w przybliżeniu wiedziała, czego szuka. Jednak zawsze, gdy próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, powracała tutaj, do domku w górach.

Urodziła się w nim, spędziła pierwsze lata życia. Chyba dlatego wracała tu zawsze wtedy, gdy życie wydawało się bezcelowe. Czerpała siłę z prostoty.

Choć kochała ten dom, nie wyobrażała sobie, że mogłaby w nim teraz mieszkać, tak jak Libby i jej mąż. Dzień po dniu, noc po nocy, bez żadnego kontaktu z innymi ludźmi. Sunny mogła się wychować w lesie, na odludziu, należała jednak całym sercem do miasta, z jego jasnymi światłami i ogromnymi możliwościami.

To tylko wakacje, powiedziała sobie, ściągając wełnianą czapkę i przebiegając niecierpliwie palcami po krótkich włosach. Należały się jej. W końcu rozpoczęła naukę w college'u w wieku szesnastu lat i ukończyła ją przed dwudziestymi urodzinami. Potem chwyciła się różnych zajęć, w żadnym nie odnajdując pełnej satysfakcji.

Starła się być dobra we wszystkim, co robiła. Może dlatego uczyła się właściwie wszystkiego, od stepowania do malowania na szkło. Nie chodziło jej jednak o to, by osiągnąć mistrzostwo w którejś z tej dziedzin. Zostawiała jedno, by zająć się drugim. Zawsze czuła się trochę winna, bo nie doprowadzała niczego do końca.

Musiała jednak coś wybrać. Przyjechała tu, żeby wszystko rozważyć i podjąć wreszcie ostateczną decyzję. Tylko tyle. Nie ukrywała się, nie uciekała od życia, a już na pewno nie przyjechała dlatego, że straciła ostatnią pracę. Dwie ostatnie prace, poprawiła się w myślach.

W każdym razie miała dość pieniędzy, żeby się utrzymać do końca zimy. Zwłaszcza tu, gdzie nie było ich nawet na co wydawać. Gdyby poleciała najbliższym samolotem do Portlandu albo Seattle, pieniądze skończyłyby się w tydzień. A na pewno nie zamierza

prosić o nic już trochę zirytowanych, choć nadal wyrozumiałych rodziców.

- Zostanę, dopóki się nie zdecyduję - powiedziała sobie twardo, otwierając drzwiczki.

Wzięła dwie torby jedzenia, które kupiła w mieście i ruszyła przez śnieg. Przynajmniej udowodnię, że jestem samowystarczalna, pomyślała. Chyba że przedtem umrę z nudów.

W domu spojrzała najpierw na kominek. Na szczęście ogień nie zgasł. Przeszła do kuchni, postawiła na stole torby. Libby upierałaby się, żeby je rozpakować. Sunny nie rozumiała jednak, po co tracić czas na chowanie rzeczy, po które i tak prędzej czy później się sięgnie. Rzuciła kurtkę na krzesło, zdjęła buty i kopnęła je w kąt. Wyjęła z jednej z toreb ciasto, rozpakowała je i wróciła do saloniku. Zamierzała spędzić popołudnie na czytaniu. Przyszło jej niedawno do głowy, że może warto studiować prawo. Myśl o staczaniu zażartych bojów w sądzie miała swój urok. Poza ubraniami, aparatem fotograficznym, blokiem rysunkowym, magnetofonem i baletkami Sunny zabrała ze sobą dwa pudła książek o różnych zawodach.

W pierwszym tygodniu pobytu w górach zbadała i odrzuciła zawód scenarzysty jako nie zapewniający stabilności życiowej, medycynę jako zbyt przerażającą oraz prowadzenie sklepu z ubraniami w stylu retro jako zajęcie zbyt modne.

Prawo jednak stwarza duże możliwości. Mogła zostać chłodnym, surowym prokuratorem albo pracującym szlachetnym obrońcą z urzędu.

Warto się temu bliżej przyjrzeć, myślała, pokonując

schody. Im prędzej się na coś zdecyduje, tym szybciej wróci tam, gdzie da się robić coś ciekawszego od obserwowania roztopiającego się w rynnach śniegu.

Z kawałkiem ciasta w ręku stanęła w drzwiach. I wtedy go zobaczyła. Stał przy łóżku, jej łóżku, najwidoczniej pochłonięty lekturą magazynu kobiecego, który poprzedniego dnia rzuciła na podłogę. Wodził palcami po błyszczącym papierze, jakby badał jakiś dziwny materiał.

Stał tyłem do drzwi, był wysoki. Długie włosy wyglądały tak, jakby nigdy ich nie czesał. Sunny niemal wstrzymała oddech. Starła się ocenić nieproszonego gościa po wyglądzie.

Jak na zbłąkanego turystę wyglądał za porządnie i chyba za mało kolorowo. Dżinsy nie nosiły śladów zużycia, buty wyglądały na drogie i chyba robione na zamówienie. Nie, nie jest turystą, uznała, ani głupcem, który wybrałby się w tym stroju w zimie w góry.

Był dość szczupły, choć obszerny sweter mógł kryć silne mięśnie. Jeśli to złodziej, tracił niepotrzebnie czas na przeglądanie magazynu, zamiast poszukać czegoś cenniejszego.

Spojrzała na komodę i kasetkę z biżuterią. Nie miała jej dużo, każda jednak sztuka została wybrana starannie i bez oglądania się na cenę. No i była jej, tak jak dom i pokój, do którego ten facet po prostu wtargnął.

Rozwścieczona rzuciła na podłogę ciasto, chwyciła jedyną znajdującą się w zasięgu ręki broń, czyli pustą butelkę, i zaatakowała.

Jacob coś usłyszał. Kątem oka dostrzegł szybujący ku niemu przedmiot i instynktownie się uchylił.

Butelka minęła głowę i z hukiem roztrzaskała się o ścianę.

- Co...

Zanim *zdążył* wypowiedzieć drugie słowo, coś podcięło mu nogę i runął. Leżał na plecach i patrzył na wysoką, szczupłą kobietę o jasnych włosach i szarych oczach. Stała w rozkroku, w starej jak świat postawie bojowej.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła. - Nie chcę cię skrzywdzić, więc wstań bardzo powoli. Potem zejź na dół i wynocha. Masz na to trzydzieści sekund.

Nie odrywając od niej spojrzenia, Jacob uniósł się na łokciu. Uznał, że obcując z przedstawicielką prymitywnych tubylców, powinien zachować ostrożność.

- Słuchami

- Słyszałeś, co mówiłam, przyjacielu. Mam czarny pas. Czwarty dan. Spróbuj czegoś, a zmiażdżę ci czaszkę, jak łupinkę orzecha.

Uśmiechała się. Gdyby nie to, przeprosiłby i wyjaśnił, dlaczego tu jest. Uśmiechała się jednak, a wyzwanie jest wyzwaniem.

Bez słowa naprężył mięśnie i wylądował miękko na nogach, w pozycji stanowiącej lustrzane odbicie postawy napastniczki. Dostrzegł w jej oczach zdziwienie. Nie strach, a zdziwienie. Zablockował pierwszy cios, odczuł go jednak silnie w ramieniu. Potem obrócił się na tyle szybko, by dobrze wymierzone kopnięcie nie trafiło w podbródek

Jest szybka, uznał. Szybka i zręczna. Nie atakował. Blokował tylko ciosy albo się uchylał, oceniając kobietę. Bardzo odważna, pomyślał z podziwem. Wojownicza

w świecie, który jeszcze potrzebuje wojowników. Jeśli Jacob miał jakąś słabość, do której się przyznawał, były nią sztuki walki.

Nie lekceważył przeciwniczki. Wiedział, że skończyłby wtedy na podłodze, z jej stopą na gardle. Potężne kopnięcie, którego nie zdołał zablokować i które trafiło w klatkę piersiową, uzmysłowiło mu powagę sytuacji. Jesteśmy sobie równi, uznał po pięciu ciężkich minutach, tyle że ja mam przewagę zasięgu ciosów i wagi.

Postanowił wykorzystać oba te plusy. Zrobił zwód, zablokował uderzenie i wykonał rzut, posyłając kobietę na łóżko. Zanim zdążyła się pozbierać, przygniótł ją swoim ciężarem, ostrożnie unieruchamiając jej ręce za głową.

Nie mogła swobodnie oddychać, lecz nie brakło jej sił. Wpatrując się w niego z nienawiścią, włożyła całą energię w jeden, ostatni ruch. Ledwie udało się mu przekręcić i uniknąć ciosu kolanem w jądra.

- Niektóre sposoby walki są ponadczasowe - mruknął, dysząc ciężko i przyglądając się kobiecie.

Wyglądała olśniewająco, może z powodu wysiłku fizycznego. Zaczerwienione policzki harmonizowały ze słoneczną barwą włosów. Te, krótko ostrzyżone, podkreślały regularne rysy twarzy. Miała wystające kości policzkowe. Jak pradawne wojownicze ludy, pomyślał, wikingowie lub Celtowie. Duże szare oczy przepełniał gniew, nie było w nich strachu. Do tego pełne usta. Pachniała jak las - rześko, egzotycznie i obco.

- Jesteś bardzo dobra - pochwalił.

- Dziękuję - warknęła. Nie walczyła. Wiedziała, kiedy trzeba walczyć, a kiedy rozmawiać. Przygniatał ją, przedtem zwyciężył, nie była jednak gotowa do omawiania warunków kapitulacji. - Byłabym wdzięczna, gdybyś ze mnie zszedł.

- Za chwilę. Masz zwyczaj witać ludzi, rzucając ich na podłogę?

Uniosła brew.

- A ty lubisz włamywać się do cudzych domów i myszkować po sypialniach?

- Drzwi były otwarte - usprawiedliwił się. Wtedy coś go tknęło. Na pewno trafił we właściwe miejsce, ale to przecież nie jest Libby. - To twój dom?- - zapytał.

- Owszem. Nazywa się to własnością prywatną.  
- Starła się zachować spokój, choć przyglądał się jej, jakby była jakimś dziwnym okazem w probówce.  
- Zatelefonowałam na policję - dodała, choć najbliższy telefon znajdował się w odległości wielu kilometrów.  
- Na twoim miejscu już bym zwiewała.

- Nie, nie zatelefonowałam.

- Może nie, a może tak. Czego właściwie chcesz?

Nie ma tu nic, co warto ukraść.

- Nie chcę niczego ukraść.

Sunny poczuła przypływ czysto kobiecej paniki, której miejsce już po sekundzie zajęła furia.

- Na pewno ci tego nie ułatwię - warknęła.

- W porządku. - Nie zwracał sobie głowy pytaniem, o co jej chodzi. - Kim jesteś?

- Chyba to ja powinnam zadać takie pytanie - odparła - ale nie jestem ciekawa.

Serce zabiło jej szybciej. Miała nadzieję, że mężczyz-

na tego nie wyczuje. Leżeli na pościeli, przyciśnięci do siebie jak kochankowie.

Jacob dostrzegł w jej oczach krótki błysk strachu. Rozluźnił trochę uścisk, którym przytrzymał jej nadgarstki. Wyczuł przyspieszenie pulsu i zorientował się, że jego ciało zaczęło reagować inaczej. Spojrzał na usta kobiety.

Jakby to było? - pomyślał. Może zaryzykować? Miękkie, pełne usta wyglądały jak stworzone po to, by kusić mężczyzn. Walczyłaby czy uległaby? Jedno i drugie byłoby miłe. Przeniósł spojrzenie na jej oczy i postarał się skupić. Miał do wykonania zadanie. Nie powinien się rozpraszać.

- Przepraszam za zakłócenie spokoju. Właśnie szukam kogoś.

- Tutaj nie ma nikogo oprócz... - Zorientowała się, że nie powinna tego zdradzać i zakłęła w duchu.

- Kogo? Kogo szukasz?

Lepiej zachować ostrożność, pomyślał Jacob. Jeśli zakradł się jakiś błąd w obliczeniach czasu albo jeśli informacje Cala nie były dokładne... Lepiej nie mówić zbyt konkretnie.

- Pewnego mężczyzny. Myślałem, że tu mieszka, ale najwidoczniej się myliłem.

- Kogo? Jak się nazywa?

- Hornblower - wyznał Jacob i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Caleb Hornblower. - Zaskoczenie w oczach Sunny powiedziało mu wszystko. Odruchowo zacisnął dłoń na jej nadgarstku. - Znasz go?

Przypomniała sobie nieco tajemniczego męża siostry. Był szpiegiem, zbiegiem, może ekscentrycznym

milionerem, który pewnego dnia postanowił radykalnie odmienić swoje życie. Lojalność wobec rodziny sprawiała, że Sunny nigdy nie zdradziłaby go, nawet gdyby ktoś wbijał jej pod paznokcie bambusowe drzazgi.

- Dlaczego tak uważasz?

- Znasz - nalegał Jacob. - Przebyłem długą drogę, żeby się z nim spotkać. Bardzo długą. Proszę, czy możesz mi powiedzieć, gdzie on teraz jest?

- Na pewno nie tutaj.

- Czy dobrze się czuje? - Puścił nadgarstki i chwycił kobietę za ramiona. - Czy nic mu się nie stało?

- Nie. - Usłyszała w głosie przybysza niekłamana troskę. Dotknęła jego dłoni. - Nie, oczywiście, że nie. To znaczy... - Znow zakłęta w myślach. Jeśli to była pułapka, dała się w nią złapać. - Jeśli chcesz uzyskać ode mnie informacje, musisz mi powiedzieć, kim jesteś i do czego są ci potrzebne.

- Jestem jego bratem, Jacobem.

Sunny otworzyła szerzej oczy i wzięła głęboki oddech. Brat Calaś Możliwe. Nawet go trochę przypominał. Nie za bardzo, ale w każdym razie był podobniejszy do Cala niż ona do Libby.

- No cóż - odpowiedziała po chwili zastanowienia - prawda, że ten świat jest mały?

- Mniejszy, niż możesz sobie wyobrazić. Znasz więc Cala?

- Tak. Ożenił się z moją siostrą. To znaczy, że ty i ja... Nie jestem pewna, jak się nazywa takie powinowactwo, ale na wszelki wypadek zmieńmy pozycję na pionową.

Skinął głową, ale się nie ruszył.

- Jak się nazywasz?

- Ja? - Obdarzyła go szerokim uśmiechem. - Sunbeam. - Nadal się uśmiechając, objęła palcami jego kciuk. - Jeśli nie chcesz, żebym ci go zwichnęła, wynoś się z mojego łóżka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ostrożnie się rozłączyli, jak bokserzy wracający po gongu do narożników. Jacob nie wiedział, co sądzić o nowej znajomej, jak również o ujawnionej przez nią rewelacji. Brat miał żonę.

Gdy stanęli już w mniej więcej bezpiecznej odległości, włożył ręce do kieszeni wygodnych dżinsów. Zauważył, że choć Sunny nie przybrała bojowej postawy, nadal jest spięta, gotowa zareagować na każdy jego ruch. Byłoby nawet interesujące wykonać go i zobaczyć, co i w jaki sposób zrobi. Jacob miał jednak inne sprawy na głowie.

- Gdzie jest Cal? - zapytał.

- Na Borneo. Tak, to chyba Borneo. A może Bora Bora. Libby prowadzi tam jakieś badania. - Teraz mogła mu się spokojnie przyjrzeć. Fakt, rzeczywiście przypominał Cala, postawą, sposobem mówienia. Mimo to jeszcze nie do końca mu ufała. - Na pewno Cal ci powiedział, że Libby jest naukowcem.

Zawahał się, potem znów przywołał na twarz uśmiech. Teraz najważniejsze nie było to, co Cal napisał w swoim liście, a czego nie napisał, lecz to, co powiedział tej kobiecie o imieniu Sunbeam. Sunbeam, pomyślał, czy w ogóle ktoś może się tak nazywać?

- Oczywiście - skłamał gładko. - Nie wspomniał jednak, że wyjeżdża. Na jak długo pojechał?

- Jeszcze kilka tygodni. - Ściągnęła czerwony sweter. Już czuła tworzące się siniaki, lecz zupełnie się tym nie martwiła. - Zabawne - zauważyła - nie mówił, że się tu wybierasz.

- Nie wiedział. - Rozczarowany spojrzał przez okno na drzewa i śnieg. Jest blisko, tak cholernie blisko, wystarczy poczekać. - Nie byłem pewien, czy mi się uda dotrzeć.

- Aha. - Sunny wzruszyła niedbale ramionami i zakołysała się na piętach. - Tak samo, jak nie udało ci się przyjechać na ślub. Trochę nas dziwiło, że nikt z rodziny Cala nie zjawił się na tak ważnej uroczystości.

Usłyszał w jej głosie naganę. Normalnie by się obruszył, lecz teraz niemal go to rozśmieszyło.

- Uwierz mi, gdybyśmy mogli, na pewno byśmy przyjechali.

- Hmm. No cóż, skoro już przestaliśmy się bić, możemy usiąść i napić się herbaty. - Ruszyła do drzwi. Po drodze obrzuciła go szybkim spojrzeniem. - Który masz dani

- Siódmy. Nie chciałem zrobić ci krzywdy.

- To ładnie z twojej strony. - Nieco zirytowana, ruszyła po schodach w dół. - Nie sądziłam, że ludzie tacy jak ty zajmują się sztukami walki.

- Tacy jak ja?  
- Jesteś fizykiem czy kimś w tym rodzaju, prawda?  
- Kimś w tym rodzaju. - Spojrzał z zaciekawieniem na kolorowy pled przykrywający fotel. Choć coś mu przypominał, powstrzymał się i nie podszedł, by mu się dokładniej przyjrzeć. - A ty?- Co robisz?

- Nic. Pracuję nad tym.

W kuchni Sunny zajęła się od razu herbatą. Nie zauważyła więc zdumienia na twarzy Jacoba.

Jak na starym filmie albo w encyklopedii, pomyślał, badając wzrokiem pomieszczenie. Tyle że to lepsze, znacznie lepsze niż jakakolwiek reprodukcja. Na widok kuchenki zdziwienie zmieniło się w podziw. Wspaniała, absolutnie wspaniała, uznał. Swędziały go ręce, chciał dotknąć każdego pokręta.

- Jacob?

- Co?

Sunny patrzyła na niego, marszcząc brwi. Dziwak, doszła do wniosku. Miły, ale dziwak.

- Powiedziałam, że mam bardzo dużo różnych herbat. Chcesz jakąś konkretną?

- Nie.

Nie mógł się oprzeć, po prostu nie mógł. Gdy gospodyni stawiała na palniku czajnik, podszedł do białego, emaliowanego zlewu i przekręcił pokryty chromem kurek. Z kranu popłynęła woda. Wysunął palec i przekonał się, że jest lodowato zimna. Dotknął końcem palca języka. Stwierdził, że woda ma lekki metaliczny posmak.

Zupełnie nieprzetworzona woda, stwierdził. Zdziwiające. Piją ją w takiej postaci, w jakiej wypływa

z gruntu. Zapomniał o Sunny. Ponownie wsunął palec pod płynącą z kranu wodę. Teraz leciała już ciepła. Nasyciwszy się chwilowo nowo nabytą wiedzą, zakręcił kran. Gdy się odwrócił, zobaczył że Sunny się w niego wpatruje.

Trudno, uznał, muszę po prostu zaspokajać ciekawość tylko wtedy, gdy jestem sam.

- To jest bardzo ładne - pochwalił.

- Dziękuję. - Sięgając po filiżanki, nie spuszczała go z oka. - Nazywamy to zlewem. Macie chyba zlewy [w Filadelfii, prawda?

- Tak. - Postanowił wykorzystać szansę i poszerzyć swą wiedzę. - Nigdy nie widziałem takiego zlewu jak ten.

Trochę się uspokoiła.

- Fakt, domek jest nieco staroświecki.

- Właśnie tak bym to określił.

Gdy woda się zagotowała, Sunny zaczęła przygotowywać herbatę. Podwinęła przy tym rękawy swetra. Długie, kształtne ramiona, zauważył Jacob. Wyglądają zwodniczo delikatnie. Dotknął siniaka na jej przedramieniu.

- Może Cal ci nie powiedział, że rodzice wybudowali ten dom w latach sześćdziesiątych.

Napełniła filiżanki parującą wodą.

- Zbudowali? - powtórzył. - Własnoręcznie?

- Tak, położyli każdy kamień i bal. Byli hippisami, takimi prawdziwymi.

- Lata sześćdziesiąte, tak, czytałem o tej epoce. Bunt młodzieży, kwestionowanie autorytetu instytucji państwowych, rewolucja polityczna i społeczna.

Radykalizacja poglądów, odrzucenie dóbr materialnych, ruchy pacyfistyczne.

- Rzeczywiście, mówisz jak naukowiec - zauważyła. Dziwny naukowiec, dodała w myślach, stawiając filiżanki na stole. - Chociaż... zabawnie jest słyszeć, jak ktoś urodzony w tamtych czasach mówi o nich jak o epoce dynastii Ming.

Usiedli przy stole.

- Czasy się zmieniają.

- Tak. - Patrzyła ze zdziwieniem, jak gość pociera palcem powierzchnię stołu. -A to jest stół, wyjaśniła.

Przywołał się do porządku i podniósł filiżankę.

- Podziwiałem drewno.

- Aha, dąb. Stół zrobił mój ojciec. Dlatego pod jedną nogę trzeba podkładać pudełko zapałek. - Na widok zdumionej miny gościa roześmiała się. - Przez jakiś czas pasjonował się stolarstwem. Prawie wszystkie zrobione przez niego meble są koślawe.

Trudno było to sobie wyobrazić. Drewno, odrąbane od potężnego pnia, przeobrażało się w mebel. Tylko osoby o najwyższym zaszeregowaniu kredytowym mogły sobie pozwolić na taki luksus. A i tak prawo zabraniało posiadania więcej niż jednego drewnianego mebla. Tutaj natomiast siedział w domu wzniesionym niemal wyłącznie z tego budulca. Powinien pobrać próbki, ale nie w tej chwili. Sunny nie spuszcza go z oka, nie ufa mu. Jednak gdy zostanie sam... Rozmyślając o tym, spróbował herbaty.

- Herbal Delight - zauważył.

Sunny uniosła filiżankę.

- Trafiony, zatopiony. Trudno tu pić coś innego,

nie ryzykując rozłamem w rodzinie. - Przyglądała mu się znad filiżanki. - To firma mojego ojca. O tym też Cal ci nie powiedział?

- Nie.

Zbity z tropu wpatrywał się w ciemny, nieco złocisty płyn. Herbal Delight. Stone. Spółkę, jedną z najbogatszych i najbardziej ekspansywnych w federacji założył William Stone. Legendy o jej początkach były tak koloryzowane, jak opowieść o dziewiętnastowiecznym prezydencie, który urodził się w chatce z bali.

Nie, to nie legenda, pomyślał Jacob, wdychając aromat napoju. Okazuje się, że to prawda.

- Co w ogóle powiedział ci Cal?

Jacob upił trochę herbaty i postanowił uzbroić się w cierpliwość. Chciałby jak najszybciej utrwalić to wszystko w formie zapisu magnetofonowego.

- Tylko... że zoczył z kursu i rozbił się. Twoja siostra zajęła się nim i zakochali się w sobie. No i że postanowił z nią zostać, tutaj.

- Czy masz coś przeciwko temu - - zapytała. - Gdy ich spojrzenia się spotkały, malowała się w nich niechęć i brak zaufania. - To dlatego nie przyjechałeś na ślub? Bo przed ożenkiem nie poprosił cię o wyrażenie zgody -  
Spojrzał na nią z nieskrywanym gniewem.

- Niezależnie od tego, co o tym myślę, gdybym tylko mógł, na pewno bym przyjechał.

- Jak miło z twojej strony. - Ze stosu artykułów żywnościowych na stole wyszarpnęła pudełko ciasteczek. - Powiem ci coś, Hornblower. On ma szczęście, że dostała się mu moja siostra.

- No, skąd niby mogłem wiedzieć.

- Ale ja wiem. - Rozdarła opakowanie i sięgnęła po ciastko. - Jest piękna i inteligentna, miła i troskliwa. Poza tym, choć to nie twój interes, oni są ze sobą szczęśliwi.

- O tym także nie mogłem się dowiedzieć.

- Z czyjej winy? Miałeś bardzo dużo czasu, żeby się z nimi zobaczyć, prawda?

Zobaczył w jej oczach furię.

- Problem stanowił czas - odpowiedział, wstając.

- Wiem tylko tyle, że mój brat powziął pochopnie decyzję, która odmieniła jego życie. Zamierzam się upewnić, czy nie popełnił błędu.

- Zamierzasz co zrobić? - Przełknęła ciasteczko. Musiała je popić, żeby odzyskać głos. - Nie wiem, koleś, jak jest w twojej rodzinie, ale w naszej nie podejmujemy decyzji zbiorowo. Każde z nas jest odrębną osobą, która ma prawo wyboru.

Nie obchodziła go jej rodzina, myślał teraz o swojej.

- Decyzja mojego brata wywarła wpływ na życie bardzo wielu ludzi.

- Aha, na pewno jego małżeństwo z Libby zmieni bieg historii. - Zdegustowana, odstawiła ciasteczka. - Skoro cię to tak niepokoi, dlaczego u diabła pofatygowałeś się tu dopiero po roku?

- To moja sprawa.

- Jasne. Małżeństwo mojej siostry jest też twoją sprawą. Jesteś prawdziwą dupą wołową, Hornblower.

- Przepraszam?

- Powiedziałam, że jesteś dupą wołową. - Przeciągnęła dłonią po włosach. - Dobrze, porozmawiaj z nim,

kiedy wróca. Pamiętaj jednak o jednym. Cal i Libby kochają się, a to chyba najważniejsze. Teraz wybacź, ale mam coś do zrobienia. Chyba sam trafisz do drzwi.

Wściekła wypadła z kuchni. Po chwili Jacob usłyszał coś, co przypominało trzaśnięcie prymitywnymi drewnianymi drzwiami.

Wyprowadzona z równowagi kobieta, pomyślała. Interesująca, ale wyprowadzona z równowagi. Musiał ją udobruchać, gdyż było oczywiste, że powinien tu pozostać do powrotu Cala.

Jako naukowiec zdawał sobie sprawę, że otrzymał niezwykłą możliwość badania prymitywnej kultury, porozmawiania z przedstawicielem swych przodków, czy kimś w tym rodzaju. Spojrzał na sufit. Wątpił, by wybuchowa Sunbeam chciała, żeby uważał ją za swego przodka.

Tak, miał wspaniałą okazję, o jakiej inni naukowcy mogli jedynie marzyć. Zastanawiał się już nad ewentualnym połączeniem się na próbę z prymitywną kobietą. Była niegrzeczna, kłótniwa i agresywna. Może i on nie jest aniołem, lecz w końcu ma nad nią przewagę, powiedzmy... cywilizacyjną.

Po powrocie do statku sprawdził najpierw w komputerowym banku danych, co w dwudziestym wieku oznaczało określenie „dupa wołowa”.

' S u n n y z przyjemnością by mu to wyjaśniła. W gruncie rzeczy, gdy chodziła po pokoju, nasuwały się jej znacznie barwniejsze określenia dotyczące niespodziewanego gościa.

Zjawił się po ponad roku od ślubu swego brata. Nie

żeby złożyć gratulacje, myślała z wściekłością. Nie żeby poznać nową rodzinę. Po to, żeby przedstawiać swoje niedowarzone opinie o tym, czy Libby jest warta jego brata.

Nędzny płaz. Bałwan. Imbecyl.

Przechodząc koło okna, wyjrzała. I wtedy zobaczyła tego kretyna. Miała ochotę wybić szybę, tak żeby móc posłać mu na pożegnanie kilka obelg. Nagle się zastanowiła.

Dlaczego ten facet idzie do lasu? Bez ciepłego ubrania? Zmrużyła oczy i patrzyła, jak mężczyzna brnie w śniegu i wreszcie niknie za drzewami. Dokąd u diabła się wybiera? W tamtym kierunku nie ma niczego poza drzewami.

W ogóle, jak on się tu dostał? Przedtem nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić. Do miasta jest daleko, do najbliższego lotniska jedzie się samochodem dwie godziny. W jaki sposób pojawił się w mojej sypialni, bez ciepłego ubrania, w środku zimy?

Przed domem nie stał żaden samochód ani skuter śnieżny. Autostopem? Zabawne. A przecież nie mógł po prostu w styczniu przyjść na piechotę. O ile jest przy zdrowych zmysłach.

Wzruszyła ramionami i odsunęła się od okna. Może właśnie znalazła odpowiedź na wszystkie pytania. Wariat, i tyle. Ale właściwie co ją skłoniło do tego typu przypuszczeń? Mimo wszystko ten facet jest bratem Cala. Denerwujący typ, ale niekoniecznie szalony. A jednak...

W końcu zachowywał się dość dziwnie. Wyjrzała znów przez okno, zobaczyła tylko świeże ślady na śniegu.

Cal wydaje się dość normalny, rozważała, ale w końcu co my wiemy o jego rodzinie? Tyle co nic. Sunny przypomniła sobie, że gdy rozmowa schodziła na rodzinę, szwagier zachowywał dziwne milczenie. Ponownie wyjrzała na dwór. Może miał jakieś konkretne powody?

Tak, ten facet już od początku zachowywał się dziwnie, uznała. Wszedł jak do siebie, stał w sypialni, wpatrując się w magazyn kobiecy, jakby badał jakieś papiirusy. No i to zachowanie w kuchni. Bawił się kranem. I gapił się na stół. Poza tym sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie widział kuchenki ani lodówki. Albo jakby nie widział tych przedmiotów od dawna. Nie widział, bo przebywał w zamknięciu. W miejscu, w którym nie stanowił zagrożenia dla społeczeństwa.

Przygryzła wargę i zaczęła krążyć po pokoju. Nagle potknęła się o torbę. Jego torbę. Zostawił ją, zapomniał zabrać. To znaczy, że przypomni sobie i po nią wróci.

Trudno, jakoś sobie z nim poradzę, pomyślała, wpatrując się w torbę. Nie zaszkodzi jednak zastosować pewne środki ostrożności.

Uklękła. Nieważne, że to nieładnie, musi sprawdzić, co jest w środku. Już sama torba była dziwna. Bez suwaka ani innego rodzaju zamknięcia. Otworzyła się nie wiadomo jak, bezgłośnie. Sunny rozejrzała się jak winowajczyni i zaczęła badać zawartość znaleziska.

Ubrania. Drugi sweter, tym razem czarny. Bez metki. Dżinsy w dobrym gatunku, oczywiście drogie, ale też bez nazwy projektanta na tylnej kieszeni. W ogóle nigdzie żadnych naszywek, a ubranie jest nowe. Dałaby słowo, że zupełnie nowe. Szukała dalej.

Znalazła buteleczkę z napisem „fluoratyna”, zawierającą jakiś płyn, parę butów z miękkiej skóry. Brakowało maszynki do golema, lusterka... Nawet szczoteczki do zębów. Tylko komplet zupełnie nowych ubrań i buteleczka, która mogła zawierać jakieś lekarstwo.

Ostatnie odkrycie okazało się najbardziej zadziwiająca. Urządzenie elektroniczne, mniejsze od dłoni. Okrągłe, z osłoną na zawiasach. Gdy ją otworzyła, zobaczyła małe guziczki. Nacisnęła pierwszy z brzegu i podskoczyła, gdyż rozległ się głos Jacoba.

Czysty i wyraźny, dochodził z urządzenia, które trzymała w ręku. Wypowiadał jakieś równania i dziwne słowa. Ani liczby, ani użyte określenia nic Sunny nie mówiły. Fakt jednak, że to wszystko wydobywało się z małego krążka, naprowadził ją na nowy trop.

Jest wrogiem szpiegiem. Nieważne, kto jest tym wrogiem. Do tego szpiegiem niezrównoważonym, na co wskazuje jego zachowanie. Sunny nigdy nie cierpiała na brak fantazji. Mogła sobie łatwo wyobrazić przebieg zdarzeń.

Schwytali go. Wydobywali z niego informacje technikami, które odbiły się na jego psychice. Cał go krył, wymyślił historjkę, że jego brat jest astrofizykiem, za bardzo zagłęzionym w badaniach, by przyjechać na ślub brata. W rzeczywistości brat Cała przebywał w obiekcie pewnej instytucji federalnej. A teraz uciekł.

Sunny naciskała losowo guziki, aż głos Jacoba ucichł. Tak, powinna postępować bardzo ostrożnie. Niezależnie od tego, czy lubi Jacoba, czy nie, to w końcu rodzina. Zanim cokolwiek zrobi, musi zyskać absolutną pewność, że Jacob jest niebezpiecznym wariatem.

Ślamazarna, często denerwująca osoba. Jacob spojrzął gniewnie w kierunku dymu, który unosił się ponad linią drzew. Nie obchodziła go właściwie definicja określenia „dupa wołowa”. Przynajmniej ta jej część, z której wynikało, że mógłby grać komuś na nerwach. Ale ślamazarny? Jakaś chuda kobieta, dla której silnik odrzutowy jest najnowszym cudem techniki, nie będzie go tak nazywała. Nie miał zamiaru tego tolerować.

W nocy ciężko pracował. Teraz statek był już dobrze zamaskowany, a notatki uaktualnione. W tym opis doprowadzającego do furii spotkania z Sunbeam Stone. Jednak dopiero o świcie Jacob przypomniał sobie o torbie.

Gdyby ta kobieta nie wyprowadziła go z równowagi, nie zapomniałby o tak ważnej rzeczy. Nie to, żeby miał w niej coś ważnego. Chodziło o zasadę. Jacob nie był roztargniony, nigdy. Zdarzało mu się czasami zapominać o drobiazgach, gdy pochłaniało go coś ważnego.

Nie chciał o niej myśleć, w nocy jednak, gdy pracował, nie mógł tego osiągnąć. Wspomnienia powracały jak dokuczliwy owad, którego nie sposób odegnąć. Również wspomnienia tego, jak wyglądała, jak czuł jej przyciśnięte do łóżka ciało.

Zniecierpliwiony, pokręcił głową. Nie miał czasu na kobiety. Nie to, żeby nie doceniał ich uroków, ale wszystko w swoim czasie. A ten czas z pewnością nie jest stosowny. Zresztą, Sunbeam Stone nie można nazwać właściwym obiektem.

Im dłużej rozmyślał nad miejscem i czasem,

w którym się znalazł, tym bardziej pogłębiało się jego przekonanie, że trzeba sprawić, by Cal się opamiętał i wrócił do domu.

Cal cierpiał na pewnego rodzaju kosmiczną gorączkę, uznał. Przeżył szok, a ta kobieta to wykorzystała. Gdy przedstawi Calowi logiczne argumenty, brat na pewno z ulgą wsiądzie do statku i wróci do domu.

Na razie trzeba korzystać z okazji. Studiować i zapisywać informacje przynajmniej o tym małym kawałku świata.

Na skraju lasu przystanął. Temperatura spadła. Jacob pożałował, że nie ma cieplejszych ubrań. Szare, nabrzmiałe śniegiem chmury przesuwały się po niebie, przesłaniając słońce. W szarawym świetle widział Sunny. Wybierała polana ze stosu drewna za domem. Śpiewała niezwykle erotycznym głosem o jakimś mężczyźnie, który oszedł. Nie usłyszała, jak Jacob do niej podchodzi. Nadal śpiewała i układała na ręku kawałki drewna.

- Przepraszam.

Krzyknęła i odskoczyła, polana upadły na ziemię. Jedno uderzyło ją mocno w nogę. Z bólu zaczęła podskakiwać.

- Cholera, cholera, cholera! Co ty wyprawiasz?

Trzymając oburącz bolącą stopę, oparła się o ścianę domku.

- Nic. - Nie mógł powstrzymać uśmiechu. - To chyba tobie coś się stało. Boli?

- Nie, to wspaniałe uczucie, uwielbiam, kiedy coś walnie mnie w stopę. - Uśmiechnęła się i ostrożnie postawiła nogę na ziemi. - Skąd właściwie przyjechałeś? - zapytała.

- Z Filadelfii. - Widząc, że znacząco zmrużyła oczy, dodał: - Chodzi ci o to, skąd teraz? - Wskazał kciukiem. - Stamtąd. - Spojrzał na porozrzucane polana. - Może ci pomóc?- - zaproponował.

; - Nie. - Utykając, zaczęła zbierać drewno. Nie spuszczała jednak Jacoba z oka, śledziła bacznie każdy, nawet najdrobniejszy ruch. - Wiesz, dlaczego tu jestem, Hornblower? Chodziło mi o spokój i samotność. Znasz te pojęcia?

- Tak.

- To dobrze.-Odwróciła się i weszła do domku, tak że drzwi same się za nią zatrzasnęły. Wrzuciła polana do skrzynki przy kominku i ruszyła do kuchni.-Nagle zobaczyła go i zakląła. - Czego ty tu chcesz?

- Zostawiłem torbę. - Wciągnął nosem powietrze. - Czy coś się pali?

Sunny chwyciła opiekacz, odwróciła go i zaczęła tłuc w niego pięścią. W końcu czarna, spalona grzanka wypadła.

- Do tego cholerstwa wszystko się przykleja - wyjaśniła.

Żeby przyjrzeć się fascynującemu małemu urządzeniu, Jacob nachylił się nad jej ramieniem.

- Nie wygląda apetycznie - zauważył.

Jest w porządku - odparła, wbijając na dowód prawdziwości tych słów zęby w spalony kawałek i chleba.

- Zawsze jesteś taka uparta?

-Tak.

I tak wrogo nastawiona?

- Nie.

Odwróciła się i przekonała, że popełniła błąd. Nie odsunął się, choć właśnie tego oczekiwała. Oparł mocno ręce o stół, pozbawiając ją możliwości ruchu. Niczego nie nienawidziła tak bardzo, jak tego, gdy nią manipulowano.

- Cofnij się, Hornblower.

- Nie. - Zamiast usłuchać, przysunął się jeszcze bliżej. - Interesujesz mnie, Sunbeam.

- Sunny - poprawiła go odruchowo. - Nie nazywaj mnie Sunbeam.

- Interesujesz mnie - powtórzył. - Czy uważasz się za przeciętną kobietę swoich czasów?

Zbita z tropu, pokręciła głową.

- Co to za pytanie?

Jej włosy miały dziesiątki odcieni, od popielatego blondu do ciemnego miodu. Pożałował, że to dostrzegł.

- Pytanie wymagające prostej odpowiedzi. Uważasz się za taką?

- Nie. Nikt nie chce być przeciętny. A teraz, czy mógłbyś...

- Jesteś piękna - przyglądał się, nie ukrywając zachwyty - ale to tylko cecha fizyczna. Jak uważasz, co cię wyróżnia? Co sprawia, że nie jesteś przeciętna?

- Zwariowałaś? Prowadzisz jakieś badania?

Uniosła dłoń, żeby go odepchnąć, napotkała jednak nieustępliwą jak skała klatkę piersiową. Wyczuła bicie serca, powolne i równomierne.

- Mniej więcej.

Uśmiechnął się. Nagle spodobały jej się jego oczy.

- Myślałam, że nie zajmujesz się ludźmi, tylko planetami i gwiazdami.

- Na planetach żyją ludzie.

- Tak, przynajmniej na tej.

Znów się uśmiechnął.

- Przynajmniej. Możesz to traktować jako osobiste zainteresowanie.

- Chciała się poruszyć, zorientowała się jednak, że w ten sposób tylko się do niego przyciśnie. Zakłęła w duchu. Starła się panować nad głosem i spojrzeniem.

- Nie chcę twojego osobistego zainteresowania, Jacob.

- J.T. W rodzinie nazywają mnie zwykle J.T.

- W porządku. - Mówiła powoli, by się uspokoić. Potrzebowała dystansu. - Co sądzisz, J.T. o tym, że mógłbyś się odsunąć, a ja zrobiłabym śniadanie?

Jeśli nie przestanie przygryzać wargi, pomyślał, będę musiał jej w tym przeszkodzić. W najskuteczniejszy znany mi sposób. Nie wiedział dotąd, że taki drobny nawyk może oddziaływać tak uwodzicielsko.

- To zaproszenie? - zapytał.

Nieznacznie przejechała językiem po wardze.

- Jasne.

Nachylił się jeszcze bardziej. Podobał się mu sposób, w jaki trzepotała rzęsami. Nie było łatwo oprzeć się temu. Jacob słynął z wielu cech, wśród których brakowało jednak umiejętności panowania nad emocjami. Chciał ją pocałować. Nie w ramach jakiegoś eksperymentu, ale ot, tak, po prostu.

- Zrobisz takie grzanki? - zapytał, wskazując spalony chleb.

- Nie, płatki Froot, moje ulubione.

Cofnął się. Skoro ma tu spędzić kilka tygodni, musi popracować nad samokontrolą. Szybko układał plan.

- Zjadłbym trochę.

- Doskonale.

Wmawiając sobie, że to zmiana strategii, a nie odwrót, podeszła do kredensu i wyjęła dwie miseczki. Postawiła je na stole, obok kolorowego pudełka.

- Jako dzieci nie mogliśmy ich jeść - poskarżyła się.

- Moja matka była... jest zwariowana na punkcie zdrowej żywności. Jada korzonki i korę.

- Dlaczego korę?

- Mnie nie pytaj. - Sunny wyjęła z lodówki mleko i zalała nim kolorowe krążki. - W każdym razie, kiedy się wyprowadziłam, zaczęłam pochłaniać góry niezdrowego jedzenia. Skoro przez pierwsze dwadzieścia lat życia jadłam zdrowe rzeczy, przez następne dwadzieścia mogę sobie pozwolić na różne trucizny.

- Trucizna - powtórzył, patrząc podejrzliwie na płatki.

- Dla maniaków zdrowej żywności nawet cukier jest trucizną. Spróbuj - zaproponowała, podając mu łyżkę. - Spalone grzanki i płatki to moja specjalność.

Uśmiechnęła się czarująco. Ona również miała swój plan.

Nie mógł pozwolić, by go otruła. Poczekał ostrożnie, aż sama zacznie jeść, dopiero potem spróbował. Rozmoczony produkt zbożowy, nawet dość dobry. Wspólny posiłek stanowił okazję zbliżenia się do Sunny, a to z kolei umożliwi wyciągnięcie z niej informacji.

Stało się już oczywiste, że Cal nie powiedział nikomu poza Libby, skąd przybył. Jacob pochwalił go

za to w myślach. Tak jest lepiej. Następstwa ujawnienia tego faktu... no cóż, musi jeszcze obliczyć prawdopodobieństwo różnych wariantów. Sunny nie była daleka od prawdy, pytając, czy małżeństwo Cala z jej siostrą może odmienić bieg historii.

Trzeba rozegrać wszystko rozważnie, obrócić sytuację na swoją korzyść. Wykorzystać w swych planach Sunny, dodał w myślach, odczuwając jedynie lekkie wyrzuty sumienia.

Zamierzał ją wypytać. O jej rodzinę, zwłaszcza o siostrę, o wrażenie, jakie na niej wywiera Cal. No i poznać z pierwszej ręki życie w dwudziestym wieku. Przy odrobinie szczęścia namówi ją, żeby zabrała go do najbliższego miasta. Tam niewątpliwie będzie mógł poczynić interesujące obserwacje.

Nie wolno tracić cierpliwości, powtarzała w myślach Sunny. Skoro mam ustalić, kim on właściwie jest, muszę się zachowywać taktowniej. To nie jest moja silną stroną, ale poradzę sobie. Wystarczy trochę ostrożności i dyplomacji. Zwłaszcza jeśli on rzeczywiście ma bzika.

Szkoda by go było, myślała, uśmiechając się uprzejmie. Co by szkodziło, gdyby ktoś tak przystojny i atrakcyjny miał jeszcze dobrze poukładane w głowie? Może to tylko chwilowe zaburzenia psychiczne?

- A więc - bębniła łyżką w bok miski - co sądzisz o Oregonie?

- Bardzo duży i słabo zaludniony.

- Właśnie dlatego go lubimy. Przyleciałeś do Portlandu?

Wybrał coś pośredniego między prawdą a kłamstwem.

- Nie, dotarłem trochę bliżej, Mieszkaś tutaj z Callem i siostrą?

- Nie, w Portlandzie, ale chyba czas na zmiany.

- To znaczy?

- Nie wiem, po prostu czuję, że muszę coś zmienić.

- Spojrzała ze zdziwieniem, potem wzruszyła ramionami. - Właściwie myślałam o przeniesieniu się do Nowego Jorku.

- Co byś tam robiła?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Odłożył łyżkę.

- Nie masz pracy?

Zesztywniała.

- Jestem w trakcie zmiany pracy. Niedawno zrezygnowałam z kierowniczego stanowiska w handlu detalicznym. - Wylali ją z posady kierownika stoiska z bielizną w hipermarkecie średniej klasy. - Rozważam studiowanie prawa.

- Prawa? - Spojrzył na nią łagodniej. - Moja matka jest prawniczką.

- Naprawdę? Cal chyba o tym nie wspomniał. W czym się specjalizuje?

Jacob pomyślał, że pewnie miałyby trudności z dokładnym wyjaśnieniem.

- Co masz na myśli? - zapytał na wszelki wypadek.

- Ja chyba wybiorę prawo karne. - Chciała rozwinąć ten temat, lecz przypomniała sobie, że powinna raczej skłonić do wynurzeń rozmówcę. - Zabawne, prawda? Moja siostra jest naukowcem i brat Cala też. Co właściwe robią astrofizycy?

- Teorie, eksperymenty...

- Związane z podróżami międzyplanetarnymi^  
- Starła się zachować powagę, lecz niezbyt jej się to udało. - Chyba nie wierzysz, że ludzie będą latać na Wenus, jak teraz na przykład do Clevelandu?

Na szczęście grywał w pokera i potrafił zachować kamienną twarz.

- Wierzę.

Zaśmiała się pobłaźliwie.

- Chyba musisz, na tym polega twój zawód. Ale na pewno przykro pomyśleć, że jeśli tak się stanie, to nie za twojego życia.

- Nigdy nic nie wiadomo. Na początku tego wieku wydawało się, że podróż na Księżyc to mrzonka, a jednak dokonano tego. - Niezbyt subtelnie, pomyślał, ale jednak im się udało. - W następnym stuleciu człowiek dotrze na Marsa i jeszcze dalej.

- Może. - Wstała, żeby wyjąć z lodówki dwie butelki wody sodowej. - Mnie byłoby trudno poświęcić życie na coś, co być może przyniosłoby efekty dopiero w przyszłości.

Jacob patrzył zafascynowany, jak gospodyni wyjmuje z szuflady mały metalowy przedmiot, następnie zaś używa go jak dźwigni, żeby zdjąć z butelki kapsel.

- Wiesz - dodała - chyba lubię patrzeć na efekty swych poczynań. - Postawiła na stole otwarte butelki. - Natychmiastowa nagroda. Chyba dlatego pomimo dwudziestu trzech lat nadal poszukuję swojego miejsca w życiu.

Butelka jest ze szkła, zdziwił się Jacob. Taka sama, jaką poprzedniego dnia Sunny usiłowała trafić go w głowę. Spróbował napoju i natychmiast rozpoznał

smak. Pijał to samo w domu, choć nie do płatków z mlekiem na śniadanie.

- Dlaczego wybrałaś badanie kosmosu? - zapytała po chwili milczenia.

Spojrzał na nią. Zorientował się, że celowo go wypytuje. Co szkodzi, trochę zabawić się jej kosztem? Postanowił rozbudzić jej ciekawość, a równocześnie nieco ją przerazić.

- Lubię wyzwania.
- Musiałaś długo studiować.
- Dość długo.
- Gdzieś
- Gdzie co?

Udało się jej utrzymać na twarzy uprzejmy uśmiech.

- Gdzie studiowałaś?

Pomyślał o Instytucie Kroliac na Marsie, Uniwersytecie Birmingham w Houston oraz o intensywnym roku w laboratorium kosmicznym L'Espace w Kwadrancie Fordon.

- Tu i tam. W tej chwili jestem związany z małym prywatnym ośrodkiem niedaleko Filadelfii.

Zastanawiała się, czy personel tego małego ośrodka nosi białe fartuchy.

- Pewnie ta praca cię fascynuje?
- Tak, zwłaszcza ostatnio. Jesteś zdenerwowana"
- Dlaczego?
- Stukasz piętą w podłogę.

Położyła rękę na kolanie, żeby wstrzymać ruch nogi.

- Zniecierpliwiona. Zawsze jestem zniecierpliwiona, jeśli przebywam zbyt długo w jednym miejscu.

Stało się niestety oczywiste, że w ten sposób nie uda się z niego niczego wyciągnąć.

- Posłuchaj, naprawdę mam parę rzeczy do... - Zamilkła, gdy spojrzała przypadkiem przez okno. Nie zauważyła wcześniej, że zaczął padać śnieg. - Pięknie.

Podążając za jej spojrzeniem, Jacob zobaczył białe płatki.

- Wygląda na to, że będzie trochę roboty.

- Aha. - Westchnęła. Może gość działał jej na nerwy, ale nie była potworem. - Nie najlepsza pogoda do obozowania w lesie - zauważyła. Walcząc ze sobą, podeszła do drzwi, z powrotem do stołu, potem do okna. - Posłuchaj, wiem, że nie masz się gdzie zatrzymać. Wczoraj widziałam, jak wchodziłeś do lasu.

- Mam... wszystko, czego potrzebuję.

- Jasne, ale nie możesz w tej zadymce wspinać się na wzgórze, a potem spać w namiocie albo szałasie. Libby by mi nie wybaczyła, gdybyś na przykład zamarzł. - Włożyła ręce do kieszeni i obrzuciła gościa groźnym spojrzeniem. - Zostań tutaj.

Pomyślał o otwierających się dzięki temu możliwościach i uśmiechnął się.

- Z przyjemnością - odpowiedział.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Starał się nie wchodzić jej w drogę. W tym momencie wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Usadowiła się na sofie przy kominku, rzuciła obok siebie książki i pracowicie sporządzała notatki. Ze stojącego na stole przenośnego radia wydobywały się dźwięki przerywanej trzaskami muzyki, co jakiś czas podawano komunikat o pogodzie. Zagłębiając się w pracę, Sunny nie zwracała uwagi na gościa.

Korzystając z okazji, Jacob oglądał swe nowe miejsce zakwaterowania. Gospodyni przydzieliła mu pokój sąsiadujący z jej własnym, trochę większym, z dwoma oknami wychodzącymi na południowy wschód. Łóżko okazało się dużą, przypominającą skrzynię konstrukcją z drewna. Gdy przysiadł na brzegu, sprężyny materaca zaskrzypiały.

Zobaczył półkę z książkami. Powieści i poezja z dwudziestego i dziewiętnastego wieku. Większość w miękkich, bardzo kolorowych okładkach. Znał na-

zwiska dwóch autorów. Przejrzał książki, zaciekawiony bardziej jako naukowiec niż miłośnik literatury. Cał lubił czytać, Jacob nie wyobrażał sobie, że mógłby stracić godzinę na literacką fikcję.

Oni nadal przerabiają drzewa na papier, przypominał sobie. Część ludzi wycinała drzewa, żeby mieć gdzie budować domy, przeznaczając drewno na meble, produkcję papieru i opał. Inna część zalesiała grunty. Nie było wiadomo, którzy osiągną przewagę. Taka dziwna gra, jedna z wielu, które prowadziły do powstawania niewiarygodnie złożonych problemów ekologicznych.

Poza tym zatrawali powietrze dwutlenkiem węgla, lekkomyślnie niszczyli warstwę ozonową i dziwili się, kiedy przychodziło stawić czoło konsekwencjom takiej głupoty. Jacob zastanawiał się, jakiego rodzaju ludzie mogą zatrwać powietrze, którym sami oddychają. I wodę, przypominał sobie, kręcąc z niedowierzaniem głową. Wrzucali też wszystko co niepotrzebne do oceanów, jakby to były jakieś gigantyczne wysypiska śmieci. Na szczęście zdążyli się opamiętać, zanim spowodowali nieodwracalne szkody.

Systematycznie przemierzał pokój. Badał dotykem ściany, pościel. Zatrzymał się przy fotografii w ramce wyglądającej na srebrną. Już sama ramka byłaby interesująca, jego uwagę przykuło jednak zdjęcie. Brat, uśmiechnięty. Miał na sobie smoking i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Obejmował kobietę imieniem Libby. Ona miała we włosach kwiaty i długą białą suknię, zakrywającą również ręce i dekolt.

. Suknia ślubna, pomyślał Jacob. W jego czasach ta

ceremonia ponownie stawała się modna, choć wydawało się, że na zawsze uległa zapomnieniu. Pary odnajdywały świeży urok w starych, pełnych konwenansów uroczystościach. Oczywiście, nie miało to nic wspólnego z logiką. Małżeństwo zawiązywało się i rozwiązywało poprzez podpisanie stosownej umowy. Jeden i drugi typ umowy można było załatwić praktycznie od ręki. Uroczyste śluby i wesela wróciły jednak do łask.

W kościołach wymieniano obrączki i składano przysięgi. Projektanci kopiowali stroje z muzeów i starych filmów. Suknia Libby wywołałaby jęk zazdrości u każdego miłośnika starych obrzędów.

To wszystko go zdumiewało, wprost nie mieściło się w głowie. Wybuchnąłby donośnym śmiechem, gdyby nie chodziło o jego brata. Cal? Ten kobieciarz, który unikał emocjonalnego zaangażowania? Co za ironia losu! A jednak było to zdjęcie, ono stanowiło niezbity dowód, że Cal przestał kierować się logiką.

To rozwścieczyło Jacoba.

Jak tak można porzucić rodzinę, dom, cały swój świat. I to dla kobiety. Jacob zdjął fotografię ze ściany i wrzucił ją do szuflady. Szaleństwo, nie ma innego wyjaśnienia. Jedna kobieta nie może tak drastycznie odmienić czyjśgo życia. Ale jeśli skusiło go coś innego? Tak, to z pewnością interesujące miejsce. Na tyle, żeby poświęcić mu kilka tygodni studiów i badań. Gdy wrócę do domu, napiszę o tym parę artykułów, obiecał sobie. Ale żeby od razu tu zamieszkać? Musi przywołać Caleba do porządku. Odkręci to, co namotała ta

kobieta. Nikt nie zna Caleba Hornblowera lepiej niż jego własny brat.

Właściwie nie widywali się zbyt często. Ostatni raz spotkali się w mieszkaniu Jacoba na uniwersytecie. Grali w pokera i pili rum wenusjański - szczególnie silny napój alkoholowy. Cal przywiózł z ostatniej wyprawy całą skrzynkę.

Jacob przypomniał sobie, że brat jak zwykle przegrywał w karty. Obaj się upili.

- Kiedy teraz wrócę - powiedział Cal, odchylając głowę na oparcie krzesła i ziewając - spędzę trzy tygodnie na plaży, na południu Francji. Będę patrzył na kobiety i pił.

- Trzy dni - poprawił go Jacob, obracając w dłoni szklanekę z czarnym jak węgiel płynem. - Dłużej nie wytrzymasz. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przebywałeś na pokładzie statku częściej niż na Ziemi.

- Ty za to za mało latasz. - Uśmiechając się, Cal wyjął Jacobowi szklanekę z dłoni i wypił zawartość. - Przesiadujesz ciągle w laboratorium, braciszku. Powiem ci, że o wiele fajniej jest okrążyć planety, niż o nich czytać.

- To zależy od punktu widzenia. Gdybym ich nie studiował, ty nie mógłbyś na nie latać. - Osunął się niżej na krzesło, nie chciało mu się nalać kolejnej porcji rumu. - Poza tym, ty jesteś lepszym pilotem. To jedyna rzecz, którą robisz lepiej ode mnie.

Cal znów się uśmiechnął.

- To też zależy od punktu widzenia. Zapytaj Linsy McCellan.

Jacob zdobył się na uniesienie brwi. Kobieta, o której

była mowa, tancerka, hojnie obdarzała swymi wdziękami obu braci, nigdy jednak jednocześnie.

- Jej wiele nie trzeba. Zresztą, dzięki temu, że rzadko latam, częściej widuję się z Linsy.

- Nawet ona - Cal uniósł szklanekę - nie może się równać z lataniem.

- Jesteś teraz zwykłym przewoźnikiem, Cal. Gdybyś został w MSK, dosłużyłbyś się już stopnia majora.

Caleb wzruszył ramionami.

- Karierę zostawiłem dla ciebie, doktorze Hornblower. - Wyprostował się na krześle. - J.T., może pozwolisz uniwersytetowi odpocząć od swojej osoby i spędzisz ze mną kilka tygodni? W kolonii Brigston na Marsie jest klub, który trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć, że coś takiego istnieje. Pewien mutant gra na saksofonie, jest świetny.

- Mam pracę.

- Zawsze masz pracę. J.T., to tylko kilka tygodni, poleć ze mną. Zawiozę cię na miejsce, pokażę kilka rozrywkowych dzielnic, potem polecimy na plażę. Powiedz tylko, na którą.

To było kuszące, bardzo kuszące. Jacob niemal wyraził zgodę. Miał ogromną ochotę, nie zapominał jednak o swoich obowiązkach.

- Nie mogę. - Westchnął i sięgnął po butelkę. - Przed pierwszym muszę dokończyć pewne obliczenia.

Powiniennem był wtedy polecieć, pomyślał Jacob. Posłać do diabła obliczenia i obowiązki, wyskoczyć z Calebem. Może gdybym był wtedy z nim na statku, nic by się nie stało? A jeśli nawet, to byłbym wtedy przy Calebie, a to zmieniłoby postać rzeczy.

Dzięki filmowi wideo ukazującemu przebieg zdarzeń Jacob wiedział, przez co przeszedł jego brat. Czarna dziura, panika, bezradność. Cal przeżył tylko cudem, częściowo dzięki swym umiejętnościom, ale jednak cudem. Gdyby miał na pokładzie naukowca, może wspólnymi siłami odwróciliby bieg zdarzeń. Cal siedziałby teraz w domu, i tyle.

I w końcu tam wróci, powiedział sobie Jacob, starając się uspokoić. Za kilka tygodni. Wystarczy cierpliwie poczekać.

Żeby zabić czas, zaczął się bawić śmiesznym komputerem, który stał w kącie na małym biurku. Przez godzinę rozkładał go i ponownie składał, badał przełączniki, obwody i płytki półprzewodnikowe. Z ciekawości obejrzał jedną z dyskietek Libby.

Zawierała długi, drobiazgowy opis jakiegoś szczepu zamieszkującego wyspę na Pacyfiku. Jacoba zainteresowały, trochę mimo woli, opisy i formułowane na ich podstawie teorie. Autorka potrafiła przekształcić suche fakty w ciekawą opowieść o wychodzącej z izolacji kulturze. Jak na ironię, koncentrowała się na wpływie nowoczesnych narzędzi i technologii na społeczność, która z jej punktu widzenia była prymitywna. Sam Jacob spędził ostatni rok na rozmyślaniach, w jaki sposób technologia, którą miał do dyspozycji, wpłynęłaby na ludzi żyjących w czasach Libby.

Jest inteligentna, przyznał niechętnie. Nie oznaczało to jednak, że pozwoli jej zatrzymać tutaj Calą.

Wyłączył maszynę i zszedł na dół.

Sunny usłyszała jego kroki, lecz nie uniosła głowy znad książek. Chciała zapomnieć o obecności gościa,

lecz nie mogła. Nie hałasował ani nie był uciążliwy, ale już sama jego obecność pozbawiała ją spokoju.

Patrząc, jak Jacob wchodzi do kuchni, wmawiała sobie, że chce być sama. Nieprawda. Nie lubiła samotności, zwłaszcza dłuższej. Lubiła ludzi, rozmowy. Obecność tego człowieka nie sprawiała jej jednak przyjemności, tylko niepokoiła.

Dlaczego? - zastanawiała się, stukając długopisem w blok i patrząc na ogień. To ważne pytanie, uznała.

„Możliwe, że jest niepoczytalny” - napisała na kartce z bloku. Potem uśmiechnęła się do siebie. Czyżby i on prowadził jakąś wyprzedaż w supermarkecie? Od tego można zwariować. Wyłania się znikąd, żyje w lesie, bawi się kurkami.

Możliwe, że jest niebezpieczny. Przy tych słowach uśmiech ustąpił miejsca chmurnemu spojrzeniu. Nie wielu mężczyzn potrafiłoby tak ją zmylić i pokonać. Nie zrobił jej jednak krzywdy, a musiała przyznać, że miał okazję. Zresztą bycie niebezpiecznym nie oznacza jedynie stosowania przemocy.

Ma silną osobowość. Trzeba się go strzec, pomyślała, nawet gdy się uśmiecha. Wtedy na pozór się rozluźnia, lecz i tak sprawia wrażenie niezwykle skupionego i czujnego.

Dziko atrakcyjny. Sunny nie podobało się to określenie, uznała jednak, że doskonale do niego pasuje. Ma takie ostre, niemal bezlitosne spojrzenie, jak drapieznik. Jednak nie nieprzyjemne. Jak Heathclif z „Wichrowych wzgórz”, pomyślała i roześmiała się. Nie, to Libby jest romantyczna, nie ja.

Szkicowała jego twarz. Denerwowało ją, że jest

w niej coś dziwnego, coś, czego nie potrafi uchwycić. Coś ulotnego, tajemniczego, ekscentrycznego. Czyżby coś ukrywał? Może ma jakieś kłopoty?- Zrobił coś, po czym musiał znaleźć odludne miejsce, bezpieczną kryjówkę?- A jeśli Jacob mówi prawdę? Co, jeżeli po prostu przyjechał odwiedzić brata i poznać jego żonę?.

Nie. Patrząc na naprędcie naszkicowany portret, pokręciła głową. Może to i prawda, ale na pewno nie cała.

Westchnęła i odłożyła blok. Wstała i poszła do kuchni.

- Co ty u diabła robisz?

Jacob uniósł wzrok. Na stole leżały części opiekacza i gruba warstwa okruszków. Znalazł w szufladzie śrubokręt i widać było, że przeżywa najpiękniejszą przygodę swego życia.

- Trzeba go naprawić - wyjaśnił.

- Tak, ale...

- Lubisz przypalony chleb?

- Nie bardzo, ale... wiesz przynajmniej, co robisz?

- Może. - Uśmiechnął się na myśl, co by powiedziała Sunny, gdyby przyznał, że potrafi w ciągu godziny rozmontować moduł X-25. - Nie ufasz mi?'

- Nie. - Odwróciła się, żeby nastawić czajnik. - Nie sądzę jednak, żeby ten toster można było jeszcze bardziej zepsuć. - Grzeczniej, przypomniała sobie, najpierw grzeczniej, a potem wykonaj decydujący ruch. - Chcesz herbaty? - zapytała.

- Aha.

Ze śrubokrętem w ręku patrzył, jak Sunny podchodzi do kredensu, potem wraca do kuchenki. Porusza

się z gracją, pomyślał. W połączeniu z siłą powstaje interesująca kombinacja. Chodziła z wdziękiem, lekko, miała doskonałą koordynację ruchów.

Wyczuła jego wzrok i obejrzała się.

- Chcesz coś powiedzieć?
- Nie, lubię na ciebie patrzeć.
- Zjesz ciasteczko? - zapytała.
- Tak.

Podawała mu małe czekoladowe ciasteczko owinięte w pergamin.

- Gdybyś chciał zjeść na obiad coś bardziej wyszukanego, możesz sobie zrobić. - Postawiła na stole filiżanki i usiadła. - A znasz się na hydraulice?

- Przepraszam?

- Kran nad wanną przecieka. - Sunny zdarła papier ze swojego ciasteczka. - Na noc kładłam w wannie ręcznik, żeby nie słyszeć kapania, ale jeśli potrafisz to naprawić, będę wdzięczna. - Wbiła zęby w ciasteczko i przyknęła oczy, żeby lepiej poczuć smak. - Moglibyśmy przyjąć, że w ten sposób odpracowujesz posiłki.

- Zerknę na to - obiecał. Nadal trzymał śrubokręt, lecz jego uwagę przykuwał teraz sposób, w jaki Sunny zlizywała polewę z ciastka. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że czynność jedzenia może być tak seksowna. - Mieszkasz sama?

- Oczywiście.

- Także wtedy, gdy nie jesteś tutaj?

- Przez większość czasu. - Oblizała czekoladę z palca tak, że Jacob niemal jęknął. - Lubię mieszkać sama bo wtedy nie trzeba z nikim nic ustalać. Jem, kiedy chcę, wracam do domu, kiedy mi się podoba. A ty?

- Co ja?

- Mieszkasz sam?

- Tak. Przez większość czasu pracuję.

- Fizyka, tak? To niedobrze. - Myśl, że gość jest szpiegiem, wydawała się jej coraz bardziej absurdalna. No i nie był chyba takim wariatem, za jakiego pierwotnie go uznała. Po prostu ekscentryk, pomyślała. To jej właściwie nie przeszkadzało. Sama na ogół zachowywała się ekscentrycznie. - Więc naprawdę planujesz rozbijanie atomów czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju.

- Co sądzisz o reaktorach atomowych-

Niemal się roześmiał, lecz przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

- Stosowanie materiałów rozszczepialnych jest jak strzelanie z armaty do komara. Niebezpieczne i niepotrzebne.

- Moja matka byłaby zachwycona, ale taki pogląd nie pasuje do fizyka.

- Nie wszyscy naukowcy myślą tak samo. - Czując, że zabrnął na grząski grunt, powrócił do skręcania toster. - Opowiedz mi o swojej siostrze.

- Libby? Po co?

- Interesuje mnie, ponieważ zdobyła mojego brata.

- Zdobyła? Nie przetrzymuje go dla okupu. To on ciągnął ją do ołtarza z taką szybkością, że ledwie zdążyła powiedzieć „tak”.

- Do jakiego ołtarza?

- To taka metafora, J.T. - Mówiła teraz powoli i ostrożnie. - Kiedy ludzie biorą ślub, mówi się, że idą do ołtarza.

- Ach, racja. To znaczy, że na pomysł małżeństwa wpadł Cal?

- Nie wiem, które z nich pierwsze, ale to jest chyba bez znaczenia. W każdym razie zrobił to z entuzjazmem. - Zniecierpliwiona, zaczęła bębnić palcami w stół. - Odnoszę wrażenie, że twoim zdaniem Libby do czegoś go zmusiła albo użyła kobiecego podstępu, by go schwytać w pułapkę.

- I schwytała?

Sunny zakrztusiła się herbatą. Gdy jej przeszło wzięta głęboki oddech.

- Może trudno jest ci to zrozumieć, Hornblowerj ale Cal i Libby kochają się. Słyszałeś o czymś takim jak miłość, prawda?

- Znam to pojęcie - odpowiedział. Intrygowały go objawy narastającego u rozmówczyni gniewu. Jej oczy pociemniały, policzki zaróżowiły się, uniosła podbródek. I bez tego była atrakcyjna, ale teraz wprost oszałamiająco. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie pomyślał, jak musi wyglądać pobudzona czymś innym niż złość. - Nie doświadczyłem sam tego uczucia, ale mam otwarty umysł.

- To ładnie z twojej strony - mruknęła.

Wstała, włożyła ręce do tylnych kieszeni dżinsów i podeszła do okna. Boże, co za typ, pomyślała. Jeśli nie uduszę go przed powrotem Cala i Libby, to będzie cud.

- A ty? - usłyszała.

- Co ja?

- Byłaś zakochana?

Spojrzała na niego szczególnie wrogo.

- Trzymaj się z daleka od mojego życia osobistego.

- Przepraszam. - Nie powiedział tego szczerze. Musiał sprawić, by to ona wyszła na głupią, nie on. - Po prostu mówiłaś o tym z taką znajomością rzeczy, jakbyś zdobyła duże doświadczenie. Nie masz jednak pary, to znaczy, nie jesteś zamężna, prawda?

Celny strzał, bez pudła. Sunny nie była nigdy zakochana, choć kilkakrotnie próbowała. Uwaga Jacoba jeszcze bardziej rozpała jej gniew.

- To, że ktoś nie jest zakochany, nie oznacza jeszcze, że nie może docenić wartości tego uczucia.

- Odwróciła się, wściekła, że została zepchnięta do defensywy. - Nie mam męża wyłącznie z wyboru.

- Rozumiem.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że mimowolnie zacisnęła zęby.

- Poza tym nie rozmawiamy o mnie, a o Libby i. Calu - dodała.

- Myślałem, że rozmawiamy ogólnie o miłości.

- Rozmowa o miłości z pozbawionym uczuć gburzem to strata czasu, a ja nie lubię swojego marnować.

- Oparła rękę na biodrze. - Oboje jednak interesujemy się Libby i Calem, więc wyjaśnijmy sobie wszystko.

- W porządku, wyjaśnijmy.

Nie potrzebował bazy danych, żeby poznać znaczenie słowa „gbur”. Nieważne, to tylko jeszcze jedna obelga, za którą ona zapłaci.

- Zakładasz z góry, że moja siostra, kobieta, podstępnie nakłoniła twojego brata, który jest tylko mężczyzną, do małżeństwa. Nie widzisz, jak przestarzały jest taki sposób rozumowania?

- Naprawdę?

- Idiotycznie staroświecki, szowinistyczny i głupi. Pogląd, że marzeniem każdej kobiety jest wyjście za mąż i zamieszkanie w domku z ogródkiem wyszedł z mody razem ze spódnicą bombką.

Choć zastanawiał się przez chwilę, kto o zdrowych zmysłach użyłby bomby w charakterze spódnicy, rozumiał, że chodzi o coś innego.

- Głupio - upewnił się.

- Idiotyczny. W dzisiejszych czasach tylko idiota może wyznawać poglądy godne neandertalczyka. Chyba przespałeś kilka ostatnich dziesięcioleci, ale świat się zmienia. Kobiety mają teraz wybór. Oświeceni mężczyźni rozumieją i doceniają zalety takiego stanu rzeczy. Oczywiście, nie tacy nadęci megalomani jak ty. Twoja strata.

Powoli wstał, demonstracyjnie, tak że gdyby nie była wściekła, mogłaby się zaniepokoić.

- Tak, Hornblower, od chwili kiedy się zjawiłeś, próbujesz przedstawić małżeństwo brata jako wynik spisku uknutego przez moją siostrę. - Zrobiła krok w jego kierunku. - Teraz cię zażyję, Hornblower. Tylko głupiec dałby się wbrew swej woli zmusić do małżeństwa, a Cal nie robi na mnie wrażenia głupca. W tym właśnie punkcie kończy się wasze rodzinne podobieństwo. Niestety.

Dupa wołowa, gbur, a teraz głupiec. Tak, pomyślał, ona mi za to zapłaci.

- Dlaczego więc ożenił się tak szybko, zanim jeszcze porozmawiał na ten temat z rodziną?- - mruknął złośliwie.

- Zapytaj jego-odparła.-Może nie chciał, żebyście go przesłuchiwali. W mojej rodzinie nie wywiera się w takich sprawach nacisku. A kobiety radzą sobie doskonale bez usidlania nieostrożnych mężczyzn. Rozumiesz, Hornbloweri My, kobiety, nie potrzebujemy takich jak ty.

Tym razem to on zbliżył się o krok.

- Nie?

- Nie. Ani do zarabiania na chleb, ani do rąbania drewna czy wynoszenia śmieci. Ani... ani do naprawiania opiekaczy - dodała, wskazując bałagan na stole. Same radzimy sobie ze wszystkim.

- Zapomniałaś o czymś.

- Niby o czymś

Szybkim ruchem położył dłoń na jej karku, żeby nie mogła się odsunąć, i pocałował ją.

Spodziewała się raczej lewego sierpowego, toteż dała się zaskoczyć. Mruknęła coś; czuł ustami ruch jej warg. Moje imię, pomyślał. Był zły, bardziej niż zły. Nigdy przedtem działanie pod wpływem impulsu nie postawiło go w tak niezręcznej sytuacji.

Mimo to lekkomyślnie odrzucił logikę i myśli o konsekwencjach. Przyciągnął Sunny bliżej. Wy-rwała ręce z kieszeni. Trzymała go za ramiona, może w geście oporu, może w geście poddania. Pragnął jednego albo drugiego, wszystko jedno.

Pocałował ją mocniej, usłyszał głośne westchnienie rozkoszy.

Nie walczyła. Przez chwilę przenikał ją prąd emanujący z jego ciała. Nie myślała, myśli roztapiały się jak rysunki zrobione kredą na deszczu.

Gdy przywarła do niego, poczuła, że ramiona mężczyzny stężały, usłyszała, jak wciąga głęboko powietrze i wzdycha.

Czuła się, jakby ożywała w jego ramionach. On czuł, że żadna kobieta, której dawał rozkosz, ani która dawała ją jemu, nie pasuje do niego tak bardzo jak ta.

Dotknął jej jedwabistych włosów. Przesunął dłoń po satynowej szyi. Pogłębił pocałunek i jęknął, gdy Sunny stosownie do tego zareagowała.

Nigdy jeszcze żądza nie pozbawiła go tak szybko zdolności do panowania nad sobą, nie osiągnęła tak nieznośnego natężenia.

Cierpiał. Nigdy przedtem nie cierpiał, przynajmniej nie z pożądania. Przestraszył się. Czuł, że coś ważnego wymyka się mu z rąk.

Gwałtownie odsunął ją od siebie, przytrzymał mocno, żeby nie mogła się zbliżyć. Oddychał szybko, jakby właśnie wbiegł na szczyt wysokiego, stromego wzgórza.

Nie odezwała się, widział tylko jej wielkie, pociemniałe nagle oczy. W słabym zimowym świetle jej skóra wydawała się jasna i czysta. Sunny stała nieruchomo jak posąg, nadal milczała. Potem zaczęła drżeć.

Oderwał ręce od jej ramion, jakby parzyły.

- Zakładam... - Ponieważ głos zabrzmiał słabo, Sunny głęboko odetchnęła. - Zakładam, że w ten sposób chciałeś coś udowodnić.

Poczuł się głupcem, właśnie tak, jak go przedtem nazwała.

- Miałem do wyboru to i lewy prosty - wyjaśnił.

Tak czy inaczej, znokautował ją. Już spokojniejsza, skinęła głową.

- Jeśli nadal zamierzasz tu mieszkać, musimy ustalić pewne zasady.

Szybko doszła do siebie, pomyślał z rozczarowaniem, które go zaskoczyło.

- Rozumiem, że ty je podyktujesz.

- Tak. - Wolałaby usiąść, zmusiła się jednak, by stać i patrzeć mu w oczy. - Możemy się spierać, ile tylko zechcesz. Lubię ciekawe spory.

- Gdy się kłócisz, jesteś czarująca i uwodzicielska. Nikt jej tego nigdy nie powiedział.

- Myślę - odparła - że musisz się nauczyć nad sobą panować.

- W tym właśnie nie jestem najlepszy.

- Albo odejść stąd przez śnieg, którego napadało już ze trzydzieści centymetrów.

Spojrzał w kierunku okna.

- Popracuję nad tym.

- To dobrze. - Znów wzięła głęboki oddech. - Jest dość oczywiste, że się za bardzo nie lubimy, ale póki jesteśmy skazani na swoje towarzystwo, możemy się zachowywać w sposób cywilizowany.

- Dobrze powiedziane. - Miał ochotę dotknąć jej policzka, lecz zwalczył tę pokusę. - Czy mogę zadać pytanie?

- Możesz.

- Zawsze reagujesz tak żywiołowo na ludzi, których nie lubisz?

- Nie twoja sprawa.

- Myślałem, że to bardzo cywilizowane pytanie.

- Uśmiechnął się i zmienił taktykę. - Cofam je jednak, gdyż jeśli zaczniemy się znów kłócić, wyładujemy w łóżku.

- Ze wszystkich mężczyzn świata...

- Co? Chcesz się przekonać, czy tak będzie? Nie, chyba nie, żartowałem. Jeśli to ci poprawi humor, wiedz, że ja także nie jestem zainteresowany. - Usiadł i wziął do ręki narzędzia. - Uznajmy to całe wydarzenie za pomyłkę.

- To przecież ty...

- Tak - przyznał - to ja.

Duma nie pozwoliła jej zaszyć się w bezpiecznym zaciszu sypialni. Sunny podeszła do stołu.

- Chyba żądanie przeprosin nie byłoby w tej sytuacji zbyt wygórowanej

- Nie, nie musisz przeproszać - odparł lekkim tonem.

Chwyliła obudowę opiekacza i rzuciła ją z hukiem na podłogę.

- Cham.

Z trudem, ale jednak zapanował nad sobą. Gdyby jej teraz dotknął, oboje by tego później żałowali.

- No dobrze. Przepraszam, że cię pocałowałem, Sunny. Nie będę ci już tłumaczył, jak bardzo mi przykro.

Odwróciła się i wybiegła z kuchni. Te przeprosiny tylko zwiększyły jej rozgoryczenie. Porwała z półki możliwie najcięższą książkę i rzuciła nią w ścianę. Kopnęła sofę, zaklęła i wbiegła po schodach na górę.

Nie pomogło. Nadal rozpierała ją furia. Niestety, znacznie gorsza była towarzysząca jej żądza. Zrobił to,

pomyślała, trzaskając drzwiami. Zrobił to. Zrobił to specjalnie, zaplanował wszystko od początku do końca. Była tego pewna.

Tak ją rozzłościł, tak wytrącił z równowagi, że gdy ją pocałował, zareagowała irracjonalnie. Upokorzył ją i do tego przechytrzył. Zapłaci za to.

Rzuciła się na łóżko. Postanowiła spędzić popołudnie na obmyślaniu sposobów zmienienia życia Hornblowera w prawdziwe piekło.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie powinienem był jej dotykać, rozmyślał ponuro Jacob. Potem zorientował się, że o wiele łatwiej i przyjemniej jest zwalić winę na nią. W końcu to ona zaczęła. Od samego początku wszystko mu komplikowała.

W jego świecie - w każdym świecie, pomyślał z goryczą - są osoby po prostu urodzone po to, by komplikować życie innym. Sunbeam Stone najwidoczniej należała do tej kategorii. W jej wyglądzie, głosie, gestach, w jej osobowości zawierało się wszystko, co potrzebne kobiecie, by odwracać uwagę mężczyzny od innych, naprawdę istotnych spraw. Wyprowadzać go z równowagi.

Robiła to przy każdym spotkaniu. Te chłodne uśmiechy, ten gorący temperament. Połączenie, któremu Jacob nie mógł się oprzeć. I wiedział na pewno, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

Kiedy ją pocałował, a Bóg świadkiem, że tego nie planował, poczuł się jak wystrzelony w kosmos. Skąd

mógł wiedzieć, że w tych przyjaznych, miękkich ustach kryje się tyle siły?

Nie pociągały go nigdy kobiety biernie. Co z tego? Nie chciał, by Sunbeam go pociągała. Nie mógł sobie na to pozwolić. I nie pozwoli, niezależnie od tego, jakie dwudziestowieczne sztuczki zastosuje ta niewiasta.

To, co zaszło, stało się wyłącznie z jej winy, uznał. Wyśmiewała się z niego, prowokowała go. Chciała go ogłupić, zbić z tropu. Musiał przyznać, że robiła to sprawnie, i osiągnęła swój cel. Gdy już postąpił tak, jak postąpiłby na jego miejscu każdy normalny mężczyzna, spojrzała na niego tymi wielkimi oczami, przepętnionymi strachem i namiętnością. Tak, po studiach nad dwudziestym wiekiem powinien zachować większą ostrożność. Kobiety były wtedy sprytniejsze i bardziej wyrafinowane.

Z rękami w kieszeniach podszedł do okna, zapatrzył się na wirujący śnieg. Tak, ona jest inteligentna, pomyślał. Ostra jak kryształ z Wenus i dwakroć niebezpieczniejsza. Zorientowała się, że w jego opowieści coś się nie zgadza i postanowiła wykryć, co zataił. Tyle że on był równie zdeterminowany w kwestii zachowania milczenia.

Nie obawiał się jej inteligencji, pewien, że pod tym względem przewyższa Sunny. Ile trzeba, żeby okazać się mądrzejszym od kobiety z dwudziestego wieku? W końcu miał nad nią przewagę dwustu lat ewolucji. Szkoda tylko, że ona tak go intryguje. I że jest tak prymitywnie atrakcyjna. Nie mógł się temu poddać. Wiedział, że zrujnowałoby to wszystkie jego założenia i kalkulacje.

Co do jednego miała jednak rację, przyznał. Są na siebie skazani. Sami na tej całej cholernej górze. Sytuację pogarszał jeszcze wciąż padający śnieg. Trudno, trzeba będzie się jakoś z tym uporać.

Z pomocą Sunny czy też bez niej, jakoś musi dotrzeć do brata.

Odwrócił się i obrzucił wzrokiem kuchnię. Przede wszystkim, domek jest zbyt mały, żeby mogli siebie unikać. Powinien wrócić do statku, wolał jednak zostać tutaj, wykorzystując czas na obserwacje.

Zostanie więc. A jeśli będzie tej Sunny zawadzał, to tym lepiej. Poradzi sobie z nią, ma nad nią przewagę.

Uspokojony tym wnioskiem, usiadł przy stole, żeby złożyć opiekacz. Pracując, słyszał skrzypienie sufitu. Uśmiechnął się. Sunny chodziła po pokoju, na pewno odczuwała niepokój z jego powodu. To dobrze. Może dzięki temu zachowa dystans lub przynajmniej przestanie go prowokować.

Głupio jest pożądać kogoś, kogo się nie lubi. Fantazjować o kimś, kogo się nie toleruje. Tęsknić do kogoś, kto tak konsekwentnie działa nam na nerwy.

Zaklął, gdyż śrubokręt obsunął się i skaleczył go w kciuk.

On się z tego nie wywinie. Rozpierał ją gniew. Chodziła od ściany do ściany, od okna do drzwi. Sięgnął po nią, jakby mu się należała, potem równie bezceremonialnie odtrącił. Czy on naprawdę myśli, że może folgować swemu seksualnemu popędowi, nie licząc się z jej zdaniem? Ze pozostanie bezkarny?

Miała dla niego przykrą wiadomość.

Nikt, absolutnie nikt nie ma prawa traktować jej w ten sposób. A jeśli potraktuje, to i tak nie przeżyje, by obnosić się ze swym zwycięstwem. Od dawna musiała sama o siebie dbać. Mężczyźni naciskali, ona ich odpychała. Uwodzili ją, lecz ona opierała się tym staraniom bez wysiłku. Błagali, a ona...

Uśmiechnęła się szeroko na myśl, że Jacob Hornblower mógłby ją o coś błagać. Tak, to by dopiero był triumf, pomyślała. Enigmatyczny doktor Hornblower na kolanach, u jej stóp.

Westchnęła. Pożałowała, że nie jest biegła w typowych damskich gierkach. Trudno, ma swoje zasady.

Jest nowoczesną kobietą, samodzielną, radzącą sobie w życiu, wszystko jedno czy z mężczyzną, czy bez. Miała własne przemyślenia i cele. Taka postawa wykluczała posługiwanie się seksem jako bronią. Chciała by jednak, bardzo by chciała, ten jeden jedyny raz odłożyć zasady na bok i rzucić Jacoba na kolana.

On sam posłużył się seksem, pomyślała, kopiąc pantofel, który pechowo znalazł się na jej drodze. Mężczyźni zarzucają takie postępowanie kobietom, a sami się do niego uciekają. Podeszła i wymierzyła pantoflowi drugiego kopniaka. Mężczyźni! Udają niewiniątka chwytane w potrzask przez cyniczne wampy. Ha!

Użył siły. Musiała przyznać, że siła była mu potrzebna tylko przez ułamek sekundy, ale fakt pozostaje faktem. No tak, potem już nie musiał...

To ją najbardziej złościło. Fakt, że stopniała nagle jak jakaś słaba kobietka, bohaterka dziewiętnastowiecznego romansu. Ona też go całowała. Jak to się

mówi? Lubieżnie. Wystarczył jeden pocałunek, by do niego przylgnęła. Za to też mu odpłaci.

Najlepiej pięknym za nadobne, uznała. Jeśli pozostanie w pokoju, on sobie pomyśli, że wywarł na niej wrażenie. Musi się więc zająć swymi sprawami, zachowywać chłodno i obojętnie.

Gdy zeszła, nadal tkwił w kuchni. Sunny włączyła radio niemal na pełny regulator. Dorzuciła drewna do ognia i rozsiadła się z książkami na sofie. Dopiero po godzinie Jacob wyłonił się z kuchni i poszedł na górę. Udała, że nie zwraca na niego uwagi.

Bardziej z nudów niż z głodu poszła do kuchni i zrobiła sobie wielką kanapkę. W innych okolicznościach zaproponowałaby też jedzenie gościowi. Myśl, że Jacob może być głodny, sprawiła jednak, że kanapka smakowała jej jak nigdy.

Zadowolona, ubrała się, żeby wyjść na dwór i napełnić karmnik dla ptaków. Ta krótka wyprawa uświadomiła jej, że będzie musiała znosić niechciane towarzysztwo jeszcze przez co najmniej kilka dni. Śnieg padał dużymi płatami, zasypywał niemal natychmiast jej ślady. Wiał też dość silny wiatr.

W śniegu sięgającym krawędzi wysokich butów dobrnęła z powrotem do szopy i schowała torbę z pokarmem. Potem stała przez chwilę na wietrze. Czuła wiatr, widziała wirującą biel płatków. Wspaniałe uczucie.

Rozdrażnienie minęło, mroczne myśli ją opuściły. Osłaniając policzki przed wiatrem, poczuła radosne podniecenie i spokój, jakiego rzadko doświadczała w innych miejscach.

Choć nigdy nie mieszkała w górach długo, choć wolała miasto, tylko tutaj mogła nasycić się ciszą. Tylko tutaj umiała czerpać siły z potęgi przyrody. Zwłaszcza podczas burzy czy zadymki czuła moc natury.

W mieście śnieg szybko topnieje albo zostaje wywieziony. Góry są jednak cierpliwe. Mogą czekać na słońce i wiosnę. Czuła owiewający ją wiatr, chciałyby zawsze czuć się taka wolna i lekka.

Jacob, obserwował ją przez okno. Stała otoczona wirującym śniegiem, jak jakaś zimowa bogini. Bez czapki, w rozpiętej kurtce, pozostawała nieruchoma, pozwalając, by śnieg pokrywał jej włosy. Uśmiechała się. Mróz zaróżowił jej policzki. Wydawała się teraz nie tylko piękna, ale też niedostępna i niewyciężona.

Pragnął jej bardziej niż wtedy, gdy trzymał ją w ramionach.

Potem uniosła wzrok, jakby wyczuła, że on na nią patrzy. Ich spojrzenia się spotkały. Zacisnął ręce w pięści. Przestała się uśmiechać.

Wiedział, że gdyby mógł jej teraz dosięgnąć, posiadałby ją, bez względu na konsekwencje. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlały się w jedno. Zobaczył swe przeznaczenie.

Poruszyła się, strząsnęła śnieg z głowy i czar prysł. Jacob powiedział sobie, że to tylko kobieta, głupia kobieta, która bez sensu stoi i marznie.

Gdy wróciła do domu, Jacob odczekał dłuższą chwilę, zanim zszedł na dół.

Spała na sofie, książki piętrzyły się koło niej i na podłodze. Radio grało głośno, na kominku migotał płomień.

Teraz nie wygląda na niezwyciężoną, uznał. Teraz jest w niej jakiś wszechogarniający spokój. Jacob patrzył na długie rzęsy, piękne usta, lśniące w świetle ognia włosy.

To tylko cechy fizyczne, pomyślał. W jego czasach można je było zmieniać łatwo i bez ryzyka. Oczywiście, uroda czyni życie przyjemniejszym, ale to tylko powierzchowność. Mimo wszystko długo się jej przyglądał.

Sunny obudziła się, gdyż muzyka nagle ucichła. Zdezorientowana i zirytowana, jak zawsze po przebudzeniu, patrzyła na ciemny pokój. Ogień przygasł, żarzyły się tylko węgle. Gdy spała, musiała zapaść noc. No i wysiaść elektryczność.

Z westchnieniem wstała i ruszyła na poszukiwanie zapałek. Potem, już z zapałkami i świecą w ręku, odwróciła się i wpadła na Jacoba.

Gdy pisnęła, uniósł ręce.

- To tylko ja.

- Wiem, że to ty - warknęła, zła na siebie, że okazała strach. ~ Co tu robisz?

Widziała go na tle dogasającego kominka.

- Co z tym światłem?- - zapytał.

Pokonał chęć wsunięcia dłoni pod rękawy jej swetra, pogłaskania rąk.

- To z powodu burzy śnieżnej.

- Mam naprawić?

Zaśmiała się, trochę niespokojnie. Chciałaby uwierzyć, że denerwuje się z powodu ciemności, tej jednak nigdy się nie obawiała.

- To trochę bardziej skomplikowane niż toster. Gdy droga stanie się przejezdna, przyślą kogoś z elektrowni.

Wiedział, że coś by zaradził, ale brak światła mu nie przeszkadzał.

- W porządku.

Tak, w porządku, pomyślała, ale na razie jesteśmy tu sami. Ten facet jest być może niepoczytalny, a ja czuję do niego pociąg. Przestań się zamartwiać, napomniała się.

- Mamy dużo świec. - Żeby tego dowieść, zapaliła tę, którą trzymała w ręku. Światło dodało jej pewności siebie. - I dużo drewna. Wrzucić może parę polan do kominka, a ja przyniosę więcej świec.

Widział płomyk odbijający się w jej oczach. Jest zdenerwowana, stwierdził. Modlił się, żeby w tym stanie nie podzielała na niego jeszcze bardziej uwodzicielsko.

- Dobrze.

Sunny zapaliła w salonie wszystkie świece, które udało się jej znaleźć. Zbyt późno zorientowała się, że niektóre były ozdobne. Dawały niewiele światła, lecz stwarzały bardzo romantyczny nastrój. Włożyła zapalki do kieszeni i przypomniała sobie, że coś takiego jak nastrój na nią nie działa.

- Nie wiesz, która godzina? - zapytała.

- Koło szóstej.

Usiadła na poręczu sofy, bliżej paleniska.

Spałam dłużej, niż myślałam. - Postanowiła ignorować fakt, że sytuacja komplikowała się z godziny na godzinę. - Dobrze się bawiłeś po południu?

- Naprawiłem kran.

Okazało się to trudniejsze i zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał, ale w końcu się udało.

- Jesteś prawdziwym majsterklepką, prawda? - Ponieważ zabrzmiało to ironicznie, uśmiechnęła się, żeby złagodzić wrażenie. Naprawdę byli teraz na siebie skazani i kłótnie mogły poczekać. - Zrobię kanapki. Chcesz piwa?

Wstała, zadowolona, że będzie się miała czym zająć.

- Tak, poproszę.

Sunny zabrała do kuchni dwie świece. Niemal się uspokoiła, gdy nagle zorientowała się, że Jacob idzie w ślad za nią.

- Poradzę sobie sama - oświadczyła.

Otworzyła lodówkę, w której oczywiście również panowała ciemność. Po chwili podała Jacobowi dwie butelki piwa.

Przypomniał sobie, co Sunny zrobiła rano z podobnymi butelkami. Znalazł potrzebne narzędzie i otworzył je.

- Włącz radio, dobrze?

- Co?

- Radio - powtórzyła - na parapecie. Może złapiemy prognozę pogody.

Znalazł małą plastikową skrzynkę, dostrzegł guzik, nacisnął. Rozległ się szum.

- Złap coś.

Rozważał właśnie, czy nie pożyczyć, tak, to dobre słowo, pożyczyć tego urządzenia i nie zabrać go do domu.

- Co mam złapać?

- No wiesz, jakąś stację.

Upewnił się, że Sunny stoi do niego plecami i na wszelki wypadek potrząsnął urządzeniem. Wydało się mu to głupie, zaczął więc poruszać różnymi pokrętłami. Szum na przemian wzmagał się i ustawał.

- Z musztardą czy majonezem?

- Co?

- Twoja kanapka - wyjaśniła, modląc się o cierpliwość. - Chcesz musztardę czy majonez?

- Nieważne, to co ty.

Natrafił na jakąś stację z ledwo słyszalną muzyką. Jak ludzie mogli się posługiwać tak zawodnym sprzętem? - zastanawiał się. W domu miał przenośne urządzenie, które podawało informacje o pogodzie w Paryżu, wynikach meczu w Nowym Jorku i o krokach na Marsie, jednocześnie parząc kawę. Natomiast ten antyczny przedmiot wydawał odgłos, jakby ktoś grał na banjo w tunelu aerodynamicznym.

- Może ja spróbuję. - Sunny odłożyła kanapkę i wyrwała mu radio. Po jej manipulacjach zaczęły z niego dobiegać przerywane dźwięki muzyki. - Jest kapryśne - wyjaśniła.

- To przecież martwe urządzenie - zdziwił się.

- Ale kapryśne. - Odstawiła odbiornik, przyniosła i postawiła na stole kanapkę i piwo. - Właściwie nie potrzebujemy komunikatu o pogodzie. Sama widzę, że pada śnieg.

Jacob wziął jedną z frytek, których stos leżał koło jego kanapki.

- Ale nie wiemy, kiedy przestanie - zauważył.

- Oni też nie wiedzą. Nieważne, że mają sprzęt satelitarny. I tak tylko zgadują.

Chciał się sprzeciwić, lecz uznał, że to nie ma sensu.

- Czy to cię niepokoi? - zapytał.

- Co?

- Że jesteśmy, jak to powiedzieć, odcięci?

- Nie bardzo, o ile nie potrwa to dłużej niż dzień czy dwa. Dopiero potem zacznę wariować. - Zastanowiła się, czy użyła właściwych słów. - A ciebie?

- Nie lubię zamknięcia - odpowiedział po prostu. Uśmiechnął się, słysząc, że Sunny stuka piętą w podłogę. Znow ją zdenerwował. Spróbował ostrożnie piwa.

- To jest dobre - pochwalił.

Spojrzał na radio, gdy muzyka ucichła i rozległ się miły głos spikerki zapowiadającej pogodę. Dopiero po dłuższej chwili zaczęła mówić o górach.

- A wy, w górach w regionie Klamath, powinniście się do siebie przytulić. Mam nadzieję, że macie do kogo. Te białe płatki będą padały z nieba jeszcze przez całą jutrzejszą noc. Spodziewajcie się ponad półmetrowej pokrywy śnieżnej i wichury dochodzącej do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Br! Temperatura spadnie w nocy do minus dziesięciu stopni. Opatulcie się dzieciaki i niech miiiiłość was rozgrzewa!

- Nie za bardzo naukowe - mruknął Jacob.

Sunny prychnęła zniecierpliwiona i spojrzała ponuro na radioodbiornik.

- Nieważne, jak to mówią, oznacza to samo. Lepiej przyniosę więcej drewna.

- Ja to zrobię.

- Nie potrzebuję...

- Ty przygotowałaś kanapki - zauważył i pociągnął łyk piwa. - Przyniosę drewno, gdy zjemy.

- Niech będzie. - Nie chciała od niego żadnej pomocy. Przez chwilę jadła w ciszy, potem spojrzała na gościa.

- Lepiej byś zrobił, gdybyś poczekał na wiosnę.

- Z czym?

- Z odwiedzeniem Cala.

Zjadł kolejny kęs kanapki. Nie wiedział, co to jest, ale smakowało wspaniale.

- Pewnie tak. Właściwie miałem przyjechać... wcześniej. Prawie rok wcześniej, ale nie wyszło.

- Szkoda, że rodzice nie mogli się z tobą zabrać.

Zobaczyła w jego oczach... Smutek? Gniew? Nie wiedziała.

- To nie było możliwe.

Nie potrafiła tego pojąć.

- Moi rodzice nie mogliby tak długo nie spotkać się z Libby czy ze mną.

Potępienie, które usłyszał w jej głosie, rozdrażniło go.

- Nie masz pojęcia, jak decyzja Cala wpłynęła na moją rodzinę.

- Przykro mi. - Wzruszyła jednak ramionami, by pokazać, że wcale nie jest jej przykro. - Po prostu myślałam, że skoro tak chcą go zobaczyć, mogliby się zdobyć na ten niewielki wysiłek.

- To był nie tyle ich wybór, co decyzja Cala.  
- Wstał. - Przyniosę trochę drewna.

Jaki obraźliwy, pomyślała, gdy ruszył w kierunku drzwi.

- Poczekaj.

Odwrócił się, gotów do kłótni.

- O co chodzi?

- Nie możesz wyjść bez kurtki. Jest mróz.

- Nie wzięłem ze sobą kurtki.

- Czy wszyscy naukowcy są tacy bezmyślni?  
- mruknęła, idąc w kierunku szafy. - Jak można być takim głupcem, żeby w styczniu wyjechać w góry bez ciepłego ubrania.

Jacob wciągnął powoli powietrze i odpowiedział spokojnie:

- Jeśli będziesz mnie nadal nazywać głupcem, uderzę cię.

- Ojej, trzęsę się ze strachu. Masz. - Rzuciła w jego kierunku starą, zieloną kurtkę. - Włóż to. Ostatnie, czego mi potrzeba, to leczyć twoje odmrożenia. - Po chwili namysłu dorzuciła rękawiczki i czarną wełnianą czapkę. - Macie chyba zimy w Filadelfii, prawda-

Zacisnął zęby i założył kurtkę.

- Kiedy wyjeżdżałem, nie było zimno.

Naciągnął czapkę na uszy.

- Pewnie, to wszystko wyjaśnia.

Roześmiała się, gdy z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie jest tak naprawdę wariatem, pomyślała. Ma trochę przytępiony umysł, no i tak zabawnie się złości. Jeśli jeszcze bardziej wyprowadzę go z równowagi, uznała, może bezwiednie zdradzi coś więcej na swój temat.

Usłyszała, że Jacob klnie i roześmiała się głośno. Sądząc z odgłosu, musiał upuścić sobie na stopę jakąś cięższą kłodę. Może powinna mu dać latarkę?- Nie, zasłużył na karę.

Powstrzymała uśmiech i otworzyła Jacobowi drzwi. Śnieg zdążył go pokryć dość grubą warstwą. Przykleił się do brwi, co nadawało twarzy wyraz komicznego zdziwienia. Przygryzła wargę, próbując zachować powagę. Jacob przeszedł obok niej z naręczem drewna. Gdy usłyszała, że wrzucił je do skrzynki w salonie, wzięła obie butelki piwa i dołączyła do niego.

- Ja przyniosę następną porcję - zaproponowała z troską w głosie.

- No pewnie - zgodził się skwapliwie. Bolała go stopa, miał zdrętwiałe palce i zupełnie stracił animusz.

- Jak można tak żyć? - zapytał retorycznie.

- Jak? - zapytała niewinnie.

- To znaczy tutaj. - Był na granicy utraty panowania nad sobą. Wyrzucił ramiona gestem, jakby obejmował nie tylko domek, lecz w ogóle cały świat. - Nie ma prądu, nie ma żadnych udogodnień, porządnych środków transportu, niczego nie ma. Chcesz ciepła, musisz spalać drewno. Drewno, na Boga! Chcesz światła, wysiada elektryczność. A komunikacja? To już jakiś żart, i to kiepski.

Sunny lubiła życie w mieście, jednak drażniło ją, że Jacob wyrażał się tak obraźliwie o jej rodzinnym domu. Uniosła głowę.

- Posłuchaj, koleś, gdybym cię nie przygarnęła, zamieniłbyś się w lesie w sople lodu. Znaleźliby cię po roztopach. Pamiętaj o tym.

Przewrażliwiona, uznał.

- Ale chyba nie powiesz, że naprawdę lubisz tu mieszkać.

Wzięła się pod boki.

- Ja tak. Jeśli tobie się nie podoba, tam są jedne drzwi, a tam drugie.

Niewielka w gruncie rzeczy wyprawa po drewno przekonała go, że zmaganie się z siłami natury nie stanie się jego ulubionym zajęciem. Po chwili milczenia wziął swoje piwo, usiadł i napił się.

Ponieważ Sunny uznała tę rundę za wygraną, również usiadła. Nie zamierzała jednak dać przeciwnikowi chwili wytchnienia.

- Wymagający jesteś, jak na faceta, który przyjechał nawet bez szczoteczki do zębów.

- Przepraszam?

- Powiedziałaś, że jesteś...

- Skąd wiesz, że nie mam szczoteczki?

Czytał o tych przedmiotach. Patrzył na Sunny z nienawiścią.

- Tak się tylko mówi - wyjaśniła, znajdując zręczną wymówkę. - Po prostu mnie dziwi, że facet podróżujący tylko z jednym ubraniem na zmianę będzie taki wybredny. Przywykłeś do luksusu?

- Skąd wiesz, co mam? Grzebałaś w moich rzeczach, prawda?

- Nie masz żadnych rzeczy - odparła, zdając sobie sprawę, że znów za dużo powiedziała. Chciała wstać, lecz przytrzymał ją za ramię. Odwróciła się do niego, decydując się na spokojne spojrzenie, które wydawało się najlepszą obroną. - Zajrzałam tylko do twojej torby, żeby się przekonać... Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie jakimś maniakiem?

Nie puszczał jej ramienia.

- A teraz już wiesz<sup>1</sup>? - Dostrzegł w jej oczach jakiś

błysk, postanowił więc się upewnić. - Przecież w mojej torbie nie znalazłaś niczego, co pomogłoby ci rozstrzygnąć taką wątpliwość, prawda-

- Może i nie.

Próbowała uwolnić ramię. Nie udało się, zacisnęła więc pięść i czekała na rozwój wypadków.

- A zatem według ciebie mogę być maniakiem. - Nachylił się, tak blisko, że czuła jego oddech. - Są różnego rodzaju maniacy, prawda, Sunny?

- Tak.

Wypowiedziała to słowo z trudem. Nie ze strachu. Chciałaby, żeby to był strach. Chodziło o coś znacznie bardziej skomplikowanego, bardziej niebezpiecznego. Przez chwilę, słysząc, jak wiatr uderza w okna i napa-wając się ciepłem ognia, przestała dbać o to, kim on jest. Liczyło się, że mógł ją pocałować. Nie tylko pocałować.

Widziała to w jego oczach. Opanowała ją myśl, że mogliby stoczyć się razem na podłogę. Spleceni ze sobą, wyzwoleni, w wybuchu żarliwej namiętności. Z nim tak by właśnie było. Za pierwszym razem i za każdym następnym. Rwące rzeki, trzęsąca się ziemia, eksplodujące gwiazdy.

Poza tym, po pierwszym razie nie miałyby już odwrotu. Była pewna, że nigdy nie nasyciłaby się Jacobem, że pożałowałyby go, dopóki starczyłoby jej tchu w piersiach.

Dotknął wargami jej ust. Trudno to było nazwać pocałunkiem, lecz już sama zapowiedź podziałała jak porażenie prądem. W jej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Zrobiła zatem jedyną rzecz, jaką

każda rozsądna kobieta zrobiłaby na jej miejscu. Zaciśniętą pięścią walnęła Jacoba w żołądek.

Syk wypuszczanego powietrza, wyraz bolesnego zdziwienia na twarzy. Gdy Jacob zgiął się wpół, niemal padając na jej łono, wyslizgnęła się z uchwytu i zerwała na nogi. Przybrała pozycję obronną.

- To ty jesteś maniaczką - udało się mu wykrztusić. - Nigdy nie spotkałem kogoś równie szalonego. Nigdy!

- Dziękuję. - Opuściła ręce. - Zasłużyłeś sobie na to, J.T. - Stała w miejscu, gdy powoli uniósł głowę i posłał jej długie, mordercze spojrzenie. - Próbowalesz mnie zastraszyć.

Musiał w duchu przyznać, że jakoś tak wyszło. Ale przecież gdy się nad nią pochylił, gdy poczuł zapach jej włosów, poczuł słodycz jej warg, diametralnie zmienił zamiary.

- Nietrudno przestać cię lubić - zauważył po chwili milczenia.

- Chyba masz rację. - Ponieważ zachował się lepiej, niż oczekiwała, uśmiechnęła się do niego. - Powiem ci coś, wiesz, ponieważ jesteśmy w pewnym sensie rodziną... A tak przy okazji, wierzę ci. To znaczy, że jesteś bratem Cala.

- Dziękuję. - Udało się mu w końcu wyprostować. - Ogromnie dziękuję.

- Nie ma za co. Jak więc mówię, jako w pewnym sensie rodzina, moglibyśmy zawrzeć porozumienie o zawieszeniu broni. Jeśli ta pogoda się utrzyma, spędzimy tu razem co najmniej kilka dni.

- Kto teraz chce kogo zastraszyć?

Roześmiała się i postanowiła zachowywać się bardziej przyjacielsko.

- Wykładam karty na stół. Jeśli będziemy się bić, tylko dorobimy się siniaków. Chyba nie warto.

Musiał się zastanowić.

- Nie miałbym nic przeciwko małej bitwie.

- Twardy z ciebie orzech do zgryzienia, J.T.

Ponieważ nie bardzo wiedział, co to znaczy, zachował milczenie.

- Nadal jestem za zawieszeniem broni - kontynuowała - przynajmniej dopóki pada śnieg. Nie uderzę cię, a ty nie będziesz próbował mnie pocałować. Zgoda?

Podobała się mu ta część proponowanej umowy, w której Sunny zobowiązywała się, że go więcej nie uderzy. Poza tym i tak już przecież postanowił, że nie będzie próbował jej całować. Po co próbować, skoro można to po prostu zrobić. W dowolnej chwili. Skinał głową.

- Zgoda.

- Doskonale. Uczymy to kolejnym piwem i póżną kukurydzą. W kuchni jest specjalna patelnia z długą rączką. Uprażymy kukurydzę nad ogniem.

- Sunny. - Zatrzymała się w drzwiach, ze świecą w ręku. W jej migotliwym świetle wyglądała wspaniale. - Nadal nie jestem pewien, czy cię lubię.

- W porządku. - Uśmiechnęła się. - Ja także nie jestem pewna, czy cię lubię.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ona określiłaby tę czynność jako uspokajającą, on jako męczącą. Dostrzegął jednak jakiś dziwny urok w prażeniu kukurydzy nad otwartym ogniem.

Ma w tym wprawę, myślał, obserwując, jak Sunny potrząsa nad płomieniami przykrytą patelnię. Już sam zapach był wspaniały. Potem Jacob z uśmiechem słuchał, jak ziarna pękają z suchym trzaskiem i uderzają o pokrywkę.

- Zawsze robiliśmy popcorn w taki sposób - wyjaśniła, wpatrując się w ogień. - Nawet w lecie, kiedy jest upał. Mama i tata rozpalali ogień, a my kłóciłyśmy się o to, która z nas będzie trzymała patelnię.

- Byliście tu szczęśliwi - zauważył.

- Jasne, ale potem odkryłam świat. Co sądzisz o świecie, J.T.?

- O którym?

Roześmiała się.

- No tak, zapomniałam, czym się zajmujesz. Pewnie często bujasz myślami w kosmosie.

- Owszem.

Siedziała po turecku na podłodze, ogień rozjaśniał jej włosy i twarz. Twarz o regularnych rysach wyrażała w tej chwili całkowity spokój. Z pewnością Sunny traktowała zawieszenie broni poważnie. Mówiła, co przychodziło jej na myśl, jak w obecności starego przyjaciela.

Popijał piwo i słuchał, choć filmy i utwory muzyczne, które wymieniała, były mu w większości obce. Tak samo jak książki. Niektóre tytuły z czymś mu się kojarzyły, nie poświęcał jednak wiele czasu na lekturę powieści. Mimo swych studiów nad dwudziestym wiekiem nie mógł się poruszać swobodnie w dziedzinach, które Sunny najwidoczniej dobrze znała.

- Nie lubisz filmów? - zapytała w końcu.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie wybrałeś się na żaden z tych, na które ludzie w ostatnim roku walili drzwiami i oknami.

- Po prostu pracowałem w laboratorium i nie miałem na to czasu.

Poczuła do rozmówcy trochę sympatii. Nie miała nic przeciwko ciężkiej pracy, lecz lubiła część czasu poświęcać na rozrywki.

- Nie dają ci nigdy wolnego?- zapytała.

- Kto?

- Ludzie, dla których pracujesz.

Przez ostatnie pięć lat nie pracował dla nikogo. To on zatrudniał innych.

- Nie o to chodzi - odparł. - Ja sam miałem obsesję na punkcie przedsięwzięcia, którym się zajmowałem.

- Jakiego?

Zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie uznał, że prawda nie może w tych okolicznościach zaszkodzić. Chciał zresztą zobaczyć jej reakcję.

- Podróż w czasie - odpowiedział.

Roześmiała się, lecz potem dostrzegła jego poważną minę.

- Nie żartujesz - stwierdziła.

- Nie. - Spojrzył na patelnię. - Chyba się przypala.

- Och! - Szybko wyciągnęła patelnię z ognia i postawiła na podmurówce kominka. - Chodzi o prawdziwą podróż w czasie?- Jak u H.G. Wellsa?

- Niezupełnie. - Wyciągnął nogi, tak że poczuł ciepło na podeszwach stóp. - Mówiąc najprościej, czas i przestrzeń są względne. Chodzi tylko o opracowanie odpowiednich wzorów i zastosowanie ich.

- Jasne, E równa się mc kwadrat, ale podróże w czasie?- Jak pan Peabody i Sherman we „Wsteczniaku”?

- Kto?

- Nie byłeś dzieckiem? To komiks, nie znasz go? Ten pies naukowiec...

Uniósł dłoń, spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Pies był naukowcem?

- W komiksie - wyjaśniała cierpliwie. - Występował też tam chłopiec, Sherman. Nie patrz tak na mnie. Po prostu ustawiali daty w takiej wielkiej maszynie.

- We „Wsteczniaku”?

- Właśnie. Wtedy mogli podróżować w przeszłość, na przykład do Rzymu czasów Nerona albo do Brytanii władanej przez króla Artura.

- Fascynujące.

- Tylko zabawne. To komiks, J.T., w rzeczywistości czegoś takiego nie ma.

Uśmiechnął się enigmatycznie.

- Wierzysz tylko w to, co widzisz?

- Nie. - Ze zmarszczonymi brwiami podnosiła pogrzebaczem pokrywkę. - Myślę, że nie. - Roześmiała się. - A może i tak. Jestem realistką. Ktoś taki jest w naszej rodzinie naprawdę potrzebny.

- Nawet realista powinien się godzić z tym, że wyobraźnia pomaga naukowcom.

- Chyba tak. - Zjadła trochę kukurydzy i postanowiła przejść do sedna. -W porządku, założmy, że mamy taką maszynę. Dokąd chciałbyś się przenieść?

Spojrzał na nią. W jej oczach pozostały iskielki śmiechu.

- Sam nie wiem. A ty?

- Muszę się zastanowić. Libby miałyby chyba wiele takich życzeń. Aztekowie, Inkowie, Majowie. Tata wybrałyby chyba Tombstone albo Dodge City. A mama... no cóż, chyba pojechałyby z ojcem, żeby mieć na niego oko.

- Pytałem o ciebie.

- Ja wolałabym przyszłość. Zobaczyć, co będzie kiedyś.

Milczał, wpatrywał się w ogień.

- Sto, może dwieście lat od bieżącej chwili - kontynuowała. - W końcu przeszłość można dość dobrze poznać z książek historycznych. A przyszłość... Chyba chciałabym sprawdzić, jak będzie kiedyś wyglądał nasz świat. - Ta myśl sprawiła, że znów się zaśmiała. - Czy

naprawdę płacą ci za pracę nad czymś takimi To znaczy, czy nie powinno się najpierw rozwiązać uciążliwych problemów współczesności? Na przykład, jak usprawnić ruch w godzinach szczytu?

- Sam sobie wybieram przedmiot zainteresowania.

- Fajnie. - Rozluźniła się już zupełnie, towarzystwo Jacoba sprawiało jej przyjemność. - Wygląda na to, że większość czasu poświęcam na sprawdzanie, co chciałabym robić. Jako pracownik jestem do kitu - przyznała z westchnieniem. - Nie lubię regulaminów i zwierzchników, no i jestem dość kłótniwa.

- Naprawdę?

Nie zwróciła uwagi na jego szeroki uśmiech.

- Naprawdę. Ale najczęściej to ja mam rację, tylko że z drugiej strony nie umiem przyznać się do pomyłki. Chciałabym postępować bardziej... elastycznie.

- Dlaczego? Na świecie jest wystarczająco dużo tego typu ludzi.

- Może im właśnie jest w życiu lepiej - zauważyła.

- Niekiedy warto pójść na kompromis. Ty też nie lubisz się mylić - zauważyła.

- Po prostu zawsze się upewniam, że mam rację.

Roześmiała się i wyciągnęła na dywanie.

- Chyba zaczynam cię lubić. Wiesz, powinniśmy podtrzymywać ogień przez całą noc, żeby nie zamarznąć. Możemy to robić na zmianę. - Ziewnęła i oparła głowę na rękach. - Obudź mnie za dwie godziny, przejmę wartę.

Gdy miał już pewność, że Sunny śpi, przykrył ją kolorowym kocem i poszedł na górę. W ciągu pięciu minut podłączył swój minikomputer, który nie miał

banków pamięci, do stojącego na biurku peceta. W ten sposób mógł przekazać na statek sprawozdanie i uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

- Komputer, włącz się.

Spokojny głos odpowiedział:

- Włączam się.

- Sprawozdanie, Hornblower Jacob. Dwudziestego stycznia. Burza śnieżna zmusza mnie do pozostania w domku. Dopływ elektryczności do budowli został przerwany, co nie jest w tej epoce niczym niezwykłym. Najwidoczniej energia elektryczna jest przekazywana nadziemną linią, łatwo ulegającą uszkodzeniu podczas burzy. Około 18:00 prąd został odcięty. Przybliżony czas naprawy?

- Pracuję... Brak pełnych danych.

- Tego się obawiałem. - Przerwał na chwilę, żeby się zastanowić. - Sunbeam Stone ma zapasy. Świece, woskowe świece, używa ich do oświetlenia. Do ogrzewania służy drewno. Jest to oczywiście niewystarczające, powoduje ogrzanie tylko niewielkiego obszaru. Jest to jednak... - szukał właściwego słowa - przyjemne. Stwarza jakiś miły nastrój, - Zniecierpliwiony, zmienił ton. Nie chciał myśleć o tym, w jaki sposób Sunny patrzyła na płomień. - Jak już wspomniałem, Stone jest trudną i agresywną osobą rodzaju żeńskiego, łatwo wpada w gniew. Bywa też rozbijającą hojną, sporadycznie przyjazną i... - powstrzymał się przed wypowiedzeniem słów „godna pożądanego” - intrygująca. Niezbędne są dalsze studia. Nie uważam jednak, by była typową kobietą swoich czasów. - Urwał, stuknął palcami w blat biurka. - Komputer, jakie są w tej

epoce typowe postawy kobiet, jeśli chodzi o dobieranie się w pary?

- Pracuję.

Gdy tylko Jacob zadał to pytanie, chciał powiedzieć „wyłącz się”. Komputer okazał się jednak szybszy.

- Najczęściej potrzebne jest fizyczne przyciąganie. Związek emocjonalny jest preferowany przez 97,6 procent kobiet. Krótkie spotkania, zwane często przygodą na jedną noc, w tych latach dwudziestego wieku wyszły już z mody. Podmiot preferuje zaangażowanie ze strony partnera seksualnego. Romansowanie jest szeroko akceptowane i pożądane.

- Zdefiniuj romansowanie.

- Pracuję... Oddziaływanie na drugą osobę poprzez okazywanie jej zainteresowania, obdarzanie jej pochlebstwami i podarunkami. Również synonimiczne z miłością, miłosną przygodą, ze związkiem mężczyzny i kobiety. Typowe rekwizyty: atmosfera stwarzana przyciemnionym światłem, cicha muzyka, kwiaty. Przyjęte romantyczne gesty obejmują...

- Wystarczy.

Jacob potarł rękoma twarz. Zastanawiał się, czy nie zwariował. Po co traci czas na zadawanie tak nienaukowych pytań?

Teraz miał tylko dwa cele. Pierwszy i najważniejszy to odnalezienie brata. Drugi - zgromadzenie możliwie najwięcej informacji o tej epoce. Sunny Stone to część gromadzonych danych. Nie powinna się stać niczym innym.

Pragnął jej jednak, coraz mocniej. Niezbyt naukowe, ale niewątpliwie rzeczywiste uczucie. Również nielo-

giczne. Jak można pragnąć tak nieznośnej i denerwującej kobiety? W dodatku nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Dzieliły ich stulecia. Jej świat, choć interesujący poznawczo, był przygnębiający.

Powinien wrócić na statek, zaprogramować komputery i wrócić. Gdyby nie Cal, tak właśnie by postąpił. Chciał w każdym razie myśleć, że wyłącznie Cal powstrzyma go od powrotu.

Wyłączył oba komputery. Gdy wrócił na dół, Sunny nadal spała. Starając się nie hałasować, dorzucił do ognia trochę drew. Potem usiadł na podłodze.

Mijały godziny, lecz nie budził Sunny. Był przyzwyczajony do obywania się bez snu. Przez ponad rok pracował przeciętnie przez osiemnaście godzin na dobę. Im bardziej zbliżał się do rozwiązania problemu podróży w czasie, tym więcej pracował. Udało się, pomyślał, patrząc na migoczący ogień. W końcu tu jestem, tyle że mimo starannych obliczeń spóźniłem się o kilka miesięcy.

Cal zdążył się ożenić. Jeśli wierzyć Sunny, jest szczęśliwy. Muszę mu w jakiś sposób przemówić do rozumu, pomyślał. Tak czy inaczej, jedno jest pewne. Człowiek należy do swej epoki. Są pewne zasady rządzące wszechświatem. Jeśli się je ignoruje, skutki mogą być opłakane.

Zabierze więc brata tam, gdzie obaj przynależą. Cal zapomni wkrótce o kobiecie imieniem Libby. Tak jak Jacob zdecydował się zapomnieć o Sunbeam Stone.

Poruszyła się, cicho westchnęła. Obserwował ją uważnie.

Zamrugęła. Zamglone snem oczy wydawały się

ogromne i ciemne. Nie widziała go, tylko ogień. Powoli wyprostowała długie, szczupłe ciało.

Jacob poczuł, że ma sucho w ustach. Że serce zabiło mu szybciej. Brakło mu sił, by nad tym zapanować. Była porażająco piękna. Mógł tylko siedzieć bez ruchu, próbując wziąć się w garść.

Cicho mruknęła. Niemal podskoczył. Przewróciła się na plecy, podkładając ręce pod głowę. Po raz pierwszy w życiu poczuł bezwzględny przymus wypicia czegoś mocniejszego.

W końcu przekręciła głowę i zobaczyła go.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? - zapytała.

Jej niski, gardłowy głos sprawił, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ja... nie byłem zmęczony - wykrztusił.

- Nie o to chodzi. - Usiadła. - Jesteśmy tu razem i powinniśmy...

Nie myślał. Później, gdy miał czas na zastanowienie się, uznał, że to był odruch. Tak jak przełknięcie wody spływającej do gardła. To nie było umyślne. Z pewnością nie było też mądre.

Przyciągnął ją do siebie. Wyrывała się, zdziwienie i gniew dodawały jej sił. On jednak tylko wzmocnił uścisk. Nie miał wyboru. Wiedział, że musi to zrobić.

Starła się skupić na gniewie, jedynym sensownym uczuciu spośród tysiąca, które nią zawładnęły. Czuła jednak przede wszystkim rozkosz, pożądanie. Czuła, że nad sobą nie panuje. Chciała zaprotestować, jednak tylko jęknęła. Wczepiła się palcami w jego włosy. Jednym szybkim ruchem wciągnął ją na sofę.

Miał urywany oddech, tak samo jak ona. Jedno

polano zsunęło się ze stosu, wzniecając deszcz iskier. Wiatr wtłoczył do pokoju kłęb dymu. Usłyszała jednak tylko jęk Jacoba.

Czy tego właśnie szukała? Podniecenia i wyzwania? Poddała się temu, dała się ponieść.

Jej smak rozpałał go do białości. Nie wystarczał. Im więcej Jacob próbował, tym więcej chciał. Odchylił jej głowę, wodził ustami po szyi, którą tak często podziwiał. To również nie wystarczało.

Z łatwością wsunął ręce pod obszerny, czerwony sweter. Poczul skórę delikatną jak płatki róży, gładką jak jedwab. Dłoń zamknięta na jej piersi drżała.

Jeszcze raz poszukał ustami jej ust.

To było jak osuwanie się w sen. Nie miękki, zamglony, lecz pełen kolorów i dźwięków. Zagłębiał się w tym śnie coraz bardziej. Jej ręce szukały go, wsunęły się pod jego sweter.

Gdy ją całował, zamknęła oczy. Jej serce, zawsze tak silne i mężne, poddało się.

Miłość zalała ją, olśniła jak nagłe odkrycie. Osłabła. Ręce przesuwały się bezradnie wzdłuż jego ramion.

Bezradnie.

Może właśnie tego się przestraszyła. Może dlatego zeszywniała, starała się odsunąć, stawić opór. To nie mogła być miłość. To absurd.

- Jacob, przestań.

- Przestać?

Ugryzł ją w podbródek, niezbyt delikatnie.

- Tak, przestań.

Wyczuł zmianę w jej zachowaniu.

- Dlaczego?

- Bo ja...

W starannie wybranym momencie przejechał palcami wzdłuż jej kręgosłupa, drażniąc wrażliwe zakończenia nerwów. Widział, jak jej oczy zaszyły mgłą, jak odchyliła głowę.

- Pragnę cię, Sunny, a ty pragniesz mnie.

- Tak. - Co on jej zrobił? Jak to osiągnął? Wyciągnęła rękę i oparła na jego piersi, chcąc go odepchnąć.

- Nie. Nie rób tego.

- Czego?

- Wszystko jedno. Tego, co robisz.

Drżała. Była bezradna. Jacob zaklął w duchu. Widząc jej bezbronność, musiał ustąpić.

- Dobrze.

Chwycił ją za biodra i posadził z powrotem na podłodze.

Przyciagnęła kolana do piersi. Czuła się jak zanurzona zniecka w wannie wypełnionej kostkami lodu.

- To nie powinno było się stać. A już na pewno nie tak szybko.

- Ale się stało - odparł. - Głupio by było udawać, że jest inaczej.

Wstał i dorzucił drewna do kominka. Niektóre świece już się dopaliły. Za oknem pojaśniało, nadchodził świt. Wiatr nadal zawodził.

Nie dostrzegąca tego wszystkiego. W ramionach Jacoba zapomniała o całym świecie. Kiedyś przyrzekła sobie, że nigdy nie straci panowania nad sobą z powodu mężczyzny. Nie dotrzymała tej obietnicy.

- Dla ciebie to łatwe, prawda? - zapytała gorzko.

Spojrzał na nią. Nie, nie było mu łatwo. Powinno być, ale nie było.

- Dlaczego to ma być takie skomplikowane?

Zadał pytanie bardziej sobie niż jej.

- Nie kocham się z obcymi.

Wstała. Pragnęła kawy i samotności. Poszła do kuchni, nasypała do kubka kawę rozpuszczalną i zalała ją zimną wodą.

Jacob przypomniał sobie informacje przekazane mu przez komputer. Fizycznego przyciągania z pewnością nie brakowało. No i, choć niechętnie to przyznawał, był zaangażowany emocjonalnie. Czegoś jednak brakowało. Zapewne w danej sytuacji Sunny zareagowała normalnie. Nieprzyjemna myśl, ale musiał się z tym pogodzić.

Nadal jednak jej pragnął. I zamierzał zdobyć. To logiczne. Żadnych więcej odruchów. Prawdopodobieństwo powodzenia wzrośnie, jeśli będzie postępował jak typowy mężczyzna z dwudziestego wieku.

Jacob głęboko odetchnął. Nie wiedział jeszcze dokładnie, jak to rozegrać, wiedział jednak, jaki powinien być pierwszy krok. Pewne wzory zachowań są niezmiennie, opierają się działaniu czasu, był tego pewien.

Gdy wszedł do kuchni, Sunny wyglądała przez okno. Patrzyła na padający śnieg.

- Sunny, przepraszam.

- Nie chcę twoich przeprosin.

Spojrzał na sufit, pomodlił się o cierpliwość.

- A czego chcesz?

- Niczego. - Stwierdziła ze zdumieniem, że jest na krawędzi płaczu. A przecież nigdy nie płakała.

Uważała, że to poniżająca oznaka słabości. Zamiast histeryzować, zawsze wołała na kogoś nawrzeszczyć. Teraz czuła, że pieką ją powieki. Musiała powstrzymać łzy. - Po prostu zapomnij o tym.

- O tym, co się wydarzyło, czy że mi się podobasz?

- O jednym i drugim. - Odwróciła się. Choć jej oczy były suche, jakoś dziwnie pojaśniały. Poczucił się niepewnie. - To nie ma znaczenia.

- Z pewnością ma.

Jeśli będzie tak na niego patrzeć, dotknie jej. Broniąc się przed tym, włożył ręce do kieszeni.

- Może nasze kody się zmieszały.

- Nie... Chodzi ci o to, że jakoś na siebie działamy?

- Na to wygląda.

Zmęczona, przeciągnęła ręką po włosach.

- Wątpię. To tylko chwilowy kryzys.

- A jak zamierzasz mu zaradzić?

Sama chciałaby wiedzieć.

- Posłuchaj, J.T., oboje jesteśmy dorośli. Wystarczy, że będziemy się stosownie do tego zachowywać.

- Myślałem, że właśnie tak się zachowaliśmy.

- Spróbował się uśmiechnąć. - Przykro mi, że cię zmartwiłem.

- To nie tylko twoja wina. - Z wysiłkiem odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. - Okoliczności. Jesteśmy tu sami, nie ma światła. Świece i ogień na kominku... - Wzruszyła ramionami i poczuła się godna pożałowania. - Każdy by się zapomniał.

- Skoro tak mówisz... - Postąpił krok naprzód, ona się cofnęła. - Ale podobasz mi się także bez tych świec.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Prześpij się trochę - zaproponowała. - Ja pójdę po drewno.

- Dobrze. Sunbeam?

Odwróciła się niechętnie.

- Wspaniale jest cię całować. Bardzo wspaniale. Mruknęła coś, włożyła kurtkę i uciekła na dwór.

Dzień mijał wolno. Sunny załowała, że nie spała dłużej, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Spała czy nie spała, on i tak był tutaj. A jego obecność nie dawała jej spokoju. Choć od czasu do czasu próbowała zagłębić się w książkach, świadomość tej obecności bez przerwy jej towarzyszyła.

Jacob czytał - żarłocznie, jak pomyślała Sunny. Pochłaniał książkę za książką. Siedzieli w saloniku, ruszając się z miejsca tylko po to, by dołożyć drewna do kominka.

Na obiad zadowolili się kanapkami. Udało się też zagotować nad ogniem wodę na herbatę. Zwracali się do siebie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Wieczorem oboje byli już podenerwowani bezczynnością. Także rozmyślaniami, jak wyglądałby dzień, gdyby spędzili go razem, pod jednym kocem, zamiast siedzieć w przeciwległych kątach pokoju.

Jacob podszedł do okna, Sunny do innego. Ona dorzuciła do ognia, on kartkował kolejną książkę. Ona poszła po ciasteczka, on po nowe świece.

- Czytałaś to?

Sunny spojrzała na niego. Pierwsze słowa, jakie padły po ostatniej godzinie milczenia.

- Co?

- „Dziwne losy Jane Eyre”.

- Tak, pewnie.

Ucieszyło ją, że znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Poczęstowała go ciastkiem, jakby oferowała pokój.

- Co o tym sądzisz?

- Lubię czytać o obyczajach z ubiegłego wieku. Ludzie byli wtedy tak skrępowani i purytańscy. Wszystkie gwałtowne uczucia skrywali pod warstwą ogłady.

Musiał się uśmiechnąć.

- Tak uważasz?

- Jasne. Poza tym, książka jest świetnie napisana i cudownie romantyczna. - Siedziała z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela. Miała trochę rozmarzone spojrzenie. - Prosta, uboga dziewczyna zdobywa serce śmiałego, pogrążonego w ponurych rozmyślaniach bohatera.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- To jest romantyczne? -

- Oczywiście. Są też omiatane wichrem wrzosowiska i wątki tragiczne. Parę lat temu nakręcili według tej książki świetny film. Widziałeś?

- Nie. - Odłożył książkę, nadal odczuwał zdziwienie.

- Moja matka ma w domu tę powieść. Uwielbia czytać.

- Pewnie, chyba musi się odprężyć po całym dniu w sądzie.

- Chyba tak.

- Co robi twój ojciec ?

- To i owo. - Nagle rodzina wydała się mu czymś bardzo odległym. - Lubi pracować w ogródku.

- Mój też. Oczywiście hoduje zioła. - Wskazała swój pusty już kubek. - Ale sadi również kwiaty.

Kiedy byliśmy małe, uprawiał warzywa. Jedliśmy właściwie tylko to, co wyrosło w ogródku. Dlatego teraz unikam zieleniny.

Spróbował sobie wyobrazić jej życie, ale po prostu nie mógł.

- Jak się tutaj czułaś, jako dziecko?

- Wtedy to wszystko wydawało się takie naturalne. - Wstała, żeby poprawić polana w kominku. Gdy wróciła, usiadła na sofie obok Jacoba. - Chyba myślałam, że wszyscy tak żyją. Kiedy jednak pojechałam po raz pierwszy do miasta, zobaczyłam światła, tłumy, wielkie budynki. To tak, jakby ktoś rozbił kalejdoskop i obdarował mnie wszystkimi kolorami. Ale z miasta zawsze wracaliśmy tutaj, w góry. - Ziewnęła i opadła na poduszki. - Tęskniłam za tymi kolorami, pragnęłam tego ruchu, intensywnego życia. Teraz się cieszę, że mogę czasem wpaść do tego domku, że mam taką wspaniałą kryjówkę. Jednak w mieście zawsze dzieje się coś ciekawego. Nie znoszę nudy.

- Teraz jednak tu mieszkasz.

- To w pewnym sensie pokuta. Sama ją sobie zadałam.

- Za coś-

- Długa historia. A ty? Jesteś z miasta i tęsknisz za spokojną wsią?

Odwrócił głowę.

- Nie.

Roześmiała się i poklepała go po dłoni.

- No tak, dwa mieszczuchy uwięzione w tej głuszy. Chcesz zagrać w karty?

Ożywił się.

- Poker?
- Trafiłeś.

Wstali jednocześnie, zderzyli się, otarli o siebie. Odruchowo przytrzymał jej rękę. Nie puścił. Nie mógł. Zdołał się tylko powstrzymać, by drugą ręką nie dotknąć jej twarzy. Tego dnia nic z nią nie zrobiła. Żadnych kosmetyków. Twarz była naga.

- Jesteś piękna, Sunbeam.

Zabolało do utraty tchu. Bała się poruszyć.

- Prosiłam, żebyś tak do mnie nie mówił.
- Czasami Sunbeam pasuje do ciebie bardziej niż Sunny. Wiesz, zawsze uważałem urodę za przypadkowy wynik mieszania się genów albo za coś, co można osiągnąć odpowiednimi zabiegami. Przy tobie zaczynam w to wątpić.

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Hornblower. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie wiesz nawet, jak dziwnym. - Odsunął się od niej. - Lepiej zagrajmy w karty.

- Dobra myśl. - Odetchnęła z ulgą i podeszła do kredensu,- żeby wyjąć talię. - Poker przy kominku. - Rzuciła karty na podłogę. - To dopiero jest romantyczne.

Usiadł naprzeciw niej.

- Naprawdę?
- Przygotuj się na przegraną.

Wygrywał jednak, niezmiennie niemal przy każdym rozdaniu, aż zaczęła się mu nieufnie przypatrywać. Z braku czego innego, grali o ciasteczka. Przed Jacobem piętrzył się już cały stosik.

- Jeśli zjesz wszystkie, strasznie utyjesz-zauważyła.

- Nie. Mam doskonałą przemianę materii.

- Aha. Dwie pary, damy na dziewiątkach.

- Ful.

Sięgnął po ciasteczka.

- Kurczę... Posłuchaj, nie chcę biadolić, ale wygrałeś dziesięć rozdań z dwunastu.

- Widocznie to mój szczęśliwy wieczór.

- Albo coś innego.

Słyszac jej ton, tylko lekko unióśł brew.

- Poker to gra dla ścisłych umysłów, tak samo jak fizyka. - Nadgryzła ciastko. - Chcesz zjeść resztę swoich pieniędzy? - zapytał.

Wrzuciła nadgryzione ciasteczko do miski.

- Jeśli nie jem kilka razy dziennie, świruję.

- Aha, więc to dlatego?

- W zasadzie jestem bardzo miłą osobą.

- Nie, nie jesteś. - Rozdając karty, uśmiechnął się.

- Ale i tak cię lubię.

- Jestem miła - upierała się. Nie zdradziła spojrzaniem, że dostały się jej dwa asy. - Możesz zapytać, kogo chcesz, no może poza moimi dwoma ostatnimi szefami. Otwieram za dwa.

Jacob dołożył do miski dwa ciasteczka. Lubił ją taką. Miłą, przyjacielską, gotową jednak odparować każdy cios. Uznał, że to dobra okazja, żeby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Co robiłaś, zanim postanowiłaś zostać prawniczką? - zapytał.

Skrzywiła się i dobrała trzy karty.

- Sprzedawałam bieliznę. Damską, jeśli chodzi o ścisłość. - Spojrzała na niego, spodziewając się

lekceważenia czy nawet pogardy. Nie dostrzegła jednak niczego takiego w jego oczach. - Mam masę fajnej bielizny, mogłam kupować ze zniżką.

- Tak? - zapytał z żywym zainteresowaniem.

- Aha. - Dostała trzeciego asa. Udało się jej zachować obojętne brzmienie głosu. - Problem polegał na tym, że szef kazał inkasować pieniądze, pakować majtki i trzymać buzię na kłódkę, nawet gdy klientka popełniała oczywisty błąd.

Spróbował sobie wyobrazić, jak Sunny trzyma buzię na kłódkę. Nie mógł.

- Jaki błąd?

- Na przykład kupuje rozmiar trzydzieści sześć zamiast czterdziestki i zamierza się w to wbić. Dokładam trzy.

- Trzy i jeszcze dwa. No i co?

- Mówię jej życzliwie, że to nie ma sensu, że jest za gruba i natychmiast dostaję czerwoną kartkę.

- W czerwonym jest ci do twarzy.

Zachichotała i dołożyła do puli dalsze dwa ciastka.

- Nie o to chodzi. Wylali mnie z pracy.

- Aha, wyrzucili.

- Właśnie tak. - Użyte przez niego słowo doskonale oddawało rażącą niesprawiedliwość, jakiej doznała. — Prawda, że to ja miałam rację?

- Tak.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Trójka asów, koleś.

- Poker. Nie jesteś stworzona do pracy, w której ktoś ci szefuje.

- To samo im powiedziałam. I to wielokrotnie.

- Zostało jej już tylko pięć ciastek. Zbyt długo nie miałam szczęścia, pomyślała. - Trzeba jednak wybrać. Dostosować się albo odzwyczaić od jedzenia. Muszę wybrać to pierwsze. Nie lubię klepać biedy.

- Sądzę, że możesz robić, co zechcesz, o ile czegoś naprawdę zapragniesz.

- Prawdopodobnie.

To właśnie zawsze stanowiło problem. Nie wiedziała, czego chce. Zdesperowana, postawiła naraz wszystkie pozostałe ciasteczka. Jak blef, to blef, pomyślała. Pokonał ją parą dziesiątek.

- Proszę. - Ponieważ zwycięstwo zawsze wprawiało go w dobry humor, poczęstował ją ciastkiem. - Zjedz jedno na mój koszt.

- Wielkie dzięki. Miałeś dzisiaj nieprawdopodobne szczęście.

- Najwidoczniej. - Spojrzał na nią. Wyglądała apetyczniej niż wszystkie ciastka razem wzięte. - Możemy jeszcze rozegrać ostatnią partię.

- O co?

- Jeśli wygram, będziesz się ze mną kochała.

Postanowiła utrzymać kamienny wyraz twarzy.

- A jeśli ja wygram?

- To ja będę się z tobą kochał.

Wepchnęła do ust resztę ciastka, nie spuszczać wzroku z Jacoba.

Ciekawie, jaką by zrobił minę, gdybym się zgodziła, zastanowiła się. Tak czy inaczej, wygrałabym i przegrała jednocześnie.

- Chyba spasuję - rzuciła lekko.

Podeszła do sofy, położyła się i po chwili zasnęła.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ze snu wyrwał ją ryk radia. Gdy otworzyła oczy, oślepiło ją światło. Osłoniła je ręką.

- Kto urządził przyjęcie?! - zawołała, przekrzykując Tinę Turner.

Jacob, który drzemał przy kominku, naciągnął tylko na głowę koc.

Przeklinając, wstała z kanapy. W połowie drogi do radia doznała olśnienia.

- Jest prąd! - krzyknęła radośnie.

Podbiegła do Jacoba, usiadła na nim i zaczęła podskakiwać.

- Mamy elektryczność, J.T. Światło, muzykę, gorące posiłki! - Gdy w odpowiedzi tylko jęknął, szturchnęła go. - Wstawaj, leniu. Nie wiesz, że za spanie na warcie mogą cię rozstrzelać?

- Nie spałem, popadłem w katatonię.

- No, to się z niej wydobądź, koleś, znów jesteśmy podłączeni. - Zerwała mu z twarzy koc i uśmiechnęła

się na widok nieszczęśliwej miny. - Powinieneś się ogolić - zauważyła. Ponieważ rozpierała ją radość, pocałowała go w czoło.

Spojrzał na nią, zobaczył uśmiech i włosy w nieładzie. Z niechęcią stwierdził, że jego ciało zareagowało na ten widok.

- Jest najwyżej szósta rano.

- Co z tego?- Umieram z głodu.

- Dla mnie może być grzanka - odpowiedział, naciągając z powrotem koc na twarz.

- Nie, musisz mi pomóc. - Bezlitośnie zerwała z niego koc. - Wstawaj, żołnierzu!

Tym razem otworzył tylko jedno oko.

- Jaki żołnierzu?

- Tak się mówi, Hornblower. Jak długo przebywałeś w tym laboratorium?

- Za krótko. -Albo zbyt długo, skoro podniecała go chuda kobieta siedząca mu na brzuchu. - Nie mogę wstać, kiedy na mnie siedzisz. Poza tym chyba złamałeś mi żebro.

- Nonsens. Jak na swój wzrost jestem o sześć kilo za lekka.

- Nie odnoszę teraz takiego wrażenia. Korzystałaś z zepsutej wagi?

Zbyt radosna, żeby się obrazić, wstała i chwyciła go za ramię. Ciągnąc i szarpiąc, udało się jej zmusić Jacoba, by wstał.

- Możesz zrobić frytki - oświadczyła.

- Uważasz, że potrafię?

- Pewnie.-Wzięła go za rękę i zaciągnęła do kuchni. -Wszystko znajdziesz w lodówce. - Boże, jak tu zimno.

Potarła stopą o łydkę. Ziąb miał jednak swoją dobrą stronę. Prawdopodobnie lodówka nie zdażyła się rozmrozić.

- Masz. - Rzuciła w jego kierunku torebkę mrożonych frytek. - Po prostu ułóż je na blasze i wstaw do piecyka.

- Racja.

Pomyślał, że poradzi sobie z kuchenką, nie miał jednak pojęcia, o jaką blachę mogło chodzić.

- Blaszki są... tam.

Wskazała szafkę, wpatrując się w opakowanie hamburgera.

- To mięso jest zamrożone - zauważył.

- Doskonale.

Pogwizdując, zajęła się przyrządzaniem posiłku. Gotowanie nie stanowiło jej ulubionej rozrywki, gdy jednak czuła głód, mogła czerpać z niego prawdziwą przyjemność.

- Masz, zrób je na tym.

Podawała mu dość płaską rynienkę z cienkiej stali.

Jacob posłusznie przystąpił do pracy.

- Jest szansa na kawę? - zapytał.

- Jasne, zaraz zrobię. - Nadal pogwizdując, wrzuciła kawałek mrożonego mięsa do rondla i przykręciła palnik do minimum. Potem wstawiła wodę i przygotowała filiżanki. - Ogrzewanie, wrzątek, prawdziwe jedzenie - stwierdziła z zachwytem i zaczęła stepować. - Nie docenia się drobnych przyjemności, póki ich nie zabraknie. Nie wiem, jak ludzie sobie radzili przed wynalezieniem elektryczności. Wyobraź sobie gotowanie wody na ogniu. To musiało trwać wieki.

Jacob obserwował stalową płytkę, na której stał czajnik. Rozgrzewała się powoli do czerwoności.

- Zdziwiająca - zgodził się.

- Frytki same się nie zrobią, jeśli nie wstawisz ich do piekarnika - zauważyła.

- Aha.

Wolałby, żeby na niego nie patrzyła, gdy przyglądał się pokrętom. Pozycja „pieczenie” wydawała się bezpieczna, chyba że frytki wymagały „pieczenia z przypiekaniem”. Oddałby rok życia za kurs dla kucharzy.

- Często sam gotujesz? - zapytała niemal szyderczo Sunny.

- Nie.

- Dziwne, nigdy bym nie zgadła.

Włączyła piecyk i włożyła do niego blachę.

- Potrwa z dziesięć czy piętnaście...

- Sekund?

- Optymista. Minut. - Ponieważ rozumiała, jak to jest, gdy człowiekowi doskwiera głód, poklepała Jacoba po policzku. - Może weźmiesz prysznic? Poczujesz się lepiej. Kiedy wrócisz, wszystko będzie gotowe.

- Dziękuję.

Wchodząc na górę, uznał, że to najmiłszy jak dotąd gest z jej strony.

Dość długo kłął, starając się zapoznać z archaicznym mechanizmem prysznic. Gdy jednak w końcu się umył, rzeczywiście poczuł się lepiej. Usunął zarost ultradźwiękami. Potem nałożył na zęby fluoratynę. Mógł teraz zaspokoić ciekawość. Zajrzał do wiszącej nad umywalką szafki, której drzwiczki pokrywały lustro.

Prawdziwe skarby dla naukowca. Płyny, kremy, pudry. Spojrzał ze zgrozą na maszynkę do golenia, uśmiechnął się na widok szczoteczki do zębów.

Zwrócił uwagę na krem o dziwnej nazwie. Gdy zdjął pokrywkę i powąchał, wydało się mu, że do łazienki weszła za nim Sunny. Szybko zamknął słoiczek i odstawił na miejsce.

Znalazł pastylki. Przekonał się ze zdziwieniem, że Sunny ma lekarstwa na wszystko. Ból głowy, bóle w stawach, kaszel, przeziębienie. Jedno plastikowe pudełeczko nie miało żadnego oznaczenia. Zawierało maleńkie pigułki. Ponieważ było w połowie puste, doszedł do wniosku, że jest to coś, co Sunny bierze regularnie. To go zaniepokoiło. Czyżby Sunny na coś chorowała? Odstawił opakowanie na półkę. Zastanawiał się, pod jakim pretekstem skierować rozmowę na temat lekarstw.

Zszedł na dół, prowadzony cudownym aromatem jedzenia. Nie wiedział, co gospodyni zrobiła z kawałkiem zamrożonego mięsa, pachniało jednak bosko. No i zapach kawy. Żadne perfumy nie mogły się z nim równać. Gdy wszedł, wręczyła mu filiżankę.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy, wiem, co odczuwa głodny człowiek. Sama często tak cierpię.

Przyjrzał się jej ukradkiem znad filiżanki. Wyglądała normalnie, żadnych oznak choroby. Właściwie jak okaz zdrowia. I przy okazji urody.

- Kiedy tak na mnie patrzysz, czuję się jak robak pod mikroskopem.

- Przepraszam. Chciałem właśnie zapytać, jak się czujesz.

- W nocy trochę zeszywniałam, teraz jestem głodna, ale w zasadzie czuję się dobrze. A ty?

- Doskonale. Bolała mnie głowa - dodał nagle.

- Wziąłem parę twoich proszków.

- I co, przeszło?

- Te w małym niebieskim opakowaniu nie miały żadnego napisu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, potem się roześmiała.

- Chyba by ci nie pomogły.

- Ale ty ich potrzebujesz^

Tym razem zamknęła oczy i pokręciła głową.

- I ty nazywasz siebie naukowcem. Aha, można powiedzieć, że potrzebuję. Lepiej się zabezpieczyć niż potem żałować, prawda?

Nie wiedząc, co o tym myśleć, skinął głową.

- Racja.

- Zaczniemy wreszcie jeść.

Nałożyła wielkie porcje mięsa na talerze, usypała na nich góry frytek. Nie odezwała się, zanim nie zjadła połowy swojej porcji.

Zobaczył, że posypała swoje frytki białymi kryształkami. Nasypał sobie trochę na próbę. Sól, odkrył. Choć frytki z solą bardzo mu smakowały, powstrzymał się przed posypaniem następnych. Zastanawiał się, jakie Sunny ma ciśnienie. Gdyby wymyślił jakiś sposób, mógłby ją przebadać w medycznym laboratorium na statku.

.; - No, to odżyłam.

- Fajnie. Zobacz, śnieg przestał padać.  
- Aha, zauważyłam. Posłuchaj, trudno mi to przyznać, ale cieszę się, że tu jesteś. Nie wytrzymałabym tu sama, zupełnie odcięta od świata.

- Sądzę, że jesteś samowystarczalna.

- Tak, ale lepiej mieć kogoś, z kim można się kłócić. Nie zapytałam cię wcześniej... zamierzasz się tu szwendać do powrotu Cala i Libby?- Może minąć kilka tygodni...

- Przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć. Poczekam, dobrze?

Skinęła głową. Zaniepokoiło ją, że ta odpowiedź sprawiła jej przyjemność. Za bardzo przyzwyczała się do jego towarzystwa.

- Widzę, że możesz sobie pozwolić na tyle wolnego, ile zapragniesz.

- Tak. Powiedziałbym nawet, że czas jest moim największym skarbem. Jak długo ty tu zostaniesz?

- Nie jestem pewna. Semestr już się zaczął, muszę więc poczekać do następnego. Myślałam, że napiszę podania do kilku uczelni. Może spróbuję na Wschodnim Wybrzeżu, zawsze to jakaś odmiana. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Jak sądzisz, spodobałaby mi się Filadelfia?-

- Chyba tak. Miasto jest piękne. Historyczna dzielnica doskonale się zachowała.

- Dzwon Wolności, Benjamin Franklin, te rzeczy...

- Tak. Pewne rzeczy trwają, niezależnie od wszelkich zmian. - Nigdy przedtem nie miało to dla niego znaczenia. - Parki są bardzo zielone i cieniste. W lecie jest w nich pełno dzieci i studentów. Komunikacja do

chrzanu, ale za to z dachów niektórych budynków można zobaczyć całe miasto.

- Tęsknisz za Filadelfią?

- Tak. Bardziej, niż się spodziewałem. - Patrzył jednak na nią, widział tylko ją. - Chciałbym ci to pokazać.

- Ja też bym chciała. Może uda się namówić Cala i Libby na wyjazd? To byłoby prawdziwe rodzinne spotkanie. - Dostrzegła, jak zmieniła się twarz Jacoba. Położyła dłoń na jego dłoni. - Powiedziałam coś nie tak?

- Nie.

- Gniewasz się na mnie.

- To sprawy osobiste.

Postanowiła, że nie pozwoli się zbyć. Jacob nie jest skończonym idiotą, za którego go na początku uważała. Ma tylko jakieś problemy.

- J.T., przecież musisz wiedzieć, jak nieuczciwe jest potępienie Cala za to, że się zakochał, ożenił i osiedlił tutaj.

- To nie takie proste.

- Oczywiście, że proste. - Przyrzekła sobie, że tym razem nie straci cierpliwości. - Oboje są dorośli i z pewnością zdolni do podejmowania decyzji. Poza tym, wiesz, ich związek jest wspaniały. - Posłał jej cyniczne spojrzenie, które nawet świętego wyprowadziłoby z równowagi. - Tak, żebyś wiedział. Ja ich widziałam razem, a ty nie.

- Rzeczywiście, nie widziałem.

- To niczyja wina, ale... Ujmę to inaczej. Ja nie znałam Cala, zanim wszedł do naszej rodziny, umiem

jednak poznać, kiedy ktoś jest szczęśliwy. On jest. Co do Libby... zrobił dla niej coś, czego nie udało się zrobić nikomu innemu. Zawsze była nieśmiała, trzymała się z boku. A przy Calu po prostu promienieje radością. Wiem, nie jest łatwo pogodzić się z myślą, że najbliższa nam osoba pokochała kogoś równie mocno jak nas, ale trzeba to zaakceptować.

- Nie mam nic przeciwko twojej siostrze. - Jeśli nawet miał, nie chciał w tym momencie o tym mówić.  
- Zamierzam jednak porozmawiać z Calem o zmianie, jaka zaszła w jego życiu.

- Jesteś nieznośnie uparty.

Uznał, że to trafne określenie.

- Tak. - Uśmiechnął się do niej. - Powiedziałbym, że oboje jesteście uparci.

- Ja przynajmniej nie wsadzam nosa w cudze sprawy.

- A co z wtrącaniem się w kwestię rozmiaru czyjejsz bielizny?

- To zupełnie co innego. - Prychnęła i odsunęła talerz. - Może jestem cyniczna, ale nawet ja wierzę w miłość.

- A czy ja mówię, że nie wierzę?

- Och, doprawdy? - Była pewna, że zapędziła go do narożnika. - Przestaniesz się więc wtrącać, kiedy się przekonasz, że Cal i Libby są w sobie zakochani?

- Jeśli są, to co mógłbym osiągnąć? A jeśli nie - rozłożył ręce - zobaczymy.

Wycelowała w niego palec.

- Zawsze mogę odesłać cię do lasu, żebyś tam zamarzł.

- Ale tego nie zrobisz. - Uniósł filiżankę, jakby wznosił toast. - Mimo pozorów oschłości masz miękkie serce.

- Mogę się zmienić.

- Nie, nie możesz. Ludzie nie zmieniają się tak nagle. - Nachylił się i ujął ją za rękę. Nie umiał się oprzeć tej pokusie. - Sunny, nie chcę skrzywdzić twojej siostry. Ani ciebie.

- Ale skrzywdzisz, jeśli nie zmienisz swojego nastawienia.

- Tak. - Odwrócił jej dłoń. Była zadziwiająco miękka i delikatna. - Masz silne poczucie więzi rodzinnej. Ja także. Moi rodzice... próbowali zrozumieć decyzję Cala, ale to dla nich trudne. Bardzo trudne.

- Wystarczy, żeby się z nim spotkali. Wtedy na pewno zrozumieją.

- Nie mogę tego wyjaśnić. A chciałbym, bardziej niż myślisz.

- Masz jakieś kłopoty? - wypaliła.

- Co?

- Kłopoty - powtórzyła, zaciskając palce na jego dłoni. - Z prawem albo jakieś inne.

Widział jej oczy. Duże, piękne i przepełnione troską. O niego.

- Dlaczego tak uważasz?

- To, jak tu przyjechałeś... i to, dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej. W dodatku zachowujesz się... nie umiem tego opisać... jakbyś został wyrwany z rzeczywistości.

- Może zostałem. - Powinno go to rozbawić, lecz się nie uśmiechnął. Gdyby nie to, że potem gorzko by

tego żałował, porwałby Sunny w ramiona. - Nie mam kłopotów, Sunny, przynajmniej nie takich, o jakich myślisz.

- I nie jesteś... - szukała możliwie najdelikatniejszego określenia - ...chory?

- Chory? - Spojrzył na nią zdziwiony. Nagle pojał. Uśmiechnął się, uniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Nie, nie jestem chory. Ani psychicznie, ani fizycznie. - Gdy spróbowała uwolnić dłoń, zapytał: - Boisz się mnie?

- Niby dlaczego?

- Dobre pytanie. Zastanawiałaś się, czy jestem... niezrównoważony. Pozwoliłaś mi jednak zostać. Nawet mnie nakarmiłaś.

Zbiła ją z tropu niezwykła łagodność, z jaką wypowiedział te słowa.

- Nic wielkiego. Przecież to samo zrobiłabym dla chorego psa.

- Jesteś wspaniała. - Gdy wstała, on również wstał. - Sunbeam.

- Prosiłam cię...

- Są sytuacje, w których muszę cię tak nazywać. Nie mogę się oprzeć. Dziękuję.

Dopiero teraz naprawdę się zdenerwowała.

- W porządku, zapomnij o tym.

- Nie zapomnę. Gdybym odpowiedział, że mam kłopoty, pomogłabyś mi?

- Nie wiem. Zależy.

- Myślę, że byś pomogła. - Ujął jej obie ręce.

- Życzliwość, zwłaszcza okazana komuś, kto jest daleko od domu, zasługuje na najwyższe uznanie. Nie zapomnę.

Nie chciała być tak blisko niego. Gdy jednak patrzył na nią czule, jej wola słabła. A nie ma nic bardziej niepokojącego niż słabość.

- Świetnie. - Wyrwała ręce. - Możesz się odwdzińczyć i pozmywać. Ja idę na spacer.

- Pójdę z tobą.

- Nie chcę...

- Powiedziałaś, że się mnie nie boisz.

- Bo się nie boję. - Westchnęła. - No dobrze, chodźmy.

Gdy otworzyła drzwi, poczuła, że choć wiatr osłabł, a słońce zaczęło się przebijać przez chmury, powietrze jest lodowato zimne.

Dobrze, to mnie ostudzi, pomyślała. Przed chwilą, w kuchni, gdy patrzył jej w oczy, czuła się dziwnie, jakby... Nie wiedziała jak. Nie chciała wiedzieć.

Dobrze, że się przejdą, choć śnieg sięgał kolan. Jeszcze godzina w ciasnej przestrzeni i postradałaby zmysły.

- Jest pięknie, prawda? - szepnął.

Patrzyła na pokrytą śniegiem ziemię. Wiatr strącał z gałęzi biały puch.

- Tak, zawsze najbardziej podoba mi się tu w zimie. Poczekaj, zapomniałam o karmie dla ptaków.

Zawróciła. Pomyślał, że porusza się jak tancerka. Z wdziękiem, mimo głębokiego śniegu. Martwiło go spostrzeżenie, że mógłby przyglądać się jej godzinami. Po chwili wróciła z wielkim jutowym workiem.

- Co robisz?-

- Zamierzam nakarmić ptaki. O tej porze roku przyda im się każda pomoc.

- Daj, ja to poniosę.

- Jestem bardzo silna.

- Tak, wiem. Nie dyskutuj, po prostu mi to daj.

Wziął od niej worek i zaczął go ciągnąć przez śnieg. Z każdym krokiem worek robił się cięższy.

- Nie wiedziałem, że jesteś miłośniczką przyrody - zauważył.

- Po prostu szkoda mi ptaków.

Z wysiłkiem przeciągnął worek o następny metr.

- Czy nie moglibyśmy tego po prostu tutaj rozrzuć? - zapytał.

- Jeśli coś robisz...

- Rób to dobrze - dokończył. - Tak, słyszałem kiedyś to powiedzenie.

Sunny zatrzymała się przy drzewie. Zaczęła napełniać pokarmem sporą budkę z drewna i szkła.

- No to gotowe. - Otrzepała ręce. - Może z powrotem ja poniosę?

- Nie, ja to zrobię. Nie rozumiem, jak ptaki mają to znaleźć.

- Halo, tu jesteśmy! - krzyknęła.

- Tego też nie rozumiem.

Gdy ruszył po worek, uśmiechnęła się do jego pleców. Ulepiła sporo pigułek. Jacob wyłonił się zza drzewa, więc wycelowała i rzuciła.

- Środek tarczy! - krzyknęła triumfalnie.

Otarł śnieg z czoła.

- Raz już przegrałaś.

- To był poker. - Podniosła następną snieżkę. - A to jest wojna. Wojna wymaga umiejętności, nie tylko szczęścia.

Ledwie uchylił się przed następnym pociskiem. Kolejny trafił go w pierś. W sam środek piersi.

- Nie powiedziałam ci, że w szkolnej drużynie byłam pierwszym miotaczem.

Kolejna śnieżka wylądowała na jego ramieniu, był już jednak przygotowany. Błyskawicznie nachylił się, ulepił śnieżną kulę, rzucił i bezbłędnie trafił. No cóż, on też nie powiedział, że był przez trzy sezony kapitanem międzygalaktycznej drużyny baseballowej.

- Nieźle, Hornblower.-

Po chwili przekonała się z radością, że nie utraciła dawnej sprawności. Kurtkę przeciwnika oblepiał śnieg. Jedna śnieżka prawie zerwała mu z głowy czapkę. Trafiała go częściej niż on ją. Nie zauważyła, że Jacob zmniejszył o połowę dzielącą ich odległość.

Gdy dostał prosto w twarz, zaniósł się śmiechem. Potem krzyknęła, gdy chwycił ją w pól i podniósł.

- Celność dobra, strategia do kitu - zauważył, rzucając ją w śnieg.

Przetoczyła się, wypluła śnieg.

- Ale to ja wygrałam.

- Z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej.

Z dobrze udaną obojętnością wyciągnęła rękę. Zawahał się, zobaczył jednak jej uśmiech. Gdy podał jej rękę, Sunny szarpnęła i popchnęła go w zaspę.

- A jak teraz wygląda?

- Na razie remis.

Chwycił ją za ramiona. Oboje zapadli się głębiej. Jacob czuł, jak za kołnierz pożyczonej kurtki dostaje się śnieg. Sunny walczyła ze śmiechem, usiłowała przynieść Jacoba do zimnego podłoża. Prawie się jej udało,

gdy nagle wyleciała w powietrze i wylądowała w sąsiedniej zaspie.

Przez chwilę leżała nieruchomo, uspokajała oddech.

- Ładne zagranie - pochwaliła.

Potem znów rzuciła się do ataku. Udało się jej wcisnąć twarz przeciwnika w śnieg. Przytrzymała go, leżąc na nim.

- Powiedz, że się poddajesz - zażądała.

Powiedział coś znacznie mniej parlamentarnego. Roześmiała się tak, że niemal rozluźniła uchwyt.

- Daj spokój, J.T., prawdziwy mężczyzna potrafi przyznać się do przegranej.

Nienawidził jej. To on byłby górą. Dwukrotnie jednak, gdy już uzyskiwał przewagę, natrafiał ręką na szczególnie interesującą okragłość i to go gubiło.

- To co, poddajesz się? - zapytała. Przyjmując jego mruknięcie za potwierdzenie, zwolniła uścisk i pomogła Jacobowi odwrócić się na plecy. - Jak na naukowca, całkiem nieźle - pochwaliła.

- W normalnych warunkach nie miałybyś szans.

- Ale to ja jestem górą.

- W pewnym sensie.

Uśmiechnęła się.

- Szkoda, że nie widzisz swojej twarzy. Nawet rzęsy masz białe.

- Ty też.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś go pokonał. A już na pewno nie odczuwał wówczas takiej przyjemności jak teraz.

- Wracajmy. Powinniśmy przynieść jeszcze trochę drewna.

Podparła się ręką, żeby wstać. Poślizgnęła się i upadła na niego.

- Przepraszam,

- Nie szkodzi, zostało mi jeszcze kilka całych żeber.

Objął ją. Przybliżył twarz. Wiedziała, że robi błąd, że nie powinna była dopuścić do takiej sytuacji. Nie poruszyła się jednak. I przestała myśleć. Najnaturalniej w świecie zbliżyła usta do jego warg.

Były zimne i twarde. Były wszystkim, czego chciała. Całując go, czuła się, jakby skakała do zimnego górskiego stawu. Porażające. I ryzykowne. Pogłębiła pocałunek.

Pokonała go. Odebrała mu chęć oporu. To co, że przestał nad sobą panować?- Czuł, że traci siły, wolę. Widział wszystko jak przez mgłę, wszystkie jego myśli krążyły wokół Sunny.

Kobiety, które miał przed nią, przestały się liczyć. Odplynęły w mrok, zmieniły się w cienie. Jednocześnie zrozumiał, że po niej nie będzie miał już żadnej. Sunny całkowicie nim zawładnęła. Odebrała mu jego życie.

Chciał ją odepchnąć. Dotknął jej ramion, poczuł jednak tylko pożądanie. Rozpaliło go, a ona to wyczuła. W niej również narastała dzika żądza. Prawdziwa furia. Jego usta, same tylko usta, przeciągały ją przez najeżoną skałami granicę między niebem a piekłem. Niemal czuła rzeczywiste płomienie, chciała się w nie rzucić. Bała się, bardzo się bała, że nigdy już nie zadowoli się niczym poza całkowitym spełnieniem.

To tylko pocałunek, powiedziała sobie. Pocałunek, choćby najbardziej niesamowity, nie może odmienić

całego życia. Musiała ochłonać, żeby się przekonać, że jest tą samą osobą co dawniej.

- Naprawdę powinniśmy przynieść to drewno - udało się jej wykrztusić.

Przestraszyła się nagle, że nie będzie mogła wstać. Ma się czołgać do samego domu, zrobić z siebie widowisko? Ostrożnie stoczyła się na śnieg. Potem, maksymalnie się koncentrując, ostrożnie wstała. Otrzepała śnieg. Marzyła, żeby Jacob coś powiedział. Cokolwiek.

- Patrz.

Ostrożnie się odwróciła. Jacob wskazywał karmnik. Kilka ptaków z zapałem jadło śniadanie. Ten widok pomógł jej trochę się rozluźnić.

- No cóż, spełniłam wobec nich swój obowiązek. - Nagle poczuła chłód. - Wracajmy.

Ruszyła przez śnieg. Gdy szli w kierunku domu, gdy potem brali drewno, gdy układali je w saloniku, nie powiedzieli do siebie ani słowa. Sunny zwalczyła chęć napicia się herbaty. Musiała zostać choć przez chwilę sama. Musiała spokojnie pomyśleć.

- Idę wziąć prysznic.

Czuła się niezręcznie. Patrzyła, jak Jacob poprawia ogień w kominku.

- Świetnie.

Stał odwrócony plecami, toteż skrzywiła się.

- To dobrze, że świetnie - odpowiedziała.

Wyprostował się dopiero wtedy, gdy usłyszał skrzywienie schodów. Ta kobieta zmaciła moje myśli i rozstroiła system nerwowy, pomyślał. Może dlatego, że nie pozabierałem się jeszcze po podróży w czasie? Kto

wie, jaki to wywarło wpływ na mój organizm i umysłu Niedługo wszystko wróci do normy, uznał po namyśle. Potrzebuję trochę czasu, żeby się pozbierać. Gromadzenie danych to ważne zadanie, jednak rozsądniej byłoby mieszkać w statku.

Z wahaniem obrzucił wzrokiem wewnątrz. Przyrzekł Sunny, że pozmywa. No cóż, to także interesujące doświadczenie.

Na górze Sunny rozebrała się, rzucając części garderoby na podłogę. Poczekała, aż woda zrobi się gorąca, weszła pod prysznic i westchnęła.

Już w porządku, uznała. To na pewno lepszy sposób na rozgrzanie się niż całowanie Jacoba. Nie, wcale nie lepszy.

Oparła głowę o ścianę kabiny. Może trochę zwariowała, ale całując go, czuła się żywa jak nigdy. To nie jego wina, na pewno nie tym razem. To ona zrobiła pierwszy ruch. Zajrzała Jacobowi w oczy i zrozumiała, że to on jest tym jedynym.

Ale dlaczego? Ledwie go znała, nie do końca mu ufała. Na początku nawet go nie lubiła. No ale potem... Czy jest w nim zakochana?- Nie, to bez sensu, trzeba coś z tym zrobić.

Myjąc głowę, wciąż rozmyślała o tym samym. Zawsze radziła sobie ze wszystkim, także z problemami emocjonalnymi. Jeśli się kiedyś zakocha, poradzi sobie również z tym uczuciem. Chodzi tylko o to, żeby nie działać pochopnie.

Ostrożność, zdrowy rozsądek i panowanie nad sytuacją, wyliczała w duchu. Zachowa pewien dystans, przynajmniej do czasu zanim nie pozna lepiej

Jacoba, zanim nie upewni się co do jego uczuć. To miało sens. Uspokojona, skupiła się na kąpieli.

Doszła do ładu ze sobą, powinna więc teraz skupić się na nim. Z pewnością jest dość dziwny. Interesujący, oczywiście, ale też nieprzenikniony i jakby... daleki.

Poradzi sobie z nim. Zawsze radziła sobie z mężczyznami. Grunt, że doszła do ładu ze sobą.

Zadowolona, usunęła kopniakiem ubrania z drogi. Owinęła się ręcznikiem i wyszła z łazienki.

Podobało mu się zmywanie. Nie wymagająca zbyt-  
niego skupienia czynność, jakiej teraz potrzebował,  
żeby się rozluźnić. Napis na plastikowej butelce obiecy-  
wał, że płyn do zmywania zawiera prawdziwy sok  
z cytryny. Jacob pociągnął nosem i uznał, że zapach  
jest przyjemny. Gdy tylko wróci na statek, odnotuje to  
sposzczenie.

Mógł teraz pomyśleć spokojniej o Sunny. Cóż  
w tym dziwnego, że wzbudzała w nim pożądanie?  
Powinien jednak nad sobą panować, żeby nie wpako-  
wać się w jakąś kłopotliwą sytuację.

Sunny jest piękna i interesująca, lecz także nieznoś-  
na. Pomysł, żeby ją uwieść, należy zarzucić. Wiedział  
już, że ich fizyczny kontakt nie byłby jedynie miłym,  
niewiele znaczącym doznaniem. Prawdopodobnie na-  
pytaliby sobie masę kłopotów. Ten problem łatwo  
zlikwidować, wystarczy spakować manatki i przenieść  
się na statek. Potem wróci Cal, pogadają, brat zro-  
zumie, że popełnił błąd. Polecą do domu i będzie po  
wszystkim.

Przynajmniej tak sobie zaplanował. Dotarł jednak

do szczytu schodów właśnie w momencie, gdy Sunny wyszła z łazienki. Owinięta ręcznikiem. Na widok Jacoba zasłoniła się szczelniej. Zacisnął dłoń na poręczy tak mocno, że pobielwały mu kostki.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Ta myśl przemknęła przez głowy ich obojga. A może właśnie szczęśliwy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podchodził do niej powoli, niemal bezgłośnie. Nieuchronnie. Zobaczyła w jego oczach odbicie własnych uczuć. Pożądanie, którego nie chciała przyjąć do wiadomości. Nawet teraz, w tej pełnej napięcia sekundzie, wolałaby zanegować jego istnienie. Nie, nie uda się. Pragnienie jest zbyt silne.

A gdyby tak po prostu powiedzieć „nie”?-

Może to by go zatrzymało. A może nie. Nie wypowiedziała tego słowa. Ani żadnego innego.

Czuła na plecach ciepło płynące z łazienki. Ścisnęła ręcznik, ręce spoczywały między piersiami. Patrzyła Jacobowi w oczy. Stała nieruchomo. Czuła tylko przyspieszone bicie serca, jak na finiszu długiego biegu.

Nie dotknął jej. Jeszcze nie. Wiedział już, że gdy to zrobi, dla nich obojga nie będzie odwrotu. Jakaś część jego osobowości pragnęła odwrócić się i odejść. Ruszyć drogą, którą sobie wcześniej wytyczył. Sunny była jak

niebezpieczny zakręt, jak trakt, który mógł sprowadzić wędrowca na manowce.

Gdy tak na nią patrzył, nagle zrozumiał, że wszystkie mosty zostały spalone.

Dotknął jej twarzy... ujął ją dłońmi. Wodził po niej palcami, jakby chciał zapamiętać.

Usłyszał, jak Sunny chwyta z trudem oddech, poczuł, że narasta w niej pasja. Analizował jej spojrzenie. Częściowo wystraszone, częściowo śmiałe. Nie potrafił się jej oprzeć, tak jak nie potrafił powstrzymać bicia własnego serca.

Powoli przesunął dłonie na mokre, błyszczące kropkami wody włosy.

Ani na chwilę nie opuściła wzroku. Nie zdołała jednak powstrzymać leciutkiego westchnienia, gdy odchylił jej głowę. Kiedy przybliżył twarz, rozchyliła usta. Dzielił ich już tylko malutki obłoczek pary wydobywającej się z łożenki.

Z ustami o centymetr od jej warg zatrzymał się, czekał.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Tak - powiedziała.

Żadne inne słowo nie wznieciłoby w nim tak potężnego ognia. Żaden wystudiowany, uwodzicielski ruch nie zwalczyłby tak skutecznie resztek jego oporu. Chwytał mocniej włosy Sunny i zagłębił się w jej ustach.

Niewysłowiona ulga. Usta były jak oaza, ostatnie ożywcze źródło przed prowadzącą do spalenia drogą ku słońcu.

Nie wiedział, że kobieta może mu przysporzyć

cierpień, potem zaś je ukoić, a wszystko to delikatnym dotykiem ust.

Chciała go dotykać, tak jak on dotykał jej. Położyła dłonie na jego piersi, musiała zyskać trochę przestrzeni. Stłumił ustami ten zarodek buntu, aż jęknęła z rozkoszy.

Teraz całował ją mocno, żarliwie. Oboje, ślepi i głusi na wszystko wokół, zatapiali się w sobie coraz bardziej.

Wyrwała ręce. Zanim mogła go dotknąć, świat zawirował. Poczowała, że Jacob unosi ją, pozbawia oparcia. Nikomu dotąd nie udało się ta sztuka. Przyciskał ją do siebie, pokonał odległość do sypialni kilkoma długimi krokami. Runęli na łóżko.

Jednym gwałtownym ruchem zerwał z niej ręcznik. Białe zimowe światło padło na jej nagą skórę.

Przestała wyrwać ręce. Przez chwilę wydawało się jej, że przestała również oddychać.

Była jasna jak światło księżycy, w pięknym ciele czaiła się jednocześnie siła i kobiecość. Patrzył na nią, nie mógł przestać. Pod wpływem tego spojrzenia zadrżała.

Mokre włosy nie zasłaniały twarzy. Patrzyła mu w oczy, miała coraz bardziej zamglone spojrzenie.

Trzymając nadal jej dłonie, zniżył twarz do pocałunku. Wyprężyła się, łaknąc tego kontaktu tak samo jak on. Choć pocałunek podziałał jak narkotyk, usiłowała wyrwać ręce. Jacob do tego nie dopuszczał, jakby wiedział, że gdy wypuści więźnia, straci panowanie nad sytuacją.

Czuła miękki materiał jego swetra. Nie chciała tego, pragnęła dotyku nagiego ciała. Chciała go do siebie

przyciągnąć, stopić się z nim. On jednak pieścił ją ustami, tylko ustami, doprowadzając do krawędzi szaleństwa.

Gwałtownie, niemal dziko przesuwiał usta po jej twarzy, szyi, ramionach. Wypowiedziała jego imię, znów spróbowała się wyrwać.

Nie pozwolił na to. Całował jej piersi, wzbudzając w niej te same żądze, które spalały jego.

Znał zapach kobiet, ten jednak był niepowtarzalny, należał tylko do niej. Nie mógł się nim nasycić.

- Jacob - wydyszała - pozwól mi...

Słowa przeszły jednak w nabrzmiały zdumieniem, stłumiony krzyk. Wznosiła się w powietrzu, słowa i uczucia wirowały, rozpadały się na kawałki. Nadal trzymał jej dłonie. Oddychając ciężko, zamknęła oczy i poczuła, że stęzące przed chwilą mięśnie zaczynają się rozluźniać.

Jeśli to przyjemność, nigdy jej nie doświadczyła. Jeśli rozkosz, rozumiała teraz, dlaczego kobieta mogłaby dla niej umrzeć.

Oszołomiona, otworzyła oczy. Triumfalne spojrzenie Jacoba sprawiło, że serce znów zabiło jej szybciej.

- Ja nie mogę...

- Możesz.

Znów sprawił, że zaczęła jęczeć. Drżała, była coraz bliższa utraty zmysłów. Ręce, choć już wolne, leżały bezwładnie na zmiętej pościeli. Miała przed oczami mgłę. Czuła, że uniesie się i odpłynie.

Dotykaj mnie.

Nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa, czy tylko odbiły się echem w jej głowie. Przez warstwy

rozkoszy uniosła ręce i przyciągnęła Jacoba jeszcze bliżej. Znów złączyli się ustami.

Powracały jej siły, jeszcze potężniejsze po tej chwili słabości. Ściągnęła Jacobowi sweter przez głowę. Westchnęła z rozkoszy, gdy wreszcie dotknęła jego ciała.

Gorące, twarde. Jej. Wodziła po nim dłońmi. Niecierpliwie rozpięta mu dzinsy, zdarła je z niego.

Wiedział, co kobieta może dać mężczyźnie, nie wiedział jednak, co może dać ta. Wspomnienia o wszystkich innych zbladły i rozplynęły się.

Był wypełniony jej ciałem, umysłem i duszą. Stanowiła wszystko, o czym marzył, nie wiedząc nawet, że marzy, wszystko czego pragnął, nie wiedząc, że pragnie. Czuł na ciele jej wargi, pożądanie zamieniało się w pasję.

Ze splecionymi nogami przetaczali się po łóżku, od krawędzi do krawędzi. Chwycił jej biodra, lecz ona już je unosiła, by wyjść mu na spotkanie.

Zagłębił się w niej. Świat przestał istnieć. Jacob pokonywał przestrzeń, czas. Wiedział tylko jedno. Wiedział, że ona z nim jest.

Leżała na łóżku, ze swobodnie odrzuconym ramieniem. Drugą ręką trzymała Jacoba mocno za włosy. Częściowo ją przygniatał, oparł głowę na jej piersi. Pomyślał, że bicie serca, które w tej pozycji słyszał, doskonale współgra z jego własnym. Wyciągnął rękę, dotknął dłoni Sunny. Nie potrafiłby nawet opisać uczucia, które go ogarnęło, gdy mocno chwyciła jego palce.

Był ciężki. To jej nie przeszkadzało. Mogłaby spędzić tak resztę życia. Leżąc, słuchając jego oddechu i spływających z dachu kropel wody.

Więc taka jest miłość, pomyślała. Nie zdawała sobie sprawy, że przez całe życie czekała na takie uczucie. Zawsze uważała, że może spędzić życie samotnie, ciesząc się wolnością i niezależnością.

Myśl o dzieleniu łóżka z mężczyzną, którego się szanuje i rozumie, wydawała się jej zawsze rozsądna. Ale wspólne życie? Albo potrzeba takiego życia, niemożność obycia się bez innej osoby? To zawsze wydawało się jej romantycznym nonsensem.

Teraz już nie.

A Jacob był naprawdę wspaniałym mężczyzną. Silnym i inteligentnym. Zawziętym i upartym. Właśnie takim, zdała sobie sprawę, jakiego potrzebowała. Uśmiechnęła się, zwichrzyła jego włosy.

Wszystko się teraz zmieniło. Zresztą, gdyby umiała spojrzeć prawdzie w oczy, przyznałaby, że zaczęło się zmieniać już wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, tu, właśnie w tym pokoju.

A jak odczuwał to Jacobs Sama nazwała go twarde orzechem do zgryzienia. Pokonanie skorupy, odkrycie wewnątrz innych, delikatnych uczuć, stanowiłoby trudne zadanie. Wymagające wysiłku, starań. Nieważne, uzbroję się w cierpliwość, postanowiła.

Nie wiedział, o czym Sunny myśli. Na wszelki wypadek pocałował ją w pierś.

- Smakujesz pysznie - mruknął.

- Hmm?

- Robię się głodny. - Przeciagnał ustami po jej skórze, ucieszył się, czując, że serce zabiło jej szybciej.

- Tak podobasz mi się naj bardziej - oświadczył. - Naga i w łóżku.

- Typowo męskie podejście. Ale ja mam chyba wobec ciebie takie samo.

- Dobrze, że w końcu doszliśmy w jakiejś kwestii do porozumienia. Lubię twoje usta, Sunbeam. Są uparte i seksowne.

- Mogłabym powiedzieć to samo o twoich.

- Znów się ze sobą zgadzamy.

- To chyba rekord. - Chwyciła lekko zębami jego wargę. - Może warto próbować dalej? Co jeszcze lubisz?

- Twoją... energię.

- Kolejna zgodność.

Roześmiał się i pogłębił pocałunek. Była taka słodka, tak chętna jak na początku.

- Twoje ciało - dodał. - Z pewnością twoje ciało. Westchnęła.

- Dobrze nam idzie, J.T., nie przestawaj.

Ugryzł ją w ucho.

- To miłe miejsce - mruknął - ale muszę powiedzieć, że twój umysł i twoje postępowanie są... intrygujące.

- Intrygujące - powtórzyła rozleniwiona. - Ciekawy dobór słowa.

- Chyba brzmi lepiej, niż gdybym powiedział, że irytujące. A ja... - Urwał, gdyż dostrzegł na jej ramieniu małe sińce. Dotknął ich końcami palców. - Posiniaczyłem cię - zauważył nieco przestraszony. Gdyby zrobił to w walce, nie zaprzętałyby sobie tym głowy ani przez chwilę. Ale w łóżku, gdy się kochali... - Przepraszam, tak mi przykro.

Przekręciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę?

- Nie, chyba nie.

- Skoro jestem taka intrygująca...-podpowiedziała z uśmiechem.

- Racja.

Chciał jeszcze coś dodać, zażartować, lecz głos uwiązł mu w gardle. Coś w jej uśmiechu, spojrzeniu, sprawiło, że zapomniał, co chciał powiedzieć.

Śmieszne, pomyślał, niezwykle zabawne. Cokolwiek czuł, nie mogło to być miłością, nie taką, która sprawia, że mężczyzna głupieje i podejmuje niewłaściwe decyzje. To tylko pożądanie, wmawiał sobie, połączone z troską i czułością. Ale miłość? Nie miał na nią czasu.

Czas. Nagle odniósł wrażenie, że ktoś zdzielił go pięścią w żołądek. Czas stanowił przeszkodę. Największą ze wszystkich.

Musiał się odsunąć, uzyskać jakiś dystans, spokojnie się zastanowić.

Nadal się uśmiechając, objęła go rękoma i nogami.

- Wybierasz się gdzieś?-

- Na pewno cię przygniatam. Jestem dość ciężki.

- Jesteś. - Nadal się uśmiechając, oblizała wargi.

Patrzył na to jak zahipnotyzowany. - Miałam nadzieję, że zrobimy mały eksperyment.

Pokręcił głową.

- Eksperyment?

- Fizyczny. - Przejechała mu palcem po plecach.

- Znasz się na fizyce J.T., prawda?

- Doktorze Hornblower - poprawił ją i pocałował w szyję.

- A więc, doktorze, co z teorią zachowania pędu?
- Zademonstruję ci.

Wszystko ją bolało. I nigdy nie czuła się lepiej. Spojrzała na okno. Nadszedł ranek.

Nie mogła uwierzyć, że spędziła w łóżku większą część dnia i całą noc. A spała najwyżej ze dwie godziny. Westchnęła i spróbowała zmienić pozycję. Natknęła się jednak na solidną przeszkodę - ciało Jacoba.

Jak on tego dokonał? - zastanawiała się. Zajmował dziewięć dziesiątych powierzchni łóżka i zagarnął całą kołdrę. Sunny nie spadła na podłogę tylko dlatego, że przełożył nogę przez jej biodra. Na gardle czuła jego rękę. Dławiła ją całym swym ciężarem.

Poruszyła się znów, tym razem energiczniej.

- No dobrze, koleś - powiedziała. - Nie zamierzam do końca życia spadać co noc na podłogę.

Dość brutalnie wbiła mu łokieć w brzuch. Mruknął coś i przepchnął ją o kolejne dwa centymetry w kierunku krawędzi łóżka.

Dobra taktyka, pomyślała z uznaniem i postanowiła zastosować odmienną. Pogłaskała go, pocałowała w policzek.

- Kochanie.

- Hmm?

Szepnęła mu do ucha:

- Jacob? Mój najdroższy?

Wydał kolejny nieartykułowany dźwięk i położył dłoń na jej piersi. Sunny uniosła brwi. Ta sekwencja ruchów kosztowała ją kolejny centymetr.

- Słodziutki - dodała, zdając sobie w popłochu

sprawę, że kończy się jej zapas czułych określeń. - Obudź się, cukiereczku, chcę coś zrobić. - Delikatnie przeciągnęła wargami po jego ramieniu. - Coś, czego naprawdę potrzebuję.

Gdy otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ugryzła go w ramię. Mocno.

- Jezu! - Otworzył oczy. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Żeby odzyskać swoją część łóżka. - Z rozkoszą zajęła zwolniony przez niego kawałek poduszki. - Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że rozpierasz się jak wieprz? I kradniesz kołdrę.

Chwyciła luźny koniec i owinęła się nim.

- Nie, ty pierwsza się uskarżasz.

Uśmiechnęła się tylko. Liczyła na to, że jest również ostatnia.

Potańił bolące ramię i spojrzał na Sunny. Wyglądała tak bezbronne. Przekonał się jednak przed chwilą, że pozory mylą.

W jej kształtnym ciele drzemał wulkan energii. I całe pokłady pasji, które, był tego pewien, czekały na odkrycie. Zabierała go w miejsca, w których istnienie nigdy przedtem nie wierzył. Miejsca, do których już tęsknił, już chciał wrócić. W najgłębszych otchłaniach nocy okazała się nienasycona i nieprawdopodobnie hojna. Wystarczyło jej dotknąć, by reagowała. Wystarczyło, że go dotknęła, a od razu tracił rozum.

Teraz owinęła się szczelnie kołdrą. Widział tylko jej jasne włosy i pół twarzy. Nadal jej pragnął.

Co ma zrobić? Zrobić z nią? Dla niej? - Nie wiedział.

Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby wyznał jej całą prawdę. Pomyślałaby po raz kolejny, że jest

wariatem. A gdyby udowodnił, że przybywa z przyszłości? Wtedy oboje mieliby świadomość nieuchronności rozstania. On sam nie był już jednak przygotowany na taki rozwój wypadków.

Po raz pierwszy w życiu wolał się okłamywać. Udawać. Mają dla siebie najwyżej kilka tygodni. Co robić?

Usiadł i potarł rękami twarz. Jeśli wyzna teraz Sunny prawdę, zrani ją, zanim jeszcze zdążą się sobą nacieszyć. Gdy przemilczy fakty, ich rozstanie z Sunny będzie dla niej ciosem. I tak źle, i tak niedobrze. Sunny będzie cierpieć z jego powodu. A on? Tak, chyba powinien zniszczyć ich związek w zarodku, to najuczciwsze, co mógł zrobić.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała.

Znów te same słowa... Teraz jednak nabrały one innego znaczenia. W jaki sposób mogłby jej wytłumaczyć, jak daleko się wybiera? Jest inteligentna, pomyślał. Muszę po prostu przedstawić fakty.

- Sunny?

- Tak?

Pogładziła go po ramieniu. Ponieważ poczuła wyrzuty sumienia, uniosła głowę i pocałowała go tam, gdzie przedtem ugryzła.

- Może to nie powinno było się stać.

Widząc, jak przestaje się uśmiechać, zorientował się, że źle zaczął.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

Niezadowolony z siebie, chwycił ją, zanim zdążyła wstać.

- Nie przejmuj się - powiedziała chłodno. - Gdyby wylewali cię z pracy tak często jak mnie, też przyjmowałbyś spokojnie brak akceptacji. Jeśli żałujesz tego, co zaszło...

- Nie żałuję - przerwał jej. - Może powinienem, ale nie mogę. Mogę tylko myśleć, jak bardzo pragnę znów się z tobą kochać.

Postanowiła za wszelką cenę zachować spokój.

- Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Ja też do końca tego nie wiem. - Puściła ją i zagłębiła dłoń we włosach. - To ma dla mnie ogromne znaczenie, to co między nami zaszło. Nie myślałem, że będzie miało, ale stało się...

Poczuła się trochę lepiej.

- Martwi cię, że to coś więcej niż seks?

- Martwi mnie, że to znacznie więcej niż seks.

- Jestem tchórzem, stwierdził. Nie mogę jej powiedzieć, jak mało mamy czasu. - Nie wiem, co począć.

Przez chwilę milczała. Wyglądał na zagniewanego. Na samego siebie. I na zagubionego.

- Dlaczego nie poprzestaniesz na radości z tego, co podarował ci los?

Spojrzał na nią. Chciał, żeby to było takie proste.

- A co będzie, gdy wyjadę?

- Jakoś sobie poradzimy. - Starannie dobierała słowa. - Jacob, żadne z nas tego nie planowało. Ale stało się. I ja nie żałuję.

- Ja także nie.

Nie chcąc powiedzieć ani słowa za dużo, Sunny zmieniła temat.

- Dziś ty masz dyżur w kuchni. Idź zrobić śniadanie. Zawołaj, kiedy będzie gotowe.

Nie odpowiedział. Nadal bił się z myślami. Nie chciał jej wyjawiać wszystkiego, nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. W końcu postanowił milczeć. Wstał, ubrał się i wyszedł z sypialni.

Sunny wtuliła twarz w poduszkę. Poszewka pachniała Jacobem. Sunny westchnęła i spróbowała się rozluźnić. Skłamała. Każde odrzucenie bardzo ją bolało. A odrzucenie przez niego? Jak można to porównać z utratą pracy?

Co robi, jeśli on odejdzie? Jakoś to przeżyje. Chciałaby bardzo w to wierzyć. Nie, nie przeżyje. Musi zatem sprawić, by Jacob został z nią na zawsze.

Nie wolno zbyt naciskać. Sunny zdawała sobie sprawę, że wymaga za dużo od bliskich sobie ludzi. Za dużo miłości, za dużo uwagi, cierpliwości, wiary. Tym razem musi postępować inaczej. Musi zachować cierpliwość.

Potrzebowali tylko trochę więcej czasu, żeby się lepiej poznać, żeby nauczyć się zasad współżycia. Nauczyć się sztuki kompromisu. Wybaczając sobie potknięcia.

Popatrzyła w sufit.

Więcej czasu, tak. Muszą się oswoić z nową sytuacją, zaakceptować ją.

Uśmiechnęła się, nagle uspokojona. A jeśli nie uda się po dobroci, weźmie Jacoba za kark i zmusi do uległości. Doskonale wiedziała, czego chce, a to najważniejsze. Chciała Jacoba T. Hornblowera. Jeśli po rozmowie z Calem spakuje swą żalostną małą torbę i wróci na Wschód, ona po prostu pojedzie za nim.

Co to jest kilka tysięcy kilometrów dla przyjaciół?  
Albo kochanków?

Tak, nie pozbędzie się jej tak łatwo, skoro postanowiła o niego walczyć. A walka jest jej mocną stroną. Skoro uznała, że Jacob jest jej przeznaczony, już znajdzie jakiś sposób, by złamać jego upór. Może pozwoli mu na trochę swobody za jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, ale do tego czasu Jacob przyzwyczai się do niej na tyle, że i tak zostanie.

- Sunny! Nie mogę znaleźć tej cholerne kawy!

Uśmiechnęła się. Ach, ten słodki głos kochanka rozbrzmiewający w porannej ciszy. Jak muzyka, jak śpiew ptaków...

- Mówię, że nie mogę znaleźć tej cholerne kawy!  
Jak ryk rannego bawołu.

Uśmiechnęła się czule, odrzuciła kołdrę.

- Na półce nad kuchenką, tępaku. Zaraz zejdem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kolejny tydzień pobytu na pustkowiu doprowadził Sunny do szaleństwa. Tak jak zawsze. Tym razem nawet miłość nie wystarczała jako przeciw-waga dla wlokących się godzin, przerywanych jedynie krzykiem ptaków i kapaniem wody z topniejących sopli.

Mogła dla urozmaicenia słuchać szumu wiatru w gałęziach drzew. Nie. Oddałyby wszystko za hałas podczas godzin szczytu w dużym mieście.

To, że urodziłam się w lesie, pomyślała, nie oznacza, że jestem stworzona do takiego życia.

Wraz z upływem dni okazywało się, że również Jacob nie jest entuzjastą pobytu na łonie przyrody. To odkrycie nie pomogło jednak ani jemu, ani jej.

Udawało się im zabijać czas sporami, w łóżku i poza nim. Oboje byli wybuchowi, w dodatku skazani wyłącznie na swoje towarzystwo. Nic dziwnego, że często dochodziło do gwałtownych spieć.

Sunny dużo spała. Uznała, że śpiąc, przynajmniej się nie nudzi. Nabrała więc zwyczaju ucinania sobie długich drzemek o różnych dziwnych porach. Gdy spała, Jacob wymykał się do szopy, w której znalazł skarb - latający skuter Cala. Dzięki niemu mógł robić szybkie wypadki do statku i wprowadzać nowe dane do głównego komputera.

Wmawiał sobie, że nie oszukuje Sunny, że wykonuje po prostu niektóre z zadań, które przed sobą postawił. Jeśli nawet oszukiwał, nie mógł na to nic poradzić. Niemal uwierzył, że to, o czym nie wiemy, nie może nas ranić.

Przyłapał się na tym, że porządkuje w myślach wspomnienia. O tym, jak Sunny wygląda, kiedy się budzi. O tym, jak się śmieje, jak słońce błyszczało w jej włosach, gdy budowali pod sosnami domek ze śniegu. Jak kochali się na podłodze przed kominkiem i w kuchni.

Będzie potrzebował tych wspomnień. Za każdym razem gdy wchodził do statku, coraz bardziej to sobie uświadamiał.

Sunny napisała listy do kilku wybranych uniwersytetów. Pogoda nie pozwalała jej jednak jak dotąd na wyprawę do Medford, skąd mogłaby je wysłać. Poza tym czytała, przegrywała z Jacobem w pokera, nawet wyciągnęła swój szkicownik. Rysowała drzewa, potem, gdy ją to znudziło, wewnątrz domu, wreszcie przeszła do karykatur.

Jacob dużo czytał, robił notatki w notesie, który znalazł w którejś szufladzie. Gdy Sunny pytała, czy przygotowuje się do jakiegoś eksperymentu, zbywał ją

ogólnikami. Gdy naciskała, wciągał ją po prostu na kolana i sprawiał, że zapominała o temacie rozmowy.

Jeszcze dwukrotnie wysiadła elektryczność. Kochali się tak często, jak się kłócili, to znaczy bardzo często.

Pewnego dnia Sunny doszła do wniosku, że jeśli nie znajdą lepszego sposobu spędzania czasu, trafią do sanatorium dla nerwicowców.

Przerwała śłanie łóżka i podbiegła do schodów.

- J.T.

Właśnie budował domek z kart.

- Co?

- Pojedźmy do Portlandu.

Wpatrywał się w interesujący zarys powstającej budowli. Przypominał Omegę II.

- J.T.

- Aha?

Zaczął ustawiać kolejne piętro.

- Chyba jednak jest już za późno - mruknęła i usiadła obok niego.

- Mamy jeszcze jakieś karty?

Westchnęła.

- Nie.

- Myślałem o moście.

- Pomyśl lepiej o terapii wstrząsowej.

- Albo o pasie powietrznym.

- O czym?

- Nic takiego, zamyśliłem się i gadam od rzeczy.

Prychnęła.

- Pojedźmy gdzieś za horyzont.

- Horyzont? Myślałem, że najbliższe miasto nazywa się Medford.

Otworzyła usta, lecz natychmiast je zamknęła. W końcu stwierdziła:

- Niekiedy mi się wydaje, że jesteś z innej planety.
- Nie, z tej. - Zapadła się część ostatniego piętra.
- Nie mogłabyś chuchać w inną stronę?
- Jacob, gdybyś poświęcił mi chwilę swego cennego czasu...

Spojrzał na nią i wreszcie się uśmiechnął.

- Odymasz wargi tak seksownie, że...
  - Nie odymam warg.
- Ponieważ złapała się na tym, że właśnie to zrobiła, dmuchnęła i zrujnowała całą budowlę.
- Właśnie zamordowałaś tysiące niewinnych ludzi.
  - Chcę zamordować tylko jednego człowieka.
  - Chwyciła go za sweter. - J.T., jeśli się stąd nie wyrwę, zacznę burzyć ściany.

- Dasz radę?
- Tylko na mnie popatrz. - Przysunęła się bliżej.
- Portland. Ludzie, ruch, restauracje.
- Dokąd chcesz pojechać?

Odsunęła się.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Oczywiście. Kiedy chcesz wyjechać?
- Tydzień temu. Teraz. Będę gotowa za dziesięć minut.

Wstała. Jacob, choć miał jej za złe zburzenie jego budowli, również wstał.

- A co ze śniegiem?
- Od trzech dni nie pada. Poza tym mamy samochód z napędem na cztery koła. Jeśli przedostaniemy się do szosy numer pięć, będziemy wolni.

Pomysł zainteresował Jacoba. Niemal zapomniał o najważniejszym.

- A jeśli wróci Cal?

Roznosiła ją niecierpliwość.

- Tak szybko nie wróci. Poza tym, oni mieszkają tu na stałe. J.T., zastanów się, naprawdę chcesz, żebym dostała szału ?

- Może. - Przyciągnął ją do siebie. - Lubię, kiedy szalejesz.

- Więc gotuj się na najgorsze.

- Jestem gotowy.

Pociągnął ją na podłogę.

Rozpięła guziki flanelowej koszuli. On zdjął sweter. Zaczęli się całować.

Sunny wrzuciła torbę do bagażnika. Zdażyła zapakować szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów, ulubiony stanik i szminkę.

- Na wypadek, gdybyśmy musieli się po drodze zatrzymać - wyjaśniła.

- Po co mielibyśmy się zatrzymywać?

- Nie wiem, ile czasu zabierze nam wydostanie się z gór - Usiadła za kierownicą. - Potem to już tylko pięć godzin.

Pięć godzin, pomyślał. Z jednej części tego samego stanu do drugiej. Przez ostatnie dni niemal zapomniał, w jakiej epoce się znalazł.

- Gotowy?

- Jasne.

Patrzył, jak Sunny przekręca mały kluczyk i silnik ożywa. Czuł wibracje. Kilka drobnych poprawek, po-

myślał, a nawet ten archaiczny pojazd mógłby jeździć łagodnie i cicho. Niemal to powiedział, lecz na szczęście zamilkł, gdyż gwałtownie wcisnęła gaz.

- Nie patrz tak, będzie dobrze!

- Na pewno?

- Tak, to maleństwo ma moc jak czołg.

- Aha, widzę. - Uznał, że po niebezpiecznej podróży kosmicznej byłoby niedorzecznością zginąć tutaj, w tym starodawnym pojeździe. - Zakładam, że wiesz, co robisz?

- Pewnie, że wiem. Umiem prowadzić terenowy samochód.

Wjechali na wzniesienie. Na jego szczycie śnieg najpierw się roztopił, a potem zamarzał, zamieniając grunt w ślizgawkę. Jacob ocenił odległość od drzew. Mógł tylko mieć nadzieję, że Sunny potrafi je ominąć.

- Pozieleniałeś - zauważyła ze zdziwieniem. - Nie jechałeś nigdy czymś takim?

Pomyślał o swoim pojeździe LMP. Łąd, morze, powietrze. Poruszał się płynnie i cicho, szybko jak kometa.

- Nie, nigdy.

- Więc rozkoszuj się nowym doznaniem.

Landrower podskoczył na ukrytym pod śniegiem kamieniu.

- Jasne.

Droga stała się mniej wyboista. Jacob trochę się uspokoił. Wszystko wskazywało na to, że Sunny potrafi prowadzić ten pojazd.

- Może być coś złapał?

- Co?

- Coś w radiu.

Zjeżdżała teraz po pochyłości. Jacob dostrzegł na wprost kilka wyjątkowo dużych drzew. Przy tym kursie i prędkości wylądują na jakimś pniu najdalej za trzydzieści sekund...

- Nie damy rady! - krzyknął.

- Radio, J.T., złap wreszcie jakąś stację - poprosiła, mijając drzewo o centymetry.

Jacob przyjrzał się tablicy rozdzielczej. Tak, to ta gałka. Przekreślił ją.

- Znalazłbyś szybciej, gdybyś najpierw je włączył.

Szybko nacisnął jakiś guzik i został nagrodzony rozdierającymi uszy trzaskami. Ściszył i zajął się wyszukiwaniem stacji. Znalazł pierwszą. Przerażliwy jazgot sprawił, że skulił się ze strachu. Spojrzał jednak niepewnie na Sunny.

- Jeśli to twoja ulubiona muzyka, to nie wiem, czy długo ze sobą wytrzymamy.

Szukał dalej. Natrafił na stację nadającą tradycyjny rock. Podobnej muzyki Jacob słuchał czasami w swojej epoce.

- Dobry wybór - pochwaliła Sunny, uśmiechając się do niego. - Jakiego muzyka najbardziej lubisz?

- Mozarta - odpowiedział, gdyż uznał, że to bezpieczne i częściowo zgodne z prawdą.

- Jak moja matka. Gdy byłem dzieckiem, tkąta, słuchając koncertu a-mol na klarnet. Mówiła, że ma czyste brzmienie. Mama lubi wszystko, co naturalne, pozbawione jakichkolwiek dodatków czy konserwantów.

- Jak przechowywać bez nich żywność?

- Ja zadaję jej to samo pytanie. Komu zaszkodzi trochę glutaminianu sodu? Tata woli Boba Dylana.  
- Roześmiała się z ulgą większą, niż chciałaby przyznać, gdyż wjechali wreszcie na regularną drogę. Gruntową, ale zawsze drogę. - Tak, pamiętam, z jakim zapałem pracował w ogródku. Nagi tors, sprane dżinsy, koraliki na szyi.

Jacob przypomniał sobie swego ojca, który, zawsze schludnie ubrany, sadząc róże, słuchał Brahmsa. I matkę. W niedzielne popołudnia siadywała w cieniu drzewa i czytała książkę. On i Cal grali w baseball i kłócili się o strefy.

- Polubiłbyś go - dodała.

Wyrwany z rozmyślań, nie wiedział, o kim mowa.

- Co?

- Mojego ojca - powtórzyła. - Myślę, że byś go polubił.

Zduślił w zarodku ogarniający go gniew. Wiedział, do czego zmierza Sunny.

- Twoi rodzice mieszkają w Portlandzie? - zapytał.

- Tak, dwadzieścia minut drogi od mojego mieszkania. - Wjechała na szosę numer pięć prowadzącą na północ. - Chętnie cię poznają, zwłaszcza że niewiele wiedzą o rodzinie Cala. - Miły uśmiech, którym go obdarzyła, zniknął, gdy dostrzegła wyraz jego twarzy.  
- Wiesz, dodała po chwili, poznanie moich rodziców nie jest jednoznaczne z zaciągnięciem cię do ołtarza.

Powiedziała to na pozór obojętnie, niemal chłodno. Gdyby nie był tak bardzo pochłonięty własnymi rozterkami, usłyszałby w jej głosie gorycz.

- Nie wspomniałaś o wizycie u rodziców.

Nie chciał ich poznawać. Nie chciał nawet o nich myśleć jako o realnych, żywych ludziach.

- Nie sądziłam, że to konieczne. - Zaczęła stukać lewą nogą o podłogę. - Różnimy się w poglądach na temat więzi rodzinnych. Ja po prostu nie wyobrażam sobie, że mogłabym przyjechać do miasta i nie odwiedzić rodziców.

- Nie wiesz, co znaczy dla mnie rodzina - odpowiedział gorzko.

- Nie? Zdołałam wywnioskować, że długa rozłąka z niektórymi członkami rodziny nie stanowi dla ciebie żadnego problemu. Twoja sprawa - dodała, zanim zdążył odpowiedzieć. - I oczywiście nie masz obowiązku towarzyszenia mi, kiedy do nich wpadnę. - Stukała palcami w kierownicę, w tym samym rytmie, co nogą w podłogę. - W gruncie rzeczy nie zamierzałam im o tobie wspominać.

Nie odpowiedział. Gdyby to zrobił, musiałby potem zbyt wiele wyjaśniać.

Nie wiedziała, jak on się czuje. Dla niej wszystko było proste i oczywiste. Żeby odwiedzić rodzinę, musiała tylko wskoczyć do tej karykatury pojazdu i przejechać mały kawałek po tej namiastce drogi. Mogła też do nich telefonować. Mogłaby ich odwiedzać, nawet gdyby wyprowadzili się na drugą półkulę. Technologia dwudziestego wieku umożliwiała takie podróże.

Nie wiedziała nic o prawdziwym oddaleniu. Jak by zareagowała, gdyby się okazało, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy siostry? Nie byłaby wtedy taka zadowolona z siebie.

Przez następną godzinę Jacob przyglądał się innym pojazdom na drodze. Śmiesznie niezdarnym, powolnym i absurdalnie nieekonomicznym. Do tego dwutlenek węgla emitowany do atmosfery. Niesamowicie, ci głupcy sami zatrują powietrze, którym oddychają. Nie szanują własnego zdrowia, nie troszczą się o losy przyszłych pokoleń.

A Sunny uważała, że to on jest pozbawiony serca.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wszedł do ich archaicznego laboratorium i nauczył kilku nowych technologii. Pewnie złożyliby w ofierze owcę i obwołali go bogiem.

Nie, muszą sami do wszystkiego dojść.

Zobaczył ze zdziwieniem, że Sunny zjeżdża z szosy.

- Co robisz? - zapytał.

- Zamierzam coś zjeść i zatankować - warknęła, nie patrząc na niego.

Zatrzymała samochód przed stacją benzynową, wysiadła i zatrzasnęła z rozmachem drzwiczki. Mrużąc coś pod nosem, zaczęła nalewać benzynę.

Zapomniała, jak Jacob rozumuje. Oczywiście uznał, że wciągam go w jakąś pułapkę, myślała z furją. Że natychmiast zaczniemy rozmawiać o ślubie. Zacisnęła zęby. To obraźliwe.

Może go kochała, choć żałowała teraz, że tak się stało. Ale czy wywierała na niego jakikolwiek nacisk? Nie dawała mu przecież w żaden sposób do zrozumienia, że powinien paść na kolana i poprosić ją o rękę. Jeśli sądził, że chce go przedstawić rodzicom jako przyszłego męża, to on chyba rzeczywiście jest świrem albo ma jakąś obsesję.

Po chwili Jacob postanowił rozprostować nogi. I rozejrzeć się.

A więc to jest stacja benzynowa, pomyślał, przypatrując się dystrybutorom. Sunny włożyła końcówkę węża do otworu z boku pojazdu. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że ta czynność nie sprawia jej przyjemności. Za nią, na wyświetlaczu, zmieniały się szybko cyfry. W powietrzu unosił się silny smród paliwa.

Wciąż podjeżdżały kolejne samochody. Niektórzy kierowcy nie wysiadali. Czekali na człowieka w czapce, który podchodził i wykonywał te same czynności co Sunny. Inni szli w jej ślady i dygotali z zimna.

Przy ścianie oddalonego nieco od drogi budynku zobaczył kobietę z trojgiem dzieci. Dzieci się kłóciły, kobieta z trudem starała się przywrócić spokój. Uśmiechnął się. Pewne wzory zachowań pozostały niezmiennie.

Drogą przejeżdżały samochody. Jacob skrzywił się, czując spaliny. Przetoczyła się ogromna ciężarówka, zostawiając za sobą obłok dymu.

Widział wiele budynków, wysokich, niskich. Wszystkie stłoczone tak, jakby bały się osamotnienia. Architektura pozostawiała wiele do życzenia, całość wyglądała brzydko. Nieco dalej zobaczył jednak coś, co sprawiło, że zateśnił za domem. Dwa wysokie, złote łuki. Przynajmniej ta konstrukcja nosi ślady pewnej koncepcji artystycznej, uznał. Odwrócił się i uśmiechnął do Sunny.

Nie zareagowała. Zamknęła miejsce wlewu paliwa i odwiesiła wąż. Może się nie odzywać, pomyślał. I tak nie przeproszę za coś, co nie jest moją winą. Poszedł

jednak za nią. Weszli do pomieszczenia wypełnionego rzędami półek i oszklonych szafek z napojami.

Gdy Sunny wyjęła papierowe pieniądze, musiał się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć ich. Człowiek w czapeczce postukał w klawisze maszyny. Na wyświetlaczu pojawiły się cyfry. Mężczyzna wziął papier, a w zamian za to dał Sunny metalowe krażki.

To też są pieniądze, przypomniał sobie Jacob. Tak zwane monety. Niestety, wrzuciła je do kieszeni, zanim zdążył im się lepiej przyjrzeć. Zastanawiał się, jak ją poprosić o podarowanie mu kilku.

Kobieta, na którą zwrócił wcześniej uwagę, wprowadziła dzieci do środka. Cała trójka rzuciła się natychmiast do półek ze słodyczami.

- Tylko po jednym, pamiętajcie - upomniała dzieci kobieta.

Mówiąc to, szukała czegoś w torebce.

Dzieci znów wszczęły kłótnię. Najmniejsze upadło pupą na podłogę i zaczęło płakać. Jacob pochylił się odruchowo, żeby pomóc dziewczynce wstać. Potem podniósł zgnieciony batonik i podał jej.

Zobaczył wpatrzone w siebie duże, niebieskie oczy.

- Popchnął mnie. Zawsze mnie popycha - poskarżyła się.

- Niedługo będziesz taka duża jak oni - pocieszył ją.  
- Nie będą mogli cię popychać.

- Przepraszam - powiedziała matka dziewczynki.  
- Jechaliśmy długo i w końcu zaczęły wariować. Scotty - zwróciła się do chłopca - przez następne dwadzieścia kilometrów nie wolno ci się odzywać.

Gdy Jacob odwracał się, dziewczynka obdarzyła go promiennym uśmiechem. Tak samo jak Sunny.

- Czy nadal ze mną nie rozmawiasz? - zapytał, gdy wracali do samochodu.

- Nie rozmawiam. - Co za pech, pomyślała. Byłoby o wiele łatwiej nienawidzić tego bałwana, gdyby nie zachował się tak miło wobec trzylatki. - Ja jestem już dużą dziewczynką, trudniej mnie oczarować niż małego brzdąca.

- Możemy rozmawiać na jakiś neutralny temat.

Włączyła silnik.

- Nie mamy żadnych neutralnych tematów.

Trafiła. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Mógłby ją po prostu pocałować, ale nie zrobił tego.

Zatrzymała samochód przy tablicy z wykazem oferowanych dań.

- Co zjesz? - zapytała.

Chciał poprosić o McGalaktyka i laserowe pierścienie, nie zobaczył jednak w menu tych dań. Postanowił ponownie zdać się na Sunny.

- Podwójną porcję tego, co ty.

Nie mógł się powstrzymać. Dotknął jej włosów. Zniecierpliwiona potrząsnęła głową. Rzuciła do mikrofonu zamówienie i dołączyła do kolejki pojazdów.

- Będzie prędzej, jeśli zjemy w drodze - wyjaśniła.

- Czy się spieszymy? - zapytał.

- Nie lubię marnować czasu.

On też nie lubił. Zastanawiał się, co jeszcze ich łączy. Kolejka posuwała się powoli.

- Sunny?

Cisza.

- Kocham cię.

Noga ześlizgnęła się ze sprzęgła. Samochód skoczył naprzód, więc Sunny gwałtownie wcisnęła hamulec. Pojazd stanął i jeszcze przez chwilę kołysał się na resorach.

Spojrzała na Jacoba.

- Co?

- Powiedziałem, że cię kocham. - Wyznanie nie przyszło mu z taką trudnością, jak oczekiwał. Właściwie poczuł się po nim dobrze. Bardzo dobrze. - Wiesz, pomyślałem sobie, że powinienem wyjaśnić tę kwestię.

- Och.

Wiedziała, że to nie jest najinteligentniejsza odpowiedź, na jaką ją stać. Patrzyła na szybę stojącego przed nimi samochodu. To znaczy na przyczepionego tam przyssawkami pluszowego kota. Uśmiechał się do niej. Kolejka znów ruszyła, ktoś z tyłu niecierpliwie zatrąbił. Roztrzęsiona Sunny podjechała do okienka.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Tylko „och”?

- Ja... nie jestem pewna, co...

- Razem dwanaście siedemdziesiąt pięć! - krzyknął chłopak, podając dwie papierowe torby.

- Co?

- Dwanaście siedemdziesiąt pięć. Uważa pani, że za dużo?

- Przepraszam.

Wzięła torby, rzuciła je na kolana Jacoba. Zaklął, a ona wyszukała dwudziestodolarowy banknot i podała chłopcu. Nie czekając na resztę, wjechała na najbliższe wolne miejsce na parkingu.

- Chyba oparzyłaś mnie w...

- Przepraszam - warknęła. Ponieważ czuła, że zrobiła z siebie idiotkę, postanowiła wywołać awanturę. - To twoja wina, baranie. Wybrałeś bardzo nieodpowiedni moment. Czego się spodziewałeś? Że rzucę ci się w ramiona, patrząc, jak wkładają do bułki plasterki ogórka?

- Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać.

Wyjął z torby zapakowanego w folię hamburgera i rzucił jej.

- Po mnie? - Odwinęła hamburgera i odgryzła potężny kęs. Nawet to jej nie uspokoiło. - Po mnie? - To ty wszystko zacząłeś, Hornblower. Najpierw mnie obrażasz, potem mówisz, że mnie kochasz, a na koniec rzucasz we mnie hamburgerem.

- Zamknij się i jedz.

Wcisnął jej w dłoń papierowy kubek.

Prędej odgryzie sobie język, zanim powie jej coś takiego po raz drugi. Nie wiedział, co go napadło. To przez ten smród benzyny, przez spaliny, na pewno. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby pokochać takiej jędzy. A on, pomimo niesprzyjających warunków, jest jeszcze chwalić Boga poczytalny.

- Kilka minut temu błagałeś, żebym z tobą porozmawiała - przypomniała mu, gryząc słomkę.

- Nie błagałem. Ja nigdy nie błagam.

Spojrzała na niego.

- Błagałbyś. Gdybym tylko zechciała.

Mógłby ją udusić. Za to, że powiedziała prawdę.

- Podobno mieliśmy zjeść w drodze.

- Zmieniłam zdanie.

Czuła się tak roztrzęsiona, że nie wiedziała, czy zdoła poprowadzić samochód. Ale na pewno nie da tego po sobie poznać. Ponieważ siedząc za kierownicą, nie mogła kopnąć Jacoba, poprzestała na patrzeniu przez szybę. Jadła bez przyjemności, wściekła, że odebrał jej apetyt. Tylko pomyśleć, wyznał mi miłość, kiedy czekaliśmy na hamburgery. Co za styl, jakie wycucie chwili!

Spojrzała na niego ukradkiem. Siedział spokojnie, miał ponurą minę. Widziała wielokrotnie, jak się złości, teraz jednak, gdy trwał w zaciętym milczeniu, roztkliwiła się. Za dwadzieścia lat będzie się śmiała na wspomnienie okoliczności, w jakich Jacob wypowiedział po raz pierwszy te magiczne słowa.

Wspięła się kolanami na siedzenie i zarzuciła mu ręce na szyję. Podskoczył, gdy zimny płyn wylał się mu na kolana.

- Cholera, Sunny, co ty wyprawiasz...

Ucichł, gdy znalazła ustami jego usta. Spróbował przyciągnąć ją bliżej, lecz przeszkadzała w tym dźwignia zmiany biegów.

- Czy powiedziałeś to szczerze? - zapytała, strącając na podłogę to, co pozostało z ich posiłku.

Nie pójdzie jej tak łatwo, pomyślał.

. - Co czy powiedziałem szczerze?

- To, co powiedziałeś.

Posadził ją sobie na kolanach. Starannie zadbał, by siedziała dokładnie na mokrej plamie na jego spodniach. Taki rodzaj zemsty.

- Kiedy?

Prychnęła niecierpliwie, lecz otoczyła go ramieniem.

- Wtedy, kiedy powiedziałaś, że mnie kochasz. Mówiłeś to szczerze?

- Mogło tak być - zgodził się. Włożył jej ręce pod kurtkę, musiał się jednak zadowolić dotykiem flanelowej koszuli. - A może tylko chciałem jakoś nawiązać rozmowę.

Przygryzła wargę.

- Masz ostatnią szansę, Homblower. Mówiłeś szczerze?

- Tak. - Niech Bóg pomoże im obojgu. - Chcesz się znów o to kłócić?

- Nie. - Przytuliła policzek do jego twarzy. - Przy najmniej nie teraz. - Westchnęła. - Wiesz, to mnie trochę przeraża.

- No, to znów mamy ze sobą coś wspólnego.

Pocałowała go w szyję.

- Przestraszę cię jeszcze bardziej. Ja też cię kocham. Wiedział to od dawna, a jednak...

Przyciągnął ją i pocałował.

Nie wydawało się mu dziwne, że obejmują się i całują w samochodzie, na parkingu przy ruchliwej drodze i w biały dzień. Znacznie bardziej dziwił go fakt, że w ogóle tu był, że znalazł Sunny mimo dzielących ich stuleci.

Nie mogła z nim pojechać. On nie mógł z nią zostać. A czas mijał.

- Nie wiem, co z tym zrobimy - mruknął.

Musiał istnieć jakiś sposób. Jakiś wzór, jakaś teoria. Jednak nie wymyślono jeszcze komputera, który byłby w stanie dokonać analizy ludzkich emocji.

- Nie myśl o tym teraz. Mamy mnóstwo czasu.  
- Wtuliła się w niego, nie widziała na szczęście jego oczu, które mogłyby coś zdradzić. - A skoro mowa o czasie, przed nami prawie dwie godziny jazdy do Portlandu.

- Zbyt długo.

Zachichotała i wróciła na swoje siedzenie.

- Podzielam twoje zdanie.

Wyjechała z parkingu na drogę. Po kilku minutach zadowolona zatrzymała samochód przed najbliższym napotkanym motelem.

- Chyba możemy zrobić sobie przerwę.

Porwała torbę i poszła do recepcji.

Tym razem posłużyła się plastikową kartą - czymś znacznie mniej egzotycznym.

- Ile mamy czasu?- - zapytał, gdy odebrała z recepcji klucz.

- Może to tylko motel - odparła, zmierzając do drzwi oznaczonych numerem 9 - ale nie sądzę, by wynajmowali pokoje na godziny. Mamy więc - przekreśliła klucz w zamku - resztę dnia. No i całą noc, jeśli ,chcemy.

- Chcemy.

Chwycił ją w chwili, gdy przekroczyła próg. Zatrzasnął drzwi ciężarem ich splecionych ciał. Sunny zasunęła zasuwkę.

- J.T., poczekaj.

- Dlaczego?

- Wolałabym zasłonić okna.

Przejechał dłonią po ścianie, szukając przycisku. Drugą ręką zdarł z Sunny kurtkę.

- Co robisz?
- Szukam przełącznika.

Zaśmiała się.

- Za trzydzieści pięć dolarów za dobę trzeba zasłaniać okna ręcznie. - Wyrwała się, żeby to zrobić.  
- Chciałabym zobaczyć hotele, w których ty się zatrzymujesz.

Gdy zasłoniła okna, wewnątrz pociemniało. Tylko środek pokoju, gdzie stanęła Sunny, oświetlała jasna plamka.

- W Maine jest taki hotel - powiedział, zrzucając pożyczoną kurtkę. Usiadł, żeby zdjąć buty. - Na cyplu, na takiej konstrukcji, że pokoje wiszą nad morzem. Fale łamią się przed oknami, pod podłogą. Okna są... - Jak to wyjaśnić? - Zrobiono je ze specjalnego materiału, tak że ze środka jest widok aż po horyzont, a z zewnątrz niczego nie widać. Mają tam ogromne wanny, a z kranów leci perfumowana woda. - Powoli wstał. - Można słuchać muzyki, wystarczy o tym pomyśleć. Jeśli marzysz o świetle księżycy albo szumie deszczu, wystarczy nacisnąć guzik. Łóżka są miękkie i duże, tak że mężczyzna musi szukać swojej kobiety. Kiedy się tam jest, czas staje w miejscu.

- Wymyśliłeś to?

Pokręcił głową.

- Gdybym mógł, zabrałbym cię tam.

- Nie szkodzi, potrafię to sobie wyobrazić. - Zadrżała, gdy dotknął jej ramion. - Możemy udawać, że tam jesteśmy. Chyba jednak nie uda się załatwić blasku księżycy - dodała z uśmiechem.

Zdjął jej buty.

- Co zamiast tego proponujesz?

- Burzę. I błyskawice. To właśnie czuję, gdy mnie dotykasz.

W nim również rozszalała się burza. Zobaczył jej odbicie w oczach Sunny. Wstała, zerwała z niego koszulę, podeszła tak blisko, że ich ciała się zetknęły. Zanim zdążył ją pocałować, wpiła się wargami w jego szyję.

Potem wodziła ustami po piersi, wdychając zapach męskiej skóry. Była miękka, rozkosznie miękka, choć opinała twarde mięśnie.

Zbliżyła twarz do jego serca. Czuła, jak bije. Biję dla niej. Spojrzała mu w oczy.

Oszołomiony, nadal stał nieruchomo. To, co robiła Sunny, niemal pozbawiało go przytomności. Opadła na kolana, rozpięła mu dzinsy. Czas nie stanął jednak w miejscu. Cofnął się. Do epoki, w której mężczyźni posługiwali się narzędziami i bronią z krzemienia. Jęknął, porwał ją w ramiona i pocałował.

Znalazła się pod nim na łóżku. Oddychała szybko, powietrze zdawało się rozdzierać płuca. Słyszała, że Jacob coś mówi, lecz nie rozumiała sensu słów. Zdarła z siebie bluzkę, guziki poleciały na boki. Wykrzyknęła jego imię, zdumiona siłą, jaka z niego emanowała. Potem mogła już tylko ciężko dyszeć, walcząc o powietrze, o resztki samokontroli.

Gdy pierwszy orgazm minął, tym razem nie utraciła sił. Objęła mocno Jacoba, odchyliła głowę.

Jak oszalały szarpał jej dzinsy. Chciał, by Sunny też

była naga. Poczwała, że jego ciało drży. Poraziła ją potęga jego pożądania.

Wszedł w nią, wypełniał ją, rozpałał.

Szybciej, głębiej... Fale rozkoszy narastały. Wygięła ciało w łuk. Gdy skończył, ona właśnie znów zaczynała. Nie odróżniała już początku od końca, końca od początku. Nie dbała o to.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sunny energicznie otworzyła drzwi swego mieszkania. Zignorowała ciche skrzypnięcie oznaczające, że pani Morgenstern uchyliła swoje, żeby obserwować, kto wchodzi albo wychodzi z drugiego piętra.

Sunny wybrała to piętro pomimo kapryśnej windy i hałasów dochodzących od sąsiadów, ponieważ jej małe mieszkanie miało coś, co mogło uchodzić za balkon. Dawało się tam nawet usiąść na krześle, pod warunkiem że jego tylne nogi pozostawały wewnątrz mieszkania. Z balkonu rozciągał się widok na parking.

Jej to wystarczało.

- Tak to wygląda - obwieściła nieco zdziwiona nostalgią, która ogarnęła ją na widok znajomych sprzętów i mebli.

Jacob wszedł za nią. Przez drzwi balkonowe do mieszkania wpadało światło słoneczne. Ściany zajmowały liczne fotografie, szkice, obrazy olejne i plakaty.

Nawet w swoich czterech ścianach Sunny lubiła mieć towarzystwo.

Na sofie piętrzyły się kolorowe poduszki. Przed nią stał stolik pełen czasopism, książek i listów - otwartych i nieotwartych. W kącie stał duży wazon z pawimi piórami.

W dalszej części pomieszczenia Jacob dostrzegł inny stół. Rozpoznał wspianałą robotę z poprzedniego stulecia. Na zakurzonym blacie spoczywała para baletek, jakieś niebieskie wstążki i nadtłuczony czajniczek do herbaty. W drewnianym pudle piętrzyły się płyty i kasety. Na wysokim wiklinowym taborecie stała błyszcząca papuga z porcelany.

- Interesujące - zauważył.

- No cóż, to jest mój dom. - Podała mu papierową torbę, pełną ciasteczek i napoi, które kupili po drodze.

- Postaw to wszystko w kuchni, dobrze? Chcę odśłuchać sekretarkę.

- Dobrze. Gdzie?

- Tam - pokazała i znikła za innymi drzwiami.

W kuchni zatrzymał się na dłużej. Tym razem jego uwagi nie przykuły urządzenia i sprzęty, do których zdążył się już przyzwyczaić, lecz imbryczki do parzenia herbaty.

Były wszędzie, zajmowały wszystkie wolne przestrzenie na półkach, ścianach, na lodówce. Wszystkie kolory i kształty, od topornych do wyrafinowanych.

Nigdy nie wpadłby na to, że Sunny może cokolwiek zbierać. Była zbyt żywa, zbyt ruchliwa, żeby zaprzętać sobie głowę rzeczami. Spodobało mu się, że w głębi duszy jest sentymentalna.

Przyjrzał się jednemu z czajniczków, szczególnie krzykliwemu. Pękate fajansowe naczynie z jakimś ptakiem na pokrywce i ogromnymi, brzydkimi stokrotkami na bokach. Może z czasem, gdy ten przedmiot się zestarzeje, stanie się cennym okazem kolekcjonerskim.

Odstawił czajniczek i zaczął zwiedzać mieszkanie. Wstążki okazały się trofeami. Za pływanie, szermierkę, jazdę konną. Widać było, że Sunny nie umie skupić się na jednej dziedzinie. Zobaczył jej podpis pod jednym z obrazów na ścianie. Wisiały tam również szkice krajobrazów miejskich, obrazy zatłoczonych plaż. Uznał, że na pewno zrobiła też wiele z wiszących na ścianie fotografii.

Tutaj dostrzegało się więcej talentu. Gdyby autorka skoncentrowała się na jednej dziedzinie, na pewno osiągnęłaby mistrzostwo. Choć mogło to dziwić, wolał ją jednak taką, jaką była, nie poprzestającą na jednym. Eksperymentującą, szukającą nowej wiedzy i doświadczeń. Nie chciał, żeby się zmieniła.

Wystarczy, że Sunny zmieniła jego. Trudno mu było pogodzić się z tym faktem, lecz pod jej wpływem zmienił pogląd na wiele istotnych spraw. Teraz wystarczała mu już tylko jedna osoba. Zresztą kompromis nie musi oznaczać rezygnacji. Miłość nie pociąga za sobą wyrzeczenia się własnej osobowości, powinna raczej nas wzbogacać.

Zaczął się zastanawiać, jak przeżyje bez Sunny resztę życia.

Ruszył w kierunku sypialni. Sunny stała w czymś, co początkowo wziął za szafę lub schowek. Zobaczył jednak łóżko i okazało się, że to cały pokój.

Choć był maleńki, Sunny udało się tu upchnąć trochę rzeczy. Kolejne książki, pluszowy niedźwiadek, łyżwy. Para nart wisiała na ścianie jak skrzyżowane szable.

Na nocnej szafce stały buteleczki, co najmniej dwadzieścia rodzajów perfum i wód. Zobaczył też fotografię jej rodziny.

Trudno mu było się na niej skoncentrować, gdyż gospodyni stała przy łóżku rozebrana do pasa. Zdjęła sweter, który musiał jej pożyczyć na pozostałą część podróży, gdyż koszula po nocy w motelu nie nadawała się do użytku. Słuchając informacji nagranych na urządzeniu, które było jednocześnie radiem, budzikiem i telefonem z automatyczną sekretarką, szukała w szafie czegoś, w co mogłaby się ubrać.

- Cześć, kotku - głos z maszyny brzmiał bardzo męsko. Jacob natychmiast znienawidził jego właściciela. - Tu Pete. Już się nie daszasz, co, laleczko?- Daj spokój, Sunny, wybaczyć i zapomnieć, to nasze życiowe credo, prawda- Zadzwoń, pójdziemy potańczyć. Tęsknię za twoją ładną buzią.

Sunny prychnęła i wyciągnęła z szafy koszulkę.

- Kto to jest Pete?

- Ojej. - Przyłożyła rękę do piersi. - Przestraszyłeś mnie, Jacob.

- Kim jest Pete? - powtórzył.

- Po prostu facetem. - Włożyła koszulkę. - Miałam nadzieję, że przyniosłeś coś do picia. - Usiadła na łóżku, żeby zdjąć buty.

- Sunny. - Tym razem głos w urządzeniu był miły i zdecydowanie damski. - Dostaliśmy pocztówkę od Libby i Cala. Daj znać, kiedy wrócisz do miasta.

- Moja matka - wyjaśniła Sunny. Z uśmiechem wręczyła mu sweter. - Proszę, oddaję.

Dopiero teraz zdjął kurtkę. Pod spodem nic nie miał. Gdy wkładał sweter, maszyna odtworzyła następną wiadomość.

- Hej, Sunny, tu Marco, gdzie się podziewasz, słodziutka? Od tygodnia nie mogę się do ciebie dozwonić. Odezwij się, kiedy wrócisz. - Zanim rozległ się sygnał, maszyna odtworzyła z taśmy przeciągłe cmoknięcie.

- Kim jest Marcos - zapytał Jacob niebezpiecznie spokojnym głosem.

- Innym facetem.

Spojrzała ze zdziwieniem, gdy wziął ją za ramię i zmusił, by wstała.

- Ilu ich jest?

- Ile czego? Wiadomości?

- Mężczyzn.

- Sunny, mówi Bob. Pomyślałem, że zechciałabyś... Sunny wyłączyła sekretarkę.

- Nie prowadzę ewidencji. Zamierzasz porównać naszą przeszłość, J.T.?

Nie odpowiedział, gdyż odebrało mu głos. Puścił ją i odszedł.

Zazdrość. To właśnie uczucie go przepełniało. Jakże go nienawidził. Jest przecież inteligentny. Wie, że Sunny nie urodziła się dopiero w chwili, w której wkroczył w jej życie. Kobieta taka jak ona, piękna i fascynująca, musiała pociągać mężczyzn. Wielu mężczyzn. Gdyby mógł, zabiłby teraz ich wszystkich, jednego po drugim. Za to, że zabrali coś, co należało do niego.

I coś, co do niego nie należało.

Zaklął i odwrócił się, mocno zaciskając pięści. Stała przy drzwiach i patrzyła na niego.

- Szykujesz się do walki?

Na jej widok poczuł ból. Z powodu tego, co już się stało, i tego, co nie mogło się stać.

- Nie.

- To dobrze.

- Nie chcę, żeby oni się koło ciebie kręcili - warknął.

- Nie bądź głupi.

Podszedł do niej trzema szybkimi krokami.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Cholera, czy naprawdę uważasz, że któryś z nich może dla mnie coś znaczyć teraz, kiedy jestem z tobą?

- Jeśli nie...

- Co? Sądzisz, że możesz mi wydawać polecenia, koleś? Grubo się mylisz. Nie muszę...

- Nie, nie musisz - przerwał jej. - Wiesz, po prostu niezbyt dobrze to znoszę. Nigdy przedtem nie byłem zakochany.

Spojrzała na niego łagodniej.

- Ja także nie. Przynajmniej nie w taki sposób.

Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Wiesz, mimo wszystko co za dużo, to niezdrowo. Odsłuchaj resztę komunikatów później.

Rozbawiona tym doborem słów uśmiechnęła się.

- Jasne. Tymczasem, częstuj się, czym chcesz. Telewizor jest w sypialni, sprzęt grający tutaj. Wróć za kilka godzin.

- Dokąd się wybierasz?

- Odwiedzić rodziców. Możemy później pójść na kolację i potańczyć.

- Sunny. Chciałbym pójść z tobą.

Przyjrzała się mu.

- Nie musisz, Jacob, naprawdę.

- Wiem, po prostu chciałbym.

Pocałowała go w policzek.

- Ubieraj się - zakomenderowała.

William Stone podszedł bosy do drzwi swego eleganckiego domu w stylu Tudorów. Koszulka wisiała na nim luźno, jak na wieszaku. Dżinsy miał wypchane na kolanach, lecz nie pozwalał ich wyrzucić. W jednej dłoni trzymał przenośny telefon, w drugiej banana.

- Posłuchaj, Preston, chciałbym, żeby nowa kampania reklamowa była subtelna. Żadnych tańczących torebek z herbatą, żadnej muzyki metalowej i tańczących misiów. - Otworzył drzwi. - Tak, to dotyczy również tańczących walca królików. Chcę... - Zobaczył córkę i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Zajmij się tym, Preston - zakończył i przerwał połączenie.

- Cześć, dzieciaku.

Sunny pocałowała go hałaśliwie w oba policzki i zabrała mu banana.

. - Gruba ryba przemówiła.

William skrzywił się, zerkając na telefon. Takie uwagi wprawiały go w zakłopotanie.

- Ja tylko...

Zamilkł, gdyż ujrzał stojącego w progu mężczyznę. Starał się sobie przypomnieć jego nazwisko. Sunny często przyprowadzała do domu znajomych i przyjaciół.

W każdym razie William odrzucał samą myśl o tym, że jego mała dziewczynka mogłaby mieć kochanków. Ten człowiek wydawał mu się znajomy, nie mógł sobie jednak przypomnieć jego nazwiska.

- To jest J.T. - przedstawiła gościa Sunny po przełknięciu ostatniego kawałka banana. Obejmowała ojca w pasie.

Jak dwa ziarnka piasku, pomyślał Jacob, zadowolony z odnalezionego w pamięci frazeologizmu. Ta sama karnacja, budowa ciała, to samo szczere, lecz baczne spojrzenie. Postanowił przejąć inicjatywę. Przekroczył próg i wyciągnął rękę.

- Panie Stone...

William, nadal obejmując córkę, włożył telefon do tylnej kieszeni dżinsów i dopiero wtedy uściśnął wy-|  
ciągniętą ku niemu dłoń.

- Hornblower - oznajmiła Sunny z radością. - Jacob Hornblower, brat Cala.

- Nie żartuj. - Uściśnął mocniej dłoń Jacoba, uśmiechnął się szerzej. - Miło cię poznać. Myśleliśmy już, że Cal zmyślił swoją rodzinę. Wejdz, Caro gdzieś tu jest

Puścił dłoń Jacoba, nadal jednak obejmował Sunny. Zaprowadził ich przez hol do saloniku. Jacob zauważył, że jaskrawe kolory mieszają się z pastelami. Wnętrze było bardzo eleganckie. Tak, prostota jest ponadczasowa.

Dostrzegł kryształę, antyki i oczywiście dzieła Caroline Stone. Zdziwił się, że tak po prostu wisiały na ścianach, pełniąc rolę kilimów. Odebrało mu jednak mowę dopiero na widok cuda, które leżało na podłodze. Arcydzieło w charakterze zwykłego dywanu?

- Usiądź - powiedział William, przechodząc bezceremonialnie przez bezcenne dzieło sztuki. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Spojrzał na ozdobne drzewko cytrynowe za oknem. Jego ojciec hodował takie samo.

- Musisz się napić herbaty - zaprotestowała Sunny, siadając obok niego na sofie. - Nie chcesz chyba zranić uczuć ojca.

- Tak, oczywiście, poproszę.

Spojrzał na Williama i napotkał jego uważny wzrok.

- Ja też poproszę, tato. Może Orientalną Ekstazę?  
- przerwała ciszę Sunny.

- Doskonale, zajmę się tym.

William ruszył do kuchni.

Sunny zachichotała i dotknęła dłoni Jacoba.

- Chyba powinnam cię ostrzec... - Spojrzała ze zdziwieniem na Jacoba, gdyż ten wpatrywał się osłupiały w jeden z kilimów jej matki. - J.T., słuchasz mniei Jacobs

- Tak.

Co?

- Ostrzegam cię, ojciec jest wścibski. Będzie ci zadawał wszelkiego rodzaju pytania, w większości osobiste. Już taki jest.

- Aha.

Nie mógł się powstrzymać. Wstał, podszedł do prostokątnej tkaniny, musnął ją dłonią.

- Piękne, prawda?

- Tak, bardzo piękne.

Sunny też wstała.

- Mama staje się coraz bardziej docenianą artystką.

„Doceniana”, to niezbyt stosowne słowo w odniesieniu do Caroline Stone, pomyślał Jacob. W muzeach jej dzieła wystawiano tylko za pancernymi szybami. Uczyli się o niej studenci w całym wszechświecie. A tutaj jedna z jej prac po prostu wisiała na ścianie i mógł jej dotknąć.

- Sprzedawała koce i inne wyroby, żeby zarobić na jedzenie.

- To tylko mit.

- Przepraszam?

- Nic takiego.

Opuścił rękę. Po raz pierwszy od opuszczenia statku czuł się zdezorientowany. Uczył się o tych ludziach z dysków o historii. Teraz przebywał tutaj, w ich domu. Kochał ich córkę. Jak mógł się zakochać w kobiecie, która żyła - i zmarła - dwa stulecia wcześniej, niż on się urodził?

Panika. Takiego właśnie uczucia doznał. Chwyił Sunny za ramiona. Prawdziwe. Materialne i ciepłe.

- Sunny.

- Co się stało? - Widziała, że Jacob zbladł. - O co chodzi?

Pokręcił głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie znał słów, którymi mógłby to wyjaśnić. Zamiast tego pocałował ją, by chociaż w ten sposób uwolnić się od strachu.

- Kocham cię.

- Wiem. - Poruszona brzmieniem jego głosu pogłaskała go po policzku. - Oboje się w końcu do tego przyzwyczajamy.

- Dzień dobry.

Odsunęli się od siebie. W drzwiach stała Caroline.

Ciemne proste włosy opadały jej na ramiona. Z uszu zwieszały się klipsy z koralików. Uśmiechała się, wyraźnie rozbawiona. Miała na sobie luźną męską koszulę, obcisłe granatowe spodnie i mokasyny. Trzymała na ręku niemowlę.

- Mamo!

Sunny podbiegła do niej, żeby się przywitać. Była trochę wyższa od matki, musiała się więc nachylić, by pocałować ją, równie entuzjastycznie jak ojca. Śmiejąc się, wzięła na ręce dziecko.

- Cześć, Sam, jak leci? Ojej, jak ty urosłeś!

- Odziedziczył apetyt po siostrzyczce - poinformowała Caroline.

Sunny uśmiechnęła się.

- J.T., to jest moja mama Caroline i mój brat King Samuel.

- J.T. - Caroline zdążyła już dostrzec podobieństwo. - Musisz być bratem Cala.

- Tak.

Poczucie nierealności powróciło, gdy podeszła do niego i zamiast podać mu rękę, delikatnie pocałowała go w policzek.

- Zawsze chcieliśmy poznać kogoś z rodziny Cala. Jest z ciebie bardzo dumny.

- Tak?

- Tak, żebyś wiedział. Rodzice przyjechali z tobą?

- Nie, nie mogli.

Rozczarowanie w jej oczach było krótkie, lecz szczerze.

- No cóż, miło, że ty wpadłeś. Gdzie jest Will

- zwróciła się do Sunny.

- Robi herbatę.

- Ach, oczywiście. Usiądź, proszę. Jesteś astrofizykiem, prawda?

- Tak.

Siedział obok Caroline. Sunny usadowiła się z dzieckiem na podłodze.

- J.T. zajmuje się właśnie podróżami w czasie - poinformowała matkę.

- Naprawdę? Will oszaleje. Właśnie zainteresował się kwestią równoległych światów.

- Znudziła go już reinkarnacja?

- Nie, w tym zachowuje konsekwencję. Jest przekonany, że był członkiem pierwszego Kongresu.

- Zawsze w awangardzie. - Sunny uśmiechnęła się do Jacoba. - Mój ojciec lubi kontrowersyjne zagadnienia. Dzięki temu może się często o coś spierać. O, Sam raczkuje!

- Nowo nabyta umiejętność. Will już to utrwalił na wideo.

- Tak. - Will wtoczył barek z herbatą. - Pamiętam, że Sunny przeszła od raczkowania do chodzenia, a potem biegania tak szybko, że nie zdążyliśmy się połapać.

- Zdażyłeś to jednak sfilmować. Pamiętasz? Kupiliśmy używaną kamerę.

Caroline wstała, obeszła syna i pocałowała Willa w policzek. Potem zaczęła mu pomagać podawać herbatę.

- A więc - widać było, że William, parząc herbatę, przygotował całą listę pytań - przyjechałeś właśnie do Portlandu?

- Dziś po południu - odparł Jacob, przyjmując filiżankę.

- Szukałeś Cala i trafiłeś na Sunny?

- Tak, właśnie tak. - Spróbował herbaty, starając się przejść do porządku dziennego nad faktem, że pije Herbal Delight z człowiekiem, który ją wynalazł. - Cal podał mi... - współrzędne, chciał powiedzieć, lecz w porę się powstrzymał. - Opisał drogę do domu w górach.

- W górach? - Filiżanka zatrzymała się w połowie drogi do ust Williama. - Byłeś tam? Z... z Sunny"?

- W zeszłym tygodniu mieliśmy burzę śnieżną. Przez kilka dni musieliśmy się obyć bez prądu, tato.

- Razem"?

Udało się jej zachować obojętny wyraz twarzy.

- Trudno nie przebywać razem w takim małym domku.

Caroline patrzyła z rozbawieniem, jak jej synek podpełza do stopy Jacoba.

- Szkoda, że nie trafiłeś na Cala i Libby. Mam nadzieję, że poczekasz do ich powrotu.

Dziecko zaczęło ssać krawędź nogawki. Cal schylił się i posadził sobie Sama na kolanach.

- Tak, poczekam.

- Gdzie? - chciał się dowiedzieć William.

Sunny posłała mu mordercze spojrzenie.

- Czy wiesz, że J.T. przeprowadza eksperymenty nad podróżą w czasie? - zapytała.

- Podróżą w czasie? - Zafascynowanie walczyło z poczuciem ojcowskiego obowiązku. To ostatnie zwyciężyło. - Jak długo przebywaliście razem w górach?

Jacob pozwolił Samowi ssać palec wskazujący.

- Parę tygodni.

- Naprawdę? - Will położył zaborczo rękę na ramieniu Sunny. - Rozumiem, że śnieg stanął na przeszkodzie w znalezieniu stosowniejszego rozwiązania problemu?

Sunny przewróciła oczami. Caroline westchnęła. Jacob przejechał głową po rzadkich, jasnych włosach Sama.

- Rozwiązanie, które przyjęliśmy, bardzo mi odpowiadało.

- Pewnie, rozumiem. - William syknął, gdyż Sunny go uszczypnęła.

- Czy wiesz, J.T., że ojciec zbiegł - podobało się jej to słowo, wypowiedziała je z lubością - z moją matką, gdy miała szesnaście lat?

- Siedemnaście - poprawił William.

- Szesnaście i pół - sprecyzowała Caroline.

Spiorunował ją wzrokiem.

- No więc prawie siedemnaście.

- Naturalnie - zgodziła się Sunny.

- To były czasy - rozmarzył się William. - Lata sześćdziesiąte.

- Tak, to wszystko wyjaśnia - potwierdziła jego córka.

- Rzeczywiście. Szkoda, że tego nie widziałeś, Jacob. . Poza tym, nie musielibyśmy uciekać, gdyby ojciec Caro nie zachowywał się jak uparty osioł. Był nieprzejednany.

- Jestem pewna, że masz rację. - Sunny zatrzepotała rękami. - Nie ma nic gorszego niż ojciec, który wsadza nos nie tam, gdzie trzeba.

Chwycił jej nos dwoma palcami.

- Uważaj, co mówisz.

Tylko się uśmiechnęła.

- Powiedz mi, czy dziadek już się do ciebie odzywa ?

- Rzadko i niechętnie.

- Chyba, że bawi się z Samem - skorygowała Caroline. - Już niemal wybaczył nam, że nie mógł rozpuszczać ciebie i Libby, kiedy byliście małże. Chcesz, żebym zabrała Sama, J.T?

- Nie, nie trzeba. - Niemowlę bawiło się palcami Jacoba. - Jest podobny do ciebie - zauważył, zwracając się do Sunny.

Podobał się jej widok Jacoba z niemowlęciem na kolanach.

- Cieszę się, że tak uważasz.

William bębnił palcami w poręcz fotela. Wyglądało na to, że chłopaki Horhblowerów mają jakiś urok, który działa na jego córki. Choć uznał już wcześniej, że Cal jest niemal godny Libby, z osądem jego brata postanowił jeszcze poczekać.

- Jesteś więc naukowcem.

William bardzo szanował naukowców, lecz nie oznaczało to, że aprobował poczynania tego konkretnego, który spędził z jego córką wiele nocy w domku bez elektryczności.

- Tak.

Jaki gadatliwy, pomyślał z przekąsem William i postanowił zbadać wszystko dogłębniej.

- Astrofizykiem?

- Właśnie.

- Gdzie studiowałaś?

- Chcesz też wiedzieć, jaką miał średnią ocen - zapytała Sunny.

- Cicho. - William klepnął ją w głowę. - Wicie zawsze interesowałem się kosmosem. - Tym razem jego uśmiech był niemal przyjacielski. - Po prostu to mnie ciekawi.

Jeśli to jakaś gra, pomyślał Jacob, ja na pewno nie przegram.

- Mam dyplom z prawa, z Princeton.

- Prawa? - spytała zdziwiona Sunny. - Nie powiedziałaś mi...

- Nie pytałaś. - Spojrzał na nią, potem przeniósł spojrzenie na jej ojca. - Fizykę początkowo traktowałem wyłącznie jako hobby.

- Dość niezwykle - zauważył William.

- Tak. - Jacob się uśmiechnął. - Jak hodowanie ziół. William musiał się roześmiać.

- Co do podróży w czasie...

- Poczekaj, Will - upomniała go Caroline. - Przesłuchasz człowieka później. Trzeba zmienić dziecku pieluchę.

- Tak, a teraz moja kolej - zgodził się William. Podszedł do Jacoba i wziął Sama na ręce. - Napij się herbaty - zaproponował gościowi. - O twoich eksperymentach porozmawiamy później.

- Pójdę z tobą. - Sunny zerwała się z podłogi.

- Chcę obejrzeć wszystkie zabawki, jakie mu kupiłeś w ciągu ostatniego miesiąca.

- Przede wszystkim fajną kolejkę - zaczął z ożywieniem William, gdy wychodzili.

- Will lubi udawać, że zabawki są dla Sama. - Caro-

line uśmiechnęła się i dolała Jacobowi herbaty. - Mam nadzieję, że nie jesteś zły.

- Za co?

- Za przesłuchanie. - Usiadła na poręczy fotela.

- Choć właściwie jest bardzo łagodne w porównaniu z tym, przez co musiał przejść Cal.

- Najwidoczniej przeszedł pomyślnie.

- Bardzo go kochamy. Nic nie sprawiłoby Willowi większej przyjemności niż wciągnięcie go do naszych interesów. Cal jednak musi latać, na pewno o tym wiesz.

- Nigdy nie chciał niczego innego.

- To widać. Taka sama jest Libby. Zawsze wie, czego chce. Sunny to zupełnie inna historia. Zastanawiam się czasem, czy cała ta energia i inteligencja za bardzo jej nie rozpraszają. Ty chyba doskonale to rozumiesz. -Widząc jego pytające spojrzenie, wyjaśniła. -Sam przeszedłeś od prawa do astrofizyki. Trudno o bardziej odległe dziedziny.

Z krótką przerwą na boks zawodowy, sprecyzował w myślach. Wzruszył ramionami.

- Niektórym ludziom potrzeba więcej czasu na podjęcie ostatecznej decyzji.

- Oczywiście, na przykład Sunny.

Jest subtelniejsza niż jej mąż, pomyślał Jacob. I trudniej ją zbyć.

- Sunny to najbardziej fascynująca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem.

I kocha się w niej, doszła do wniosku Caroline. Może nie jest z tego powodu najszczęśliwszy, ale kocha ją.

- Sunny jest jak gobelin w jaskrawych kolorach. Niektóre włókna są niewiarygodnie mocne i trwałe, inne bardzo delikatne. Całość godna podziwu, z tym że

dzieło sztuki wymaga miłości, nie tylko podziwiania - Uniosła rękę. - Znienawidziłaby mnie, gdyby usłyszała, jak ją opisałam.

Jacob spojrział na żywe barwy gobelinu na ścianie - Nie spodobałaby się jej wzmianka o tych delikatnych włóknach.

- Rzeczywiście.

Caroline poczuła ulgę. Znał więc jej młodszą córkę i rozumiał ją.

- To na pewno staroświeckie, ale Will i ja chcemy naprawdę tylko tego, żeby była szczęśliwa.

- To nie jest staroświeckie.

Jego matka mówiła to samo o nim i o Calu, gdy opuszczali dom.

Caroline westchnęła i przeniosła spojrzenie na gobelin, któremu przyglądał się gość.

- To jedna z moich starszych prac. Zrobiłam go kiedy byłam w ciąży z Sunny. Od tego czasu sprzedawałam wiele gobelinów, ale z jakichś powodów ten jeden zatrzymałam.

- Jest piękny.

Nagle wstała i zdjęła gobelin ze ściany. Pogłaskała tkaninę. Przypomniała sobie, jak siedziała przy zrobionych ręcznie krosnach, patrzyła, jak słońce ożywia barwy. Will pracował w ogrodzie, a Libby spała na kocu na trawie. Jedno z najpiękniejszych wspomnień.

- Chciałabym, żebyś go wziął.

Gdyby dała mu Rembrandta albo O'Keeffe'a, nie byłby bardziej zdumiony.

- Nie mogę go przyjąć.

- Dlaczego?

- Jest bezcenny.

Roześmiała się.

- Nie, mój agent potrafiłby go wycenić. Zresztą uważam, że on zawyża ceny. Nie chciałabym, żeby moje prace trafiły do galerii czy muzeów. - Zwinęła kilim.

- Sprawia mi o wiele większą radość myśl, że podobają się najbliższym. - Gdy nie odpowiedział, podała mu zwinięty gobelin. - Jedna z moich córek nosi nazwisko twojego brata. To sprawia, że jesteśmy rodziną.

Nie chciał się czuć jak członek rodziny. Wolał myśleć o Caroline i Williamie Stone jako o postaciach historycznych. Przyjął jednak z jej rąk miękką tkaninę.

- Dziękuję.

Pokój dziecka miał zielone ściany. Zdobiła go antyczna żelazna kołyska przykryta pastelowym kocem Caroline. W pokoju było dużo zabawek, w tym takie, którymi Sam mógł się zainteresować dopiero za kilka lat. Sunny dostrzegła też jednak dziesiątki pluszowych zwierząt, od słoni do tradycyjnego misia.

Podniosła misia z podłogi, gdy ojciec układał Sama na stoliku.

- Jesteś patetyczny.

- Może nie pamiętasz, jaka jest kara za przerywanie dorosłym - mruknął Will, rozpinając kombinezon Sama.

- Chyba jestem trochę za duża na siedzenie na krześle, dopóki nie przeproszę.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Bo ja wiem...

- Tato. - Z westchnieniem odłożyła niedźwiadka.

- Od kiedy skończyłam trzynasty rok życia, prze-

słuchiwałaś każdego chłopca, który pojawił się w naszym domu.

- Chcę wiedzieć, z kim spotyka się moja córka. To nie zbrodnia.

- Ale to, że się w ogóle z kimś spotyka, też nie jest zbrodnią.

Will posypał pupę niemowlaka talkiem.

- Kiedy byłaś w jego wieku, nie przysparzałaś nam kłopotów.

Podeszła do ojca. Nie potrafiła gniewać się na niego.

- Zakładam, że kiedy Sam zacznie się spotykać z dziewczętami, też będziesz je przesłuchiwać.

- Oczywiście. Nie dyskryminuję ludzi ze względu na płeć.

I nie jest głupi, pomyślała.

- Czy chcesz mi wmówić, że między tobą a J.T. nic nie zaszło? - zapytał nagle.

- Nie.

- Tak właśnie myślałem. - Założył synowi nową pieluszkę. Życie jest takie proste, pomyślał, kiedy jedyny kłopot stanowi zmienianie pieluch i wyrzynanie się zębów. - Sunny, znasz tego człowieka dopiero kilka tygodni.

- Czy to znaczy, że zmieniłeś swój pogląd na wolną miłość?

- Rewolucja seksualna umarła śmiercią naturalną.

- Zaczął ubierać Sama. - Z kilku bardzo ważnych przyczyn.

Uniosła rękę.

- Zanim zaczniesz je wymieniać, wspomnę, że zgadzam się z tobą w tej kwestii.

To stwierdzenie zakłóciło zaplanowany tok wypowiedzi.

- Świetnie. Rozumiemy się więc.

- Uważasz, że rozwiązłość seksualna dowodzi braku moralności i zdrowego rozsądku?- Absolutnie się z tym zgadzam.

- Co za ulga.

Will zobaczył, że synowi zamykają się oczy. Zaniósł go do kołyski, usunął z niej nadmiar pluszowych zwierząt i ułożył maleństwo

- Nie powiedziałam jednak, że jestem dziewicą.

Will skrzywił się, potem westchnął.

- Nie musiałaś mówić.

- Chcesz, żebym siedziała na krześle, dopóki nie przeproszę?

- Chyba nie na wiele by się to teraz zdało. Zresztą, nie myśl, że nie ufam twoim osądom, Sunbeam.

- Dziękuję, ale twoje osądy są zazwyczaj trafniejsze - odparła, uciekając się do pochlebstwa.

- Naturalnie. - Uśmiechnął się. - To jedna z nielicznych zalet mojego wieku. W końcu przekroczyłem już czterdziestkę.

- Nigdy nie będziesz nawet czterdziestolatkiem. Tato, muszę ci coś wyznać. Miałam już wcześniej mężczyznę.

- Ale chyba nie tego podobnego do szczura Carla Lomminsa?

Skrzywiła się.

- Powinieneś bardziej ufać mojemu gustowi. Zawsze spotykałam się wyłącznie z takimi mężczyznami, których lubiłam i szanowałam.

- Mówisz mi zatem, że mam się nie martwić twoim związkiem z J.T.?

- Nie, nie mówię, żebyś się nie martwił. Chcę powiedzieć, że wcale nie lubię Jacoba.

- No więc...

- Kocham go.

Spojrzał jej w oczy. Sam kochał żarliwie kobietę, jedną przez całe życie. Potrafił rozpoznać to uczucie. Powinien od razu przyznać, że dojrzał je w twarzy córki, gdy tylko pojawiła się w drzwiach.

- I?

- I co?

- Co zamierzacie z tym zrobić?

- Zamierzam za niego wyjść. - Własne słowa zdziwiły ją tak, że się roześmiała. - On jeszcze o tym nie wie, bo dopiero teraz wpadłam na ten pomysł. Gdy wróci na Wschód, pojedę z nim.

- A jeśli będzie miał coś przeciwko temu?

Uniosła podbródek.

- To będzie musiał się przyzwycząić.

- Problem polega chyba na tym, że jesteś za bardzo podobna do mnie.

Objęła go.

- Może nie do końca. Ale on jest tym, którego wybrałam.

- Jeśli cię uszczęśliwi... - William odsunął córkę na odległość ramion. - Niech się lepiej o to postara, bo inaczej...

- Nie zamierzam dawać mu wyboru.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zobaczysz, będzie fajnie. - Sunny wcisnęła się na wolne miejsce parkingowe niedaleko kłującego w oczy, świetlistego napisu „Club Rendezvous”. Gdy Jacob spojrział nieufnie na migające, kolorowe światła, poklepała go po ręce. - Zaufaj mi, koleś, potrzebujemy tego.

- Skoro tak twierdzisz...

- Twierdzę. Poza tym muszę się przekonać, czy umiesz tańczyć. Jeśli nie, porzucę cię od razu. Pomyśl, co za oszczędność czasu. - Roześmiała się, gdy skarcił ją pociągnięciem za ucho. - No i jesteś mi to winien.

- Niby dlaczego?

Szybko przejrzała się w lusterku. Wyciągnęła szminkę i pomalowała usta na jaskra woczerwony kolor.

- Dlatego, że gdybym nie wymyśliła wymówki, jadłbyś teraz kolację u moich rodziców.

- Lubię twoich rodziców.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek. Ponieważ zostawiła ślad szminki, wytarła go kciukiem.

- Wiem, że ich lubisz. Ja też. Ale nigdy nie jadłeś *nachos* i *buritos* u Willa i Caro. - Zniżyła głos. - Moja matka gotuje.

- Czy w tym stanie to jest karalne?

- Gotuje coś takiego jak *fondue* z lucerny.

- Och. - Gdy już to sobie wyobraził, uznał, że rzeczywiście ostre potrawy meksykańskie, które niedawno jedli, są lepsze. - Tak, chyba mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- I to niemały - potwierdziła.

Otworzyła drzwiczki na tyle, na ile pozwalała niewielka odległość do sąsiedniego samochodu. Migające światła sprawiały, że wyglądała jak piękny, egzotyczny motyl.

- Myślę, że po tygodniach spędzonych na łonie natury spodoba ci się trochę muzyki na żywo, im głośniejszej, tym lepiej, tłum i wiszący w powietrzu dym z papierosów.

- Brzmi jak opis raju. - Mimo ciasnoty udało się mu, jakoś wysiąść. - Sunny, nie podoba mi się, że wymieniasz wszystkie swoje pieniądze.

Uniosła brwi, częściowo rozbawiona, częściowo zaś zdziwiona sformułowaniem, którego użył.

- Wymieniam pieniądze, kiedy wyjeżdżam za granicę. Teraz mogę je najwyżej wydawać.

- Wszystko jedno. Ja nie mam żadnych, które mógłbym wydać.

Pomyślała, że to nie w porządku. Człowiek tak

inteligentny i oddany swojej pracy powinien przecież zarabiać co najmniej na przyzwoite życie.

- Nie przejmuj się. - Choć musiała liczyć się z groszem, zbytnio o to nie dbała. - Jeśli przyjadę do Filadelfii, będziesz mógł się zrewanżować.

- Porozmawiamy o tym później. - Postanowił zmienić temat. Nowy sam się narzucał. - Chciałbym zapytać, jak się nazywa to ubranie, które masz na sobie.

- To?- - Spojrzała na czerwoną, krótką i obcisłą sukienkę bez ramion.

- Seksowna sukienka - odparła, oblizując lubieżnie wargi.

- Co takiego?

- O tym też porozmawiamy później.

Objęci weszli na chodnik. Krótka, obcisła kurtka ze skóry nie chroniła za bardzo przed wiatrem, Sunny czuła się jednak dobrze, mając wreszcie na sobie coś innego niż dzinsy. Poczwała się jeszcze lepiej, gdy dostrzegła, że Jacob spojrział ukradkiem na jej nogi.

Gdy otworzyli drzwi, ogarnął ich gorący zaduch i dźwięki muzyki.

- Ach, cywilizacja - westchnęła.

On zobaczył tylko salę wypełnioną migającym, oślepiającym światłem. Muzyka brzmiała tak głośno, jak obiecywała Sunny. Jacob czuł zmieszane zapachy dymu, alkoholu, potu i perfum. Oprócz muzyki słyszał podniesione głosy i śmiechy.

Sunny oddała ich ubrania szatniarzowi i schowała numerek.

... Miała rację, potrzebował tego. Nie tylko zmysłowej

podniety, nie tylko anonimowego tłumu, lecz również okazji bezpośredniego przyjrzenia się życiu towarzyskiemu w dwudziestym wieku.

Ogólnie rzecz biorąc, nie różniło się to zbytnio od imprez, w których mógłby uczestniczyć w jego czasach. Ludzie w obu epokach szukali swego towarzystwa dla rozrywki. Potrzebowali do zabawy muzyki, jedzenia i napojów. Czasy się zmieniają, lecz potrzeby pozostają w zasadzie takie same.

- No chodź.

Ciągnęła go przez tłum do miejsca, w którym na dwóch poziomach ustawiono ciasno stoły. Na pierwszym poziomie zainstalowano długi bar. Za barem stał chyba człowiek, nie robot. Przy barze tłoczyli się ludzie.

Na drugim poziomie, na półkolistej scenie, gra zespół. Jacob naliczył ośmiu muzyków, w bardzo różnych ubraniach. Mieli instrumenty, lecz dźwięk dobiegał z wysokich skrzynek rozmieszczonych na krawędziach podestu.

Przed nimi, na małym kwadracie podłogi, stłoczeni ludzie podrygiwali i wymachiwali rękami. Jacob przyjrzał się ich ubraniom i doszedł do wniosku, że w tym miejscu nie obowiązywały żadne normy. Spodnie obcisłe i workowate, spódnice długie i krótkie, żywe kolory i czerń. Kobiety miały pantofle płaskie albo, tak jak Sunny, z cienkimi słupkami pod piętą.

Jacob pomyślał, że kobiety noszące ten ostatni rodzaj obuwia chcą być wyższe. Przy okazji jednak ich nogi wyglądały bardziej interesująco.

Podobał mu się luz, zdrowe wyrażanie osobowości

poprzez ubiór. Wiedział, że pomiędzy tą epoką a jego własną, przez pewien czas, panowała moda na jednolity strój, właściwie coś w rodzaju uniformu. Uznał, że to musiało być nudne.

Gdy stał i przyglądał się tańczącym, kelnerki w krótkich spódnicach roznosiły jedzenie i napoje albo wysłuchiwały zamówień wykrzykiwanych tak, by przebiły się przez gwar i muzykę.

Niezbyt wydajny system, pomyślał, ale dość interesujący. Choć prościej byłoby nacisnąć guzik na skrzynce zamówień i zostać obsłużonym przez szybkiego robota.

Sunny wzięła go za rękę i zaprowadziła do spiralnych schodków. Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu wolnego stolika.

- Zapomniałam, że dziś sobota - krzyknęła. - W soboty jest tu zawsze tłoczno.

- Dlaczego?

- Ludzie umawiają się na randki, koleś. Nie przejmuj się, gdzieś się wciśniemy. - Przerwała poszukiwania i uśmiechnęła się do niego. - No i co, podoba ci się tutaj?

- Tak, jest fajnie.

- Maruderzy są dobrzy. Tak nazywa się zespół.

- Wskazała saksofonistę. - Dobrze dają czadu.

- Występują - poprawił ją.

- Nie, mam na myśli... Nieważne. - Ktoś ją potrącił.

Żeby utrzymać równowagę, objęła Jacoba za szyję.

- Wiesz, to nasza pierwsza randka.

Nie zwracając uwagi na tłum, pocałował ją.

- Jak nam idzie?

- Odlotowo.

Uznał, że to oznacza „dobrze” i pocałował ją ponownie. Westchnęła tak, że przycisnął ją mocniej.

- Nie musimy szukać stolika. Możemy po prostu stać i całować się - szepnął jej do ucha. - Chyba nikt nie zwróci na to uwagi.

- Masz rację, ale jest tak gorąco...

- Sunny! - Ktoś chwycił ją w pasie, okręcił i pocałował w usta. - Wróciłaś, dziecino!

- Marco.

Objął ją.

- Gdzie się podziewałaś?

- W górach. - Uśmiechała się, zadowolona ze spotkania. Marco był miły i nieszkodliwy. Już dawno postanowili nie komplikować swojej przyjaźni romanowaniem. - A co słyhać w prawdziwym świecie?

- Silniejsi pożerają słabszych, kochanie. Dzięki Bogu. - Spojrzał ponad ramieniem Sunny i dostrzegł parę wpatrzonych w siebie zielonych oczu, w których czaiła się żądza mordy. - Ach... przedstaw mi swojego przyjaciela.

- J.T. - Położyła rękę na ramieniu Jacoba. - To jest Marco, stary kumpel. Nie drocz się z J.T., Marco, bo on cię zabije.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać.

- Jak się nasz? - zapytał. Nie wyciągnął na powitanie ręki, bo nie chciał jej stracić.

- Dziękuję, dobrze.

Jacob postanowił, że jeśli ten facet znów pocałuje Sunny, najprościej będzie skrócić mu kark.

- Tak się składa, że J.T. jest bratem męża mojej siostry.

- Świat jest mały.

Jacob nie spuszczał go o oka.

- Mniejszy, niż myślisz - syknął z pogroźką.

- Racja. - Marco wolał zmienić temat. - A może szukacie stolika?

- Nawet bardzo.

- Tam z tyłu zsunęliśmy dwa stoły, przysiadzicie się do nas?

- Pewnie. - Spojrzała na Jacoba. - Zgadzasz się?

- Jasne.

Był już na siebie zły. Zazdrość należała do świata emocji, nie intelektu. Chociaż, emocje też są ważne, uznał, patrząc na długie nogi Sunny, gdy lawirowała pomiędzy stolikami.

Przy zsuniętych stolikach siedziało sześć osób, które Sunny najwidoczniej dobrze знаła. Z powodu hałasu Jacob nie dosłyszał ich imion.

Usiedli, Marco przywołał kelnerkę.

- Tę kolejkę stawiam ja - obwieścił. - Jeszcze raz to samo - powiedział do kelnerki - plus kieliszek białego wina dla pani i... - Spojrzał pytająco na Jacoba.

- Poproszę piwo. Dziękuję.

- Nie ma problemu, sprzedałem dzisiaj trzy samochody.

- Świetnie - pochwaliła Sunny. - Marco handluje samochodami - wyjaśniła Jacobowi.

- Gratulacje - powiedział, gdyż to wydało się mu najbezpieczniejsze.

- Dobrze mi idzie. Dajcie znać, gdy będziecie chcieli wymienić samochód. Mam w tym tygodniu dostawę prawdziwych cacek.

Jacob spojrział na siedzącą koło niego brunetkę, która otarła się ramieniem o jego ramię.

- Jasne, na pewno się odezwiemy.

Marco rozpogodził się.

- Czym teraz jeździsz, J.T.? - zapytał.

Na szczęście wszyscy zgromadzeni wokół stołu zgodnie jęknęli. Widać było, że Marco jest przyzwyczajony do takiej reakcji. Zjadł trochę orzeszków.

- Dajcie spokój, to moja praca. W końcu nikt z nas nie jest badaczem kosmosu.

- J.T. jest - poinformowała Sunny.

- Naprawdę?

Brunetka przysunęła bliżej swoje krzesło. Jacob zauważył, że kobieta ma duże, brązowe oczy i że chyba jest nim zainteresowana.

- W pewnym sensie - odparł.

- Och, uwielbiam inteligentnych mężczyzn.

Rozbawiony Jacob wziął do ręki piwo, które postawiła przed nim kelnerka. Pochwycił spojrzenie Sunny. Jest zazdrosna, zorientował się. Nic nie mogło mu sprawić większej radości. Napił się piwa i przyjął ze spokojem kłęb dymu, który paląca papierosa brunetka wypuściła w jego kierunku. Nie miało sensu uświadamiać jej, że szkodzi w ten sposób swym atrakcyjnie opakowanym płucom.

- Tak?

Wpatrywała się w niego, gasząc powoli papierosa.

- Och tak, bardzo.

- Zatańczmy. - Sunny wstała i chwyciła Jacoba za rękaw. - Miła jesteś, Sheila - mruknęła i pociągnęła Jacoba na parkiet.

- Jak ona się nazywać Sheila?
  - A co cię to obchodzi?
  - Nie chcesz, żebym był miły dla twoich przyjaciół?  
Położył ręce na jej biodrach.
  - Nie. Przynajmniej nie dla tych z dużym biustem.
  - Ona ma duży biust?
  - Nie wygłupiaj się i nie mów, że nie zauważyłeś.  
Niestety, jej iloraz inteligencji jest zadziwiająco niski.
  - Chyba twój... iloraz bardziej mi się podoba.
  - Prawidłowe rozumowanie. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w usta. - Zresztą nie winię jej, rzeczywiście jesteś słodki.
  - Słodkie są małe pieski - zauważył. - A także niemowlęta.
  - Lubisz niemowlęta?
  - Pewnie, dlaczego nie?
  - Tak tylko pytam. W każdym razie jesteś słodki. I seksowny. - Ugryzła go w podbródek. - I inteligentny. - Przyciągnął ją bliżej. I mój, dodała w myślach, cały mój. - Co to jest T? - zapytała nagle.
  - Jakie T?
  - W J.T.
  - Nic.
  - Musi przecież coś znaczyć. O, dobrze tańczysz - zauważyła.
- Zespół grał teraz bluesa. Przytulili się mocniej. Panujący na parkiecie tłok utrudniał taniec. Sunny to nie przeszkadzało. Jacob przyciskał ją do siebie, całował w szyję. Nie zależało jej na tańcu.
- Pięknie pachniesz - powiedział. - Jak wiosna na pustyni.

Pocałowała go w usta. Mocno.

- J.T.?

- Tak?

- Nie jestem pewna, ale chyba mogliby nas za to aresztować.

- Trudno, chyba warto.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego.

- Wracajmy do domu - poprosiła. - Ten tłum zaczął mnie męczyć.

Zostali cały tydzień, chodzili do kina, po sklepach, do innych klubów. Jego fascynację miastem Sunny tłumaczyła tym, że nigdy przedtem nie odwiedził północno-zachodnich stanów. Za każdym razem, gdy gdzieś wychodzili, zachowywał się tak, jakby widział wszystko po raz pierwszy w życiu. Może właśnie dlatego te wspólne wyprawy sprawiały jej ogromną przyjemność.

Gdy zostawali sami, gdy brał ją w ramiona, nie miało znaczenia, gdzie są. Czuła, że jest z każdą chwilą bardziej zakochana, bezgranicznie radosna.

Po raz pierwszy w życiu zaczęła myśleć o przyszłości z mężczyzną. Z jednym, wybranym mężczyzną. Wyobraziła sobie, jak razem przeżywają kolejne lata, lepsze i gorsze. Pomyślała o domu, o dzieciach. Wyobrażała sobie kłótnie, hałas i śmiechy.

Powinni o tym porozmawiać, uznała, może nawet coś zaplanować.

Pozwolił sobie na ten tygodniowy urlop. Robił dużo notatek, gromadził wspomnienia.

Zastanawiał się, jak powiedzieć Sunny prawdę, jak

## *Spirala czasu*

sprawić, by nie cierpiała. Martwiło go coś jeszcze. Czy odważy się bez niej żyć?

Gdy wracali w góry, powiedział sobie, że to początek końca. Skoro wszystko musi się skończyć, a nie widział innego wyjścia, nie powinien jej dłużej okłamywać.

- Nic nie mówisz - zauważyła, gdy wjeżdżali na wyboistą drogę prowadzącą do domku.

- Myślę.

- To doskonale, ale martwię się o ciebie, bo już od pięciu godzin się ze mną nie pokłóciłeś.

- Nie chcę się z tobą kłócić.

- Nie chcesz?- Jesteś chory? - Czuła, że chodzi o coś poważnego. Postarała się więc, by jej głos zabrzmiał lekko i beztrosko. - Za kilka minut dojedziemy. Przyniesiesz drewno, zjesz coś z puszki i od razu poczujesz się lepiej.

- Sunny, musimy porozmawiać.

- Dobrze. - Gdy zatrzymała samochód przed domem, była już bardzo zdenerwowana. - Teraz?

- Teraz. - Wziął ją za rękę i wypowiedział pierwsze słowa, które przysły mu na myśl. - Tak bardzo cię kocham.

Trochę się uspokoiła.

- Rzeczywiście, jeśli będziesz nadal tak mówił, nie pokłócimy się. - Nachyliła się, żeby pocałować go w policzek. W tym momencie zauważyła, że z komina wydobywa się dym.

- Jacob, ktoś tu jest.

- Co?

- W domu. - Zobaczyła, że otworzyły się drzwi..

- Libby! - Wskoczyła energicznie z samochodu.  
- Libby, śmiertelnie mnie przestraszyłaś! - Jacob widział, jak Sunny obejmuje szczupłą brunetkę. - Rany, jaka jesteś opalona!

- Na Bora Bora nie sztuka się opalić. Przyjechaliśmy wczoraj, myśleliśmy, że cię tu zastaniemy.

- Wpadłam tylko na kilka dni do miasta, żeby nie zapomnieć, jak wygląda.

Libby roześmiała się.

- Tak właśnie powiedziałam Calowi. Widziałam, że zostały wszystkie twoje książki. - Nagle chwyciła siostrę mocno za rękę. - Och, Sunny, tak się cieszę, że wróciłaś. Nie mogłam się doczekać, żeby ci wszystko powiedzieć. Ja...

Nagle dostrzegła wychodzącego z samochodu Jacoba. Gdy ich spojrzenia się spotkały, przestała się uśmiechać. Bezwiednie ścisnęła rękę Sunny.

- Co?- Co ci się stało? - Sunny obejrzała się przez ramię. - A! Zgadnij, kto przyjechał? - To Jacob, brat Cala.

- Wiem. - Libby czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg. Znała Jacoba z fotografii. Teraz jednak stał przed nią mężczyzna z krwi i kości. Wściekły. Patrzyli na siebie w milczeniu. Libby zbladła.

Przyleciał po Cala, zdała sobie sprawę. Z wysiłkiem stłumiła krzyk protestu, który w niej narastał.

Jest przerażona, zorientował się. Poczują, że coś w nim drgnęło, lecz zaraz się opamiętał. Nie będzie jej współczuł.

- J.T.? - Sunny objęła siostrę, jakby poczuła, że trzeba ją chronić. - Libby, ty drżysz. Wejdźmy do środka. - Spojrzała przez ramię na Jacoba. - Ty też.

Libby podeszła do kominka i spróbowała ogrzać lodowato zimne dłonie. Wiedziała, że to nie pomoże. Nie spojrzę na niego, myślała, dopóki nie zacznę nad sobą panować. Gdzieś w zakamarkach jej duszy wciąż tliła się iskierka strachu. Strachu, że któregoś dnia ktoś przyleci po Cal. Nie sądziła jednak, że tak szybko.

Czas, pomyślała gorzko. Słowo, które najchętniej wykreśliłaby ze wszystkich słowników.

Sunny stała pomiędzy nimi, nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. W powietrzu dawało się wyczuć napięcie, tak wyraźne, jak zapach płonącego na kominku drewna.

- No dobrze. - Przeniosła wzrok z Libby na kamiennie oblicze Jacoba. - Może któreś z was powie mi, o co chodzi?

- Hej, Libby, czy to twoja seksowna siostra? Chciałbym jej powiedzieć...

Boso, w rozdartej koszulce, w drzwiach kuchni pojawił się Cal. Wszyscy na niego spojrzeli. Uśmiech zamarł mu nagle na ustach.

- J.T. - wyszeptał z mieszaniną radości i niewiary.  
- J.T. - powtórzył. Nagle skoczył i chwycił brata w objęcia. - Boże, Jacob, to naprawdę ty!

Libby patrzyła na nich przez chwilę. Potem odwróciła się, bo do oczu napłynęły jej łzy.

Sunny szeroko się uśmiechnęła.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Cal. Odsunął brata na odległość ramion, żeby się mu przyjrzeć. - Naprawdę tu jesteś. Jak?

- Tak samo jak ty, tylko z większą finezją. Dobrze wyglądasz.

Nie wiadomo dlaczego spodziewał się, że zastanie Cala bladego, wychudłego i zmęczonego Uciążliwościami życia w dwudziestym wieku. Brat okazał się jednak opalony, energiczny i ostentacyjnie szczęśliwy.

- Ty także. Co z mamą?- Tata?- - zapytał trochę niespokojnie.

- Wszystko w porządku.

Cal skinął głową.

- Otrzymałeś więc moją wiadomość. Nie miałem przecież pewności, czy dotarła.

- Otrzymaliśmy ją.

- Poznałeś już Libby?

W jego oczach pojawiła się radość. Odwrócił się i wyciągnął rękę. Libby nawet nie drgnęła.

- Tak, poznaliśmy się.

Jacob pochylił głowę i czekał. Niech ona zrobi pierwszy ruch.

- Na pewno macie sobie wiele do powiedzenia.

Udało się jej zachować spokój.

- Libby. - Cal do niej podszedł. Dotknął policzka, sprawił, że uniosła głowę. Dostrzegł w jej oczach miłość i strach. - Przestań.

- Nic mi nie jest. - Zbierając wszystkie siły, ścisnęła palcami jego dłoń. - Mam coś do zrobienia na górze. - Spojrzała na Jacoba. - Wiem, że tęskniliście za sobą.

Odwróciła się i wbiegła po schodach.

Sunny obserwowała to ze zdumieniem. Potem spojrzała na Cala, wreszcie na ponurą twarz Jacoba.

- Co się tu u diabła dzieje? - zapytała.

- Idź do Libby - poprosił Cal. - Nie chcę, żeby teraz była sama.

- Dobrze.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientować, że nic jej nie wyjaśnia. Już prędzej wydobydzie coś od Libby.

Cał poczekał, aż Sunny zniknie na górze. Odwrócił się do brata. Zobaczył w jego oczach gniew przemieszany z bólem.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Tak.

- Nie tutaj - odparł, myśląc o Libby.

- Tak, nie tutaj - zgodził się Jacob, myśląc o Sunny.

- Na moim statku.

Sunny zatrzymała się przy drzwiach sypialni. Wzięła głęboki oddech i otworzyła je. Libby siedziała na krawędzi łóżka. Nie płakała. Jej spojrzenie rozdzierało serce bardziej niż płacz.

- Kochana, o co chodzi?

Libby spojrzała nieprzytomnie na siostrę.

- Jak długo on tutaj jest? - zapytała.

- Mniej więcej od trzech tygodni. - Sunny usiadła na łóżku i wzięła siostrę za rękę. - Powiedz mi, co się dzieje? Myślałam, że będziesz zadowolona z przyjazdu Jacoba.

- Jestem. Z uwagi na Cala. Czy on ci powiedział, dlaczego tu jest? Skąd pochodzi? .

- Oczywiście. - Zdziwiona, Sunny delikatnie potrząsnęła siostrą. - Daj spokój, Libby, J.T. może się zachowywać trochę szorstko, ale nie jest potworem. Martwił się tylko o Cala, no i chyba miał mu trochę za złe, że Caleb wybrał ciebie i osiedlił się tutaj.

- Och, Boże. - Libby nie mogła usiedzieć w miejscu.

Wstała i podeszła do okna. Usłyszała silnik, zobaczyła że landrower znika w lesie. - Będę musiała pozwolić mu odejść - powiedziała cicho i zamknęła oczy. - Kiedyś myślałam, że jestem na to przygotowana. Ale teraz nie mogę. Nie dam rady.

- Gdzie miałyby niby odejść?

- Gdzie? Jacob na pewno ci wytłumaczył, jakie to wszystko jest skomplikowane.

Sunny wstała. Podeszła do Libby i objęła ją.

- Cal jest dorosłym mężczyzną, Libby. Został tutaj, bo sam tak postanowił. J.T. będzie się musiał z tym pogodzić.

- Czy na pewno ?

- Kiedy się tu pojawił, był naprawdę zły. Zupełnie nie rozumiał uczuć Cala. Ale to się zmieniło. Bo my...

Libby powoli się odwróciła. Wiedziała, co chciała powiedzieć Sunny, i nagle ogarnęło ją przerażenie.

- Och, Sunny.

- Hej, nie patrz tak na mnie. - Uśmiechnęła się.

- Jestem tylko zakochana, a nie śmiertelnie chora.

- Ale co zamierzasz zrobić?

- Pojadę z nim.

Libby krzyknęła i zaniósła się płaczem. Zarzuciła siostrze ręce na szyję.

- Boże, Libby, co ty wyprawiasz?- To tylko Filadelfia. Zachowujesz się, jakbym się wyprowadzała na Plutona.

- Na Plutonie nie ma jeszcze kolonii.

Sunny zaśmiała się niepewnie i odsunęła.

- No tak, to przesądza sprawę. Będziemy musieli zadowolić się mieszkaniem w Filadelfii.

Libby przyjrzała się uważnie siostrze.

- Ty nic nie rozumiesz, prawda?

- Rozumiem, że kocham J.T. i że on kocha mnie. Jeszcze nie rozmawialiśmy o planach na przyszłość, ale to tylko kwestia czasu. - Urwała, widząc ściągniętą twarz siostry. - Libby, patrzysz, jakbyś miała zamiar mnie zamordować...

- Nie ciebie. - Głos Libby zabrzmiał silniej. - Tego sukinsyna.

- Słucham?

- Powiedziałam, że tego sukinsyna.

Mimo że mogła siostrze wiele wybaczyć, Sunny poczuła się urażona.

- Posłuchaj, Libby...

- Powiedział ci, że cię kocha?

- Tak.

- I poszłaś z nim do łóżka, prawda?

- Tata udzielał ci jakichś lekcji?

- Oczywiście, że poszłaś z nim do łóżka - stwierdziła Libby i zaczęła przemierzać pokój. - Sprawił, że się w nim zakochałaś, zaciągnął cię do łóżka i nie miał tej odrobiny przyzwoitości, żeby ci powiedzieć.

Sunny uderzała rytmicznie stopą w podłogę.

- Co niby miał mi powiedzieć?

- Że on i Cal są z dwudziestego trzeciego wieku.

Stopa Sunny znieruchomiała. Nagle zapadła grobowa cisza. Biedna Libby, pomyślała Sunny ze zgrozą. Słońce na Bora Bora musiało porazić jej mózg. Ostrożnie podeszła do siostry.

- Lib, połóż się.

- Nie. Ty tu zostań, a ja przyniosę brandy. Zaufaj mi, będziesz jej potrzebowała.

Gdy Cal wszedł na mostek statku, ogarnęła go nostalgia. Nie mógł się oprzeć. Dotknął kilku urządzeń.

- Piękny, J.T. To nowy model
- Tak. Zaprojektowany specjalnie na tę wyprawę.

Poprawiliśmy trochę sterowność.

- Chciałbym zobaczyć, co potrafi.
- Proszę bardzo.

Cal się roześmiał.

- Wykryliby nas po pierwszym tysiącu kilometrów. Napisałiby o nas w „National Enquirer”.

- Co to takiego?
- Potem ci wytłumaczę.

Cal odwrócił się niechętnie od pulpitu. Spojrzał na Jacoba.

- Boże, jak miło cię widzieć.
- Jak mogłeś to zrobić, Cal?

Caleb nabrał powietrza w płuca i usiadł w fotelu pilota.

- To długa historia.
- Przeczytałem twoje sprawozdanie.
- O niektórych sprawach nie pisze się w raportach.

Widziałeś ją.

- Tak, widziałem.
- Kocham ją, J.T. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo.

Jacob poczuł w sobie iskierkę empatii. Zdusił ją jednak w zarodku. W tym momencie nie mógł myśleć o Sunny.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz. Przez sześć miesięcy.
- Bardzo mi przykro.
- Naprawdę? - Jacob podniósł osłonę, wyjrzał

i zaczął się wpatrywać w śnieg. - Pięć miesięcy i dwadzieścia trzy dni. Twój statek rozbił się sześćdziesiąt kilometrów od bazy McDowell w Baja. Był pusty. Patrzyłem bezsilnie, jak mama i tata rozpaczają.

- Gdy tylko mogłem, dałem o sobie znać. J.T., ja tego nie planowałem. Widziałeś zapis.

- Tak. Przeżyłeś cudem. Obliczyłem prawdopodobieństwo wydostania się w całości z tej próżni. Wiesz, co wyszło? Zero. - Po raz pierwszy się uśmiechną.

- Jesteś mistrzem pilotażu.

- Aha, ale nie wszystko można wprowadzić do pamięci komputera. - Wielokrotnie o tym myślał. - Los przeznaczył mi Libby, J.T. Kocham cię, ale nie mogę jej zostawić.

J.T. przyglądał się bratu w milczeniu. Był na siebie zły. Przed kilkoma tygodniami spierałyby się, krzycząc. Albo zamknąłby Cala w kabinie i wystartował, nie dając mu wyboru.

- Czy ona też cię tak kocha?

Na twarzy Cala zagościł cień uśmiechu.

- Ani razu nie poprosiła, żebym z nią został. Właściwie robiła, co mogła, żeby mi pomóc w przygotowaniach do powrotu. Nawet raz zażądała, żebym ją ze sobą zabrał. Poświęciłaby dla mnie wszystko.

- W końcu jednak to ty zostałeś. Ty poświęciłeś wszystko.

- Myślisz, że łatwo mi przyszła ta decyzja? - To był najtrudniejszy wybór w moim życiu. Cholera, właściwie nie miałem wyboru. Nie wiedziałem, czy uda mi się bezpiecznie wrócić, nie mogłem narażać życia Libby. Gdybym ją zostawił, musiałbym znów wlecieć

w próżnię, tylko że to by już nie miało dla mnie znaczenia.

Jacob nie chciał zrozumieć, ale zrozumiał.

- Przez dwa lata pracowałem nad udoskonaleniem procedury podróży w czasie. Zaprojektowałem ten statek, dokonałem obliczeń. Udało mi się w końcu. Wracaj do domu, Cal, i zabierz ją ze sobą.

Caleb wpatrywał się w ekran. W ciągu ostatniego roku wiele się nauczył. Przede wszystkim tego, że życie nie jest proste. Że nie można podejmować pochopnych decyzji.

- Jest coś, czego nie uwzględniłeś, J.T. Libby spodziewa się dziecka.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sunny milczała. Trzydzieści minut wcześniej obawiała się, że jej siostra doznała poważnego udaru słonecznego. Teraz zmieniła zdanie. To ona musiała zwariować.

Dwudziesty trzeci wiek. Czarne dziury. Statki kosmiczne. Sunny ostatecznie zamilkła, gdy Libby opowiadała o locie na Marsa. Dobry Boże.

Cał, międzygalaktyczny pilot statków towarowych, stał się mimo woli podróżnikiem w czasie.

Podróż w czasie. Jezu, myślała w popłochu, podróż w czasie.

Przypomniała sobie uśmiezek Jacoba, gdy mówił jej o swych eksperymentach. Ale to przecież nie znaczy...

To na pewno jakiś dowcip. Jacob pochodzi z Filadelfii, wmawiała sobie, przełykając brandy. Jest nieco ekscentrycznym naukowcem, i tyle.

- Nie wierzysz mi - stwierdziła Libby.

Staranna opieka i cierpliwość, oto, czego jej trzeba,

powiedziała sobie Sunny i delikatnie pogłaskała siostrę po włosach.

- Kochanie, nie przejmuj się tym tak bardzo - prosiła.

- Uważasz, że to zmyśliłam.

- Nie jestem pewna, co o tym myśleć. No dobrze, usiłujesz mi powiedzieć, że Cal, były kapitan... czego właściwie?

- Międzynarodowych Sił Kosmicznych.

- Racja. Więc rozbił w lesie statek kosmiczny, ponieważ otarł się o czarną dziurę i znalazł się w innym czasie.

Miała nadzieję, że gdy to powie, zły urok pryśnie. Libby jednak skinęła głową.

- Mniej więcej.

- Tak, mniej więcej - zgodziła się Sunny. - A teraz Jacob celowo przebył tę samą drogę, żeby odwiedzić brata.

- On chce go zabrać z powrotem. Wiem, widzę to w jego oczach, gdy na mnie patrzy.

- Cal cię kocha. Nic nie może tego zmienić.

- Nie, ale... Sunny, nie rozumiesz? On tu nie wpadł z braterską wizytą. Musiał pracować miesiącami, żeby tego dokonać. Jeśli ktoś ma na jakimś punkcie obsesję...

- W porządku - przerwała jej Sunny. - Z przyczyn, których nie rozumiem, jest zły, że Cal ożenił się z tobą i zamieszkał w Oregonie.

- Nie chodzi o Oregon, a o dwudziesty wiek.

- Proszę cię, uspokuj się, kochana. Widzę, że jesteś zmartwiona...

- Zmartwiona? Tak, cholera, jestem zmartwiona.

Jacob przebył ponad dwieście lat i nie zechce wrócić bez Cala.

Sunny poczuła, że przegrywa. Opadła na łóżko.

- Libby, musisz się jakoś pozbierać. Przecież jesteś rozsądna, prawda? Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.

- Posłuchaj. - Libby postanowiła sięgnąć po nowe argumenty. - Możesz mi powiedzieć, tak uczciwie, że nie zauważyłaś w J.T. niczego dziwnego?- - Uniosła rękę, zanim Sunny zdążyła odpowiedzieć. - Nie chodzi o jakieś drobne dziwactwa, ale o coś naprawdę niezwykłego. Zauważyłaś?

- No cóż, ja...

- Widzisz! Jak on się tu dostał?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Przyjechał samochodem?

- Nie, nie samochodem. - Poczowała nagle, że drżą jej dłonie. - Wyszedł z lasu.

- Wyszedł z lasu - powtórzyła ponuro Libby.

- W środku zimy.

- Lib, przyznaję, że J.T. jest trochę niezwykły.

- A nie fascynują go przypadkiem najzwyklejsze pod słońcem przedmioty?

- Sunny przypomniała sobie kran w kuchni.

- No cóż, chyba tak.

- Może także nie rozumie niektórych powiedzonek przenośni?

- Owszem, ale to jeszcze nie oznacza, że jest kosmitą.

- Nie kosmitą. Jest człowiekiem, tyle że z dwudziestego trzeciego wieku.

- I to wszystko?

- Może jest prostszy sposób, żeby cię przekonać.

- Wstała i wzięła Sunny za rękę. - Musisz wiedzieć, w co się wplątałaś.

Sunny skinęła głową.

Libby wyjęła z szuflady biurka przedmiot przypominający zegarek. Na oczach Sunny wyciągnęła z niego cienki przewód i przyłączyła do komputera.

- Podejdz - poprosiła.

Sunny ostrożnie zbliżyła się do biurka.

- Co to jest?

- Naręczny komputer Cala.

- Pracuję.

Sunny odskoczyła na dźwięk mechanicznego głosu.

- Jak to zrobiłaś?

- Łącząc technologię dwudziestego wieku z technologią dwudziestego trzeciego.

- Ale... ale...

- Jeszcze niczego nie widziałaś - ostrzegła ją Libby i zwróciła się w stronę ekranu. - Komputer, podaj informacje o Jacobie Hornblowerze.

- Hornblower, Jacob, urodzony w Filadelfii 12 czerwca 2224 roku. Astrofizyk, obecnie szef wydziału AP laboratorium Duran, Filadelfia. Ukończył prawo na Uniwersytecie Princeton w 2244 roku. Status AAA. Doktorat z astrofizyki w O'Bannion, 2248 rok. Grał w Międzygalaktycznej Lidze...

Sunny stłumiła histeryczny chichot.

- Stop - powiedziała.

Komputer zamilkł. Sunny na miękkich nogach cofała się, aż natrafiła na łóżko.

- To wszystko prawda?

- Tak. Weź głębszy oddech - poradziła jej Libby.

- Trzeba trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

- Powiedział mi, że zajmuje się podróżami w czasie. Dobre sobie... - Zamknęła oczy. To sen, powiedziała sobie, tylko zabawny sen. Gdy jednak znów je otworzyła, w otoczeniu nie zaszły żadne zmiany. - Chyba sobie ze mnie żartujecie. - Usłyszała trzaśnięcie drzwi i zerwała się na nogi. - Idę z nim porozmawiać. Natychmiast.

- Dlaczego nie... - Libby urwała, gdy Sunny wymięła ją pędem. - Nieważne. - Usiadła na łóżku.

Na dole Sunny wpadła jednak na Cala, nie na Jacoba.

- Gdzie on jest? - zapytała ostrym tonem.

- On... eee... wyszedł. Libby jest na górze?

- Tak. - Spiorunowała go wzrokiem. - Martwi się.

- Niepotrzebnie.

- Cieszę się, że wiesz, jakim jesteś szczęśliwym dupkiem.

- Ja też cię kocham.

Czuła tak dużą ulgę, że pocałowała go w policzek. Później, postanowiła. Później sobie to wszystko przemyśle. I prawdopodobnie zwariuję. Na razie jednak mam coś do zrobienia.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie jest twój kochany braciszek. I nie próbuj mnie zbyć. Libby mi wszystko powiedziała.

- Co ci powiedziała?

Przechyliła głowę.

- Jest już za późno na powitanie cię w dwudziestym wieku?

Uśmiechnął się.

- Nie. J.T. jest w swoim statku. To jakieś pięć kilometrów na północny wschód. Wystarczy jechać po śladach. - Chwycił ją za ramię. - Teraz jest mu ciężko, Sunny. Zraniłem go.

- Chyba nie tak bardzo, jak ja zamierzam go zranić.

Cal chciał jeszcze coś dodać, lecz przypomniał sobie, że Jacob sam potrafi o siebie zadbać. Wszedł na górę.

Libby siedziała na łóżku, patrzyła ponuro w kierunku okna.

- Cześć.

Drgnęła, potem spróbowała się uśmiechnąć.

- Cześć. - Zanim zdążył coś powiedzieć, wstała. - Mam dużo do zrobienia. Jeszcze nie skończyłam się rozpakowywać, a trzeba przecież przygotować uroczystą kolację.

- Poczekaj. - Objął ją, zanim zdążyła odejść. - Kocham cię, Libby.

- Wiem.

- Nie, chyba nie wiesz. - Delikatnie odsunął ją, żeby spojrzeć jej w oczy. - Jak mogłaś pomyśleć, że wyjadę?

Pokręciła głową.

- Usiądź - poprosił.

- Caleb, nie wiem, co ci powiedzieć. - Usiadła. Splotła palce, żeby zapobiec ich drzeniu. - Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz. Spotkałeś brata, którego miałaś nigdy nie ujrzeć. Przypomniał ci o wszystkim, z czego zrezygnowałeś.

- Już skończyłaś?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- J.T. dał mi kopię listu, który znalazł w zakopanym przez nas pojemniku. - Usiadł koło żony, ujął jej dłoń. - Nie przeczytał go. Jest nadal w kopercie.

- Jak mógł zrobić kopię, skoro list jest w kopercie? - Zorientowała się, że palnęła głupstwo i roześmiała się cicho. - No tak, dziwne pytanie.

Wyjął z kieszeni kopertę. Libby zmarszczyła brwi. Papier jest inny, stwierdziła, gdy go dotknęła. Grubszy i mocniejszy. Prawdopodobnie to w ogóle nie jest papier, pomyślała, przynajmniej nie taki, jakiego my używamy.

- Wracając ze statku, zatrzymałem się, żeby go przeczytać. - Rozłożył list na kolanach. - Nawet gdybym zwariował i postanowił cię opuścić, ten list sprowadziłby mnie z powrotem. Musiałbym jakoś wrócić.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem. - Pocałował ją w rękę. - Ten list bardzo wiele dla mnie znaczy. Pamiętasz, co napisałaś?

- Mniej więcej.

- Napisałaś, co naprawdę myślisz?

- Tak.

- Więc ucieszy cię zapewne, że znalazłem się już tam, gdzie jest moje miejsce. - Pocałował ją. - Ty też.

Sunny bez trudu odnalazła ślady landrowera. Z ponurą miną zacisnęła ręce na kierownicy. Nie rozmyślaj, jeszcze nie teraz, nakazała sobie. Skup się na prowadzeniu, bo zaraz walniesz w drzewo.

Gdy zobaczyła statek, wielki jak dom, wcisnęła za mocno hamulec i wpadła w poślizg. Pomyślała, że

statek towarowy Cala musiał być jeszcze większy. Gładka, biała powierzchnia pojazdu kosmicznego błyszczała w słońcu. Sunny dostrzegła coś, co przypominało okno. Nagle stanął w nim Jacob.

Widok Jacoba w czymś, co w ogóle nie powinno istnieć, zmienił jej zdumienie w furję. Wskoczyła z samochodu i pobiegła w kierunku statku.

Jacob przesunął dźwignię. Drzwi powoli się rozsunęły, pojawiły się schodki. Wspięła się na nie. Jacob podał jej rękę i pomógł wejść do środka.

- Sunny, ja...

Nie dokończył, gdyż pięść Sunny wylądowała na jego szczęce. Zobaczył gwiazdy, cofnął się chwiejnie i runął na podłogę.

Stanęła nad nim.

- Wstawaj, nędzny tchórze, żebym mogła znów cię uderzyć - zażądała.

Siedział na podłodze i rozcierał podbródek. Ciosu właściwie się spodziewał, nie spodobało mu się jednak, że nazwała go tchórzem.

- Jesteś zdenerwowana? - zapytał.

- Zdenerwowana? - syknęła. - Ja ci dopiero pokażę zdenerwowanie.

Ponieważ najwidoczniej nie zamierzał wstać, rzuciła się na niego. Potężnym ciosem odebrała mu oddech. Chwycił ją za rękę.

- Cholera, Sunny, bo będę musiał zrobić ci krzywdę.

- Zrobić mi krzywdę? - Zaatakowała. Choć po chwili udało się mu znaleźć na górze, kopnęła go kolanem w krocze, tak że opadł na nią bezwładnie.  
- Złaż ze mnie, padalcu - zażądała.

Nie mógł się jednak poruszyć. Ból, zasłużony czy nie, zupełnie go sparaliżował. Teraz jego jedyny atut stanowił ciężar. Dopóki na niej leżał, nie mogła go bić.

- Sunny... - z wysiłkiem nabrał powietrza w płuca  
- wygrałaś - przyznał.

Zapał bojowy minął. Sunny postanowiła nie okazywać słabości. Postarała się, by nie zadrżał jej głos.

- Powiedziałam, żebyś ze mnie zszedł.

- Dobrze, jak tylko będę w stanie.

Udało się mu unieść nieco głowę.

Sunny bezgłośnie płakała. Duże łzy spływały jej po policzkach. Oszołomiony tym bardziej niż ciosami, Jacob pokręcił głową.

- Nie płacz - poprosił, ocierając jej łzy. Nie pomagało, w ich miejsce pojawiały się nowe. - Cholera, Sunny, przestań.

- Odczep się:

Stoczył się na bok. Chciał ją zostawić, żeby mogła się uspokoić. Zamiast tego przytulił ją, głaskał po włosach.

- Nie dotykaj mnie. - Czuła gniew i poniżenie. Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

- Wiem, ale muszę.

- Okłamałeś mnie.

- Tak. - Pocałował ją w czoło. - Przepraszam.

- Wykorzystałeś mnie.

- Nie. Dobrze o tym wiesz.

- W ogóle cię nie znam. - Spróbowała się odsunąć, lecz przyciągnął ją bliżej. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się. - Nienawidzę cię. Do końca życia będę cię nienawidzić.

Teraz płakała już głośno. Czuł na twarzy jej łzy. Nic nie powiedział. Nie miał nic do powiedzenia. Rozumiał ją i umiał sobie z nią poradzić, gdy walczyła. Teraz, bezbronna i łkająca w jego ramionach, stanowiła tajemnicę.

Tę inną Sunny także kochał.

Przytulała się do niego i nienawidziła się za to. Chciała go bić, chciała, żeby zapłacił za jej złamane serce, a mogła tylko przyjmować pocieszenie, które jej zaofiarował.

Ostrożnie wstał, nie wypuszczając jej. Musi ją uspokoić, ochronić. Chciał ją tak trzymać, aż łzy wyschną, aż ciało przestanie dygotać. Chciał jej udowodnić, że miłość do niej jest dla niego najważniejsza.

Nie mogła przestać płakać. Nie mogła się złościć. Mogła tylko znajdować pociechę w tym, że Jacob ją delikatnie obejmuje.

Zabrał ją do kabiny. Przyciemnione światła, miękkie łóżko z jasnoniebieską pościelą. Ściany też niebieskie. Położył się razem z Sunny na łóżku. Znów czuł na policzku wilgoć jej łez.

Łkała już ciszej, spokojniej. Pocałował ją delikatnie w czoło, potem w usta. Były wilgotne, jeszcze trochę drżały. Gdy dotknął ich palcem, odsunęła się i położyła na boku.

- Sunny. Proszę, porozmawiaj ze mną.

Nie odtrąciła jego ręki. Wpatrywała się w jasnoniebieską ścianę.

- Czuję się jak głupia. Płaczę z twojego powodu.

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Kłamstwo zawsze rani.

- Nie skłamałem. Tylko nie powiedziałem ci prawdy. Zamierzałem ci powiedzieć. Dzisiaj.

Niemal się roześmiała.

- W dwudziestym trzecim wieku nadal używa się tej starej wymówki?

Wypowiedziała te słowa. Dwudziesty trzeci wiek. Znalazła się w czymś, co można było nazwać statkiem kosmicznym, z człowiekiem, który urodzi się dopiero za dwieście lat. Wolałaby, żeby okazało się to snem. Ból odczuwała jednak bardzo realnie.

- Przyleciałem po brata - powiedział. - Nie chciałem cię uwieść, potem nie chciałem się zakochać. Wszystko stało się zbyt szybko. Proszę, spójrz na mnie.

Pokręciła głową.

- Po prostu o tym zapomnijmy, J.T. Ktoś taki jak ty uważa pewnie, że kobieta mu się należy, w każdym stuleciu.

- Poprosiłem, żebyś na mnie spojrzała. - Niecierpliwie chwycił ją za ramiona i odwrócił. - Kocham cię.

To ją zaskoczyło.

- Najwidoczniej zmieniło się znaczenie tego słowa. Nie przejmuj się, nic mi nie będzie.

- Czy ty mnie słuchasz?

- Nieważne, co powiesz.

- Co więc ci szkodzi posłuchać?

Poczuła, że zaraz znów się rozpłacze.

- Nigdy nie zamierzałeś ze mną zostać. Właściwie, nie mam cię za co winić. Niczego mi nie przyrzekałeś. Ja jednak uważam, że nie postępowałeś uczciwie.

- To było zbyt skomplikowane. Nie wiedziałem, jak zareagujesz.

- Mogłeś przynajmniej spróbować.

- Mogłem, ale... - Chciała się znów odwrócić, lecz ją przytrzymał. - Wymagasz uczciwości, więc posłuchaj. Przy tobie nie byłem w stanie logicznie myśleć. Nie wiedziałem, co zrobić. Uważałem, że nie mogę ci O wszystkim powiedzieć. Potem się zakochałem... Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekujesz. - Potarł dłonią policzek. - Sunny, gdyby to było możliwe, zachowywałbym się bardziej romantycznie. Z tym że nie mogę ci niczego podarować.

- Podarować<sup>1</sup>?- O czym u diabła mówisz?

- Chodzi mi o tradycyjne romansowanie. Wiesz, okazywanie uwagi, komplementy, podarunki.

- To najgłupsza wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałam. Jakie znowu romansowanie?- To jakiś pomysł z twoich czasów?- - Odepchnęła jego rękę. - Idiota. To nie ma nic wspólnego z prezentami i komplementami. Chodzi o uczucia, o wspólne marzenia. Także o uczciwość, może przede wszystkim o uczciwość. Rozumiesz?-

- Uczciwe postawienie sprawy.

Pocałował ją. Chciała go odepchnąć, lecz tym razem jego pocałunek był tak czuły... cudowny. Jej opór roztopił się jak śnieg na wiosnę.

Spojrzał na nią. Jak? Nieważne, powiedziała sobie.

Nie wiedział, że czułość może tak obezwładniać. I dawać poczucie takiego spełnienia. Chciał, żeby Sunny uwierzyła w jego miłość.

- Kocham cię.

Powtarzał te słowa wielokrotnie.

Nie mogła się temu oprzeć. Gdy znów ją pocałował,

nie odsunęła się. Cierpliwie przebiegał wargami po jej ustach, nie spieszył się.

Czas, pomyślał. Wezmą wszystko, czego potrzebują. Gdy czas upłynie, Sunny będzie wiedziała, że Jacob nie pokocha już nigdy nikogo.

Rozebrał ją. Powoli, bez pośpiechu. Guzik po guziku rozpiął koszulę.

Sunny się poddała. Podciągnęła mu sweter, tak by czuć ciepło jego skóry. Wystarczało jej to, co miała dziś. Mogła zapomnieć o wszystkich innych dniach, przeszłych i przyszłych. Gdy go całowała, czuła się tak, jakby robiła to po raz pierwszy. Jakby kochała po raz pierwszy.

To zapamięta. Jego zapach, słowa miłości, które szeptał jej do ucha. Nie obietnice. Nie może być żadnych obietnic. Nieważne. Wystarczało, że mogła zatopić spojrzenie w jego zielonych oczach, zagubić się w łagodnym dotyku jego rąk.

Oczarowała go, aż uwierzył, że będą tu zawsze razem, sami, słysząc tylko siebie, czując tylko swe ciała.

Wszedł w nią, ona go przyjęła. Czas jakoś cudownie zastygł w miejscu.

Obudziła się w ciemności. Poczwała strach. Była w łóżku sama. Odszedł. Chciała krzyknąć, lecz opanowała się.

Nie mógł odejść. Leżała przecież w jego łóżku. Nie ruszała się, próbowała myśleć.

Kochał się z nią tak słodko, tak cierpliwie. Jakby na pożegnanie. Teraz się już nie rozpłaczę, postanowiła. Płacz niczego nie rozwiązuje. Jeśli kocha

Jacoba, a kocha, może zrobić tylko jedno. Postara się być silna.

Ubrała się po ciemku i wyszła z pokoju. Natknęła się na innąabinę, mniejszą niż Jacoba, pomalowaną na ten sam bładoniebieski kolor. Przeszła przez pomieszczenie, chyba kuchnię, o czym świadczył pusty karton po jakimś napoju, gładki, wąski blat i metalowe drzwiczki w ścianie, które można było uznać za coś w rodzaju kuchenki.

Znalazła Jacoba na mostku. Siedział przy konsoli sterowania. Miał na sobie tylko dżinsy. Odsłonięty ekran ukazywał panoramę lasu i odleglejszych szczytów. Jacob patrzył na ekran i mówił do komputera.

- Ustaw współrzędne na 1500 godzin.
  - Potwierdzam.
  - Preferowane lądowanie jak najbliżej położenia, dnia i godziny startu.
  - Zrozumiałem.
  - Oszacuj czas lotu.
  - Pracuję. Około trzech godzin i dwudziestu dwóch minut od przyjęcia kursu na orbitę Słońca. Czy potrzebne dokładniejsze obliczenia?
  - Nie.
  - Jacob.
- Odwrócił się, cicho zaklął.
- Wyłącz się.
- Z ekranu komputera znikły liczby.
- Myślałem, że śpisz.
  - Spałam. - Cisnęły się jej na usta oskarżenia, groźby, błagania. Nie. Przyrzekła sobie, że będzie silna.
  - Wracasz.

- Muszę. - Wstał i podszedł do niej. - Sunny, próbowałem znaleźć inny sposób. Nie ma żadnego.

- Ale...

- Kochasz swoich rodziców?

- Tak, oczywiście.

- A ja swoich. - Wziął ją za rękę. - Nie będę ci opowiadał, przez co wszyscy przeszliśmy, myśląc, że Cal nie żyje. Moja matka... Jest bardzo silna, jednak strasznie cierpiała. Dniami, tygodniami.

- Przykro mi. Mogę sobie tylko wyobrazić, co czuliście.

Pokręcił głową. Nawet teraz trudno mu było mówić o tych dniach.

- Potem, gdy poznaliśmy prawdę, rodzice starali się ją zaakceptować. Cal żył, a to oczywiście najważniejsze. Ale dla nich... myśl, że już nigdy go nie zobaczą... Może teraz będzie lepiej, gdy opowiem im, że Cal jest tu szczęśliwy, powiem o dziecku.

- Jakim dziecku?£

- Cal, to znaczy Libby nosi w sobie dziecko. Nie powiedziała ci?

- Nie. - Przycisnęła dłoń do skroni. - Wszystko się tak poplątało. A ja... Libby jest w ciąży. - Roześmiała się cicho i opuściła rękę. - Co o tym myślisz?- Będę mieć siostrzenicę czy siostrzeńca? A ty... bratanicę albo bratanka.

W mrocznym świecie błysnął nareszcie promyk słońca, nadziei.

- Ciąża trwa dziewięć miesięcy - powiedziała, siłąc się na obojętny ton. - Chociaż nie sądzę, żebyś zamierzał na to poczekać.

- To byłoby zbyt ryzykowne, ktoś mógłby zauważyć statek. Poza tym moi rodzice muszą się dowiedzieć o życiu Cala, o dziecku. Mają zostać dziadkami.

- Oczywiście.

- Gdybym mógł zostać... Nie ma nic ważniejszego, niż to, co odnalazłem w tobie. Musisz mi uwierzyć.

Starła się zachować spokój, mimo że jej świat właśnie rozpadał się na kawałki.

- Wierzę, że mnie kochasz.

- Kocham, ale gdybym nie wrócił, gdybym nie zrobił dla rodziców przynajmniej tego, nie mógłbym z tym żyć.

Odwróciła się. Rozumiała to aż za dobrze.

- Kiedyś, gdy miałam dziewięć czy dziesięć lat, wyszłam z domu. Mieszkaliśmy tu wtedy w lecie. Myślałam, że znam dobrze las. Zgubiłam się jednak. Spędziłam noc pod jakimś drzewem. Gdy mama i tata znaleźli mnie następnego dnia... Nigdy przedtem nie widziałam płaczącego ojca.

- Wiesz więc, dlaczego nie mogę po prostu odwrócić się do nich plecami.

- Tak, oczywiście. - Zdobyła się na uśmiech. — Przepraszam, że urządziłam taką scenę.

- Daj spokój.

- Nie, naprawdę. Nie miałam prawa powiedzieć tego, co powiedziałam. Nie wiem tylko, jak ty się czułeś przez te tygodnie. Musiałeś się maskować, dopasować do innej rzeczywistości, czekając na powrót Cala.

- Nie było tak źle. Miałem ciebie.

- Tak. - Chciała go pogłaskać, lecz opuściła rękę.  
- Cieszę się, że mnie miałeś. Chcę, żebyś to wiedział.

- Sunny.

- Kiedy startujesz?

Odsunęła się, żeby nie mógł jej dotknąć. Gdyby to zrobił, zaczęłyby dygotać.

- Jutro.

- Tak szybko?

- Pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Dla wszystkich.

Dziwiła się, że sztuczny uśmiech nie rozerwał jej twarzy.

- Chyba masz rację. Czy nie powinieneś jednak spędzić więcej czasu z Caem?- Przebyłeś długą drogę.

- Rano z nim porozmawiam. I z Libby - dodał.

- Muszę ją przeprosić.

Tym razem uśmiech przyszedł jej łatwiej.

- Oni do siebie pasują, widzisz to, prawda?

- Musiałbym być ślepy, żeby nie widzieć.

Poczuła się pewniej.

- Chciałabym spędzić tę noc tutaj, z tobą.

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Wróć. - Gdy pokręciła głową, odsunął ją na odległość ramion. Zobaczyła w jego oczach miłość i gniew. - Wróć. Przysięgam. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu na przeprowadzenie testów. Przez dwa lata opracuję wszystko tak, że podróż stanie się całkowicie bezpieczna, jak wahadłowcem na Marsa.

- Wahadłowcem na Marsa - powtórzyła bez przekonania.

- Zaufaj mi. Gdy wszystko przygotuję, będziemy mieć dla siebie więcej czasu.

- Więcej czasu - powtórzyła i zamknęła oczy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyszła, zanim się obudził. Uznała, że tak będzie najlepiej. W nocy ogóle nie spała. Leżała tylko z otwartymi oczami i rozmyślała.

Jacob włączył muzykę, piękny utwór jakiegoś kompozytora, o którym nawet nie słyszała. Bo jeszcze się nie urodził. Wyregulował światło tak, że pomieszczenie zdawało się tonąć w świetle księżyca.

Żeby stworzyć romantyczny nastrój. Teraz już to rozumiała, kochała go za to. Chciał w tę ostatnią noc dać jej jak najwięcej. I dał wszystko, oprócz tego, czego potrzebowała najbardziej. Oprócz przyszłości.

Powoli dojeżdżała do domu. Jak mogłaby ponownie się pożegnać? Są rzeczy, których nie sposób powtórzyć. Miała tylko nadzieję, że Jacob to zrozumie.

Zatrzymała samochód. Siedziała przez chwilę, obserwując promienie słońca, barwiące skrzące się od lodu gałęzie drzew. Wsłuchiwała się w niemal doskonałą ciszę. Czuła w powietrzu nadchodzący śnieg.

Powoli wysiadła i weszła do domu. Po cichu wślizgnęła się do kuchni.

Libby zostawiła w oknie światło. Widok starej lampy naftowej sprawił, że do oczu Sunny znów napłynęły łzy. Przełknęła je i usiadła przy stole. Dotknęła palcami drewna, jak Jacob trzy tygodnie wcześniej. To było tak dawno...

- Wcześniej wstałaś.

- Cześć - uśmiechnęła się - mam.

Libby odruchowo położyła rękę na brzuchu.

- Jacob ci powiedział? To dobrze.

- Wspaniała wiadomość jest dobra niezależnie od źródła. - Wstała i podeszła do siostry. Dziecko oznaczało radość. Uczepiła się tej myśli.

- Nie masz mdłości?

- Nie, nigdy nie czułam się lepiej.

- Pewnie, poza tym na pewno Cal cię rozpieszcza.

Sunny dostrzegła w oczach siostry smutek.

- A co z tobą?

- W porządku. - Poczowała, że nie może stać. Wróciła na swoje miejsce przy stole. - Przepraszam, że tak bez słowa wybiegłam.

- Nieważne.

Libby miała na sobie obszerny sweter. Sunny przyjrzała się jej i uznała, że jej siostra nie była nigdy piękniejsza. Zastanawiała się, czy ona też urodzi kiedyś dziecko.

- Zrobiłam mu awanturę.

- To dobrze - odparła Libby. Napełniła czajniczek wodą i postawiła go na kuchence. - Zjesz śniadanie-

- Może później.

- Sunny, tak mi przykro.

- Nie ma powodu. Wierz mi, wszystko jest w porządku.

- Naprawdę go kochasz.

- Tak, kocham go.

Libby żałowała, że nie może się podzielić z siostrą swoim szczęściem.

- Cal mówi, że J.T. chce udoskonalić podróże w czasie. Sprawić, by stały się bezpieczniejsze.

- Tak, powiedział mi.

- On jest bardzo mądry, Sunny, naprawdę mądry. To nie są jakieś przechwałki Cala. Przeczytałam resztę jego akt. Zresztą dowiódł tego, przygotowując tę podróż tylko dwa lata. Gdy zakończy próby, wróci tutaj.

- Mam nadzieję, że mu się uda. - Zamknęła oczy.

- Naprawdę mam nadzieję. - Nagle się roześmiała.

- Niesamowite, siedzimy tutaj i rozmawiamy o podróży w czasie, jak o jakimś drobnym problemie technicznym. Nadal nie wiem, czy to nie sen.

- Ja wciąż budzę się z uczuciem, że wszystko sobie tylko wyobraziłam.

- Ale ty masz Cala - zauważyła Sunny.

- Sunny, gdybym... - Przerwała, gdyż do pokoju wszedł Cal. Uniosła ramiona, potem je opuściła. - Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

- Nie, poradzę sobie. Obiecuję.

- No, to idę się przejść - obwieściła Libby. - Cal, zajmij się herbatą, dobrze?

Spojrzeli na siebie znacząco.

- Jasne.

Sunny zorientowała się od razu, że zaaranżowali to małe przedstawienie, by Cal mógł z nią porozmawiać w cztery oczy.

- Co chcesz? - zapytał. - Płatki czy przypaloną grzanekę<sup>1</sup>?

- J.T. naprawił opiekacz.

- Tak? - Woda się zagotowała, co dało mu kolejny moment na przygotowanie wypowiedzi. - Sunny... chyba przed zmrokiem spadnie śnieg.

- Cal, dlaczego się nie rozluźnisz? Nie zamorduję Jacoba.

- Nie tego się obawiam. - Nalał wodę do dwóch filiżanek. - Przynajmniej nie tak bardzo. Chodzi raczej o wyjaśnienia.

- Że twój brat jest porąbany? Wiem.

- Jest także wrażliwy.

To ją trochę rozbawiło.

- Mówimy o tym samym człowieku? Jacobie Hornblowerze? Astrofizyku? Tym upartym, z paskudnym charakterem?

Trafny opis, uznał.

- Chodzi mi o to, że jest bardzo przywiązany do najbliższych. - Niepewnie postawił filiżanki na stole.

- Na przykład jako dziecko połowę bijatyk odbył dlatego, że ktoś mi dokuczył. To mi się nie podobało, bo chciałem sam o sobie dbać. A rodzice... Nie zdarzyło się, żeby zapomniał o urodzinach albo Dniu Matki.

- Nadal obchodzicie Dzień Matki<sup>1</sup>?

- Pewnie.

- Cal. - Posłodziła herbatę. - Jak to się stało, że postanowiłeś zostać?

- Nie postanowiłem. To znaczy, słowo „postanowić” nie za bardzo pasuje. Zakłada wybór. A ja nie mogłem zostawić Libby. Próbowałem, ale nie mogłem. Nigdy jednak nie zapomniałem o rodzinie.

- Tak czy inaczej, to musiało być dla ciebie trudne.

- Trudne? Tak, ale nie zapominaj, że nie miałem pewności, czy uda mi się wrócić. - Położył rękę na jej dłoni. - Z J.T. jest inaczej. On wie, że doleci do domu i że jeśli tego nie zrobi, odbierze rodzicom nadzieję. Nie może postąpić inaczej.

- Nie, nie może. - Uniosła głowę. - Tobie też musi być ciężko.

- Przeżyłem najlepszy rok swego życia.

- Ale konieczność przystosowania się, rozłąka...

- Dopóki mam Libby, nic innego się nie liczy.

- A ona na szczęście ma ciebie.

- Lubię tak myśleć. - Uśmiechnął się, lecz po chwili spoważniał. - On cię kocha, Sunny.

- Powiedział ci to?

- Tak, ale nawet nie musiał. Zorientowałem się od razu, kiedy po raz pierwszy wypowiedział twoje imię. Chcę ci powiedzieć, że on nigdy nie czuł do nikogo tego, co do ciebie.

- Pomożesz mi, Cal Wyszłam, zanim się obudził.

- Zacisnęła wargi, żeby nie zadrżały. - Nie mogę się z nim pożegnać.

Libby stała przy strumieniu. Patrzyła, jak woda toruje sobie drogę przez lód. Oczyma wyobraźni zobaczyła wiosnę, gdy woda opływa kamienie i zewsząd dochodzi śpiew ptaków. Trawa jest miękka i zielona.

Właśnie tutaj ona i Cal zakopali pojemnik. Tutaj się kochali, gdy ze złamanym sercem myślała jeszcze, że ją opuści.

Został jednak. Nie on, lecz jego brat wykopał skrzynkę. Teraz cierpi nie ona, lecz jej siostra.

Nie mogła jej pomóc.

To nie w porządku, pomyślała, że ja mam wszystko, a Sunny nic. Mam Cala, dom, dziecko. Dziecko, które urodzi się wiosną i jeszcze mocniej scementuje ich związek.

Sunny pozostaną tylko wspomnienia.

Nagle zobaczyła Jacoba. Stał zaledwie dwa metry od niej. Nie słyszała, jak się zbliżał, gdyż śnieg stłumił odgłos kroków. Zobaczyła, jak bardzo przypomina Cala. Z twarzy, sylwetki. Zastanawiała się, jak długo stał i w milczeniu się jej przyglądał.

Nie podeszła do niego. W końcu skradł serce jej siostrze. I złamał je.

- Cal jest w domu - poinformowała go chłodno.

Okazuje gniew inaczej niż Sunny, pomyślał. Sunny krzyczy, atakuje. Libby najwidoczniej skrywa uczucia. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, że i tak wszystko po niej widać.

- Chciałem porozmawiać z tobą.

- Nie przekonasz mnie w żaden sposób, żebym namówiła Cala do powrotu. Wybór należy do niego. Tak samo jak za pierwszym razem.

- Wiem. - Podeszedł do niej. - Rozumiem to i akceptuję, choć nie przypuszczałem, że tak się stanie. A rodzice... Sądzę, że to będzie miało dla nich ogromne znaczenie, gdy opowiem im o tobie. I o dziecku.

- On za nimi tęskni. Powinni o tym wiedzieć.  
 - Dowiedzą się.  
 - Dlaczego jej nie powiedziałeś?- - zapytała. - Jak mogłeś dopuścić, żeby zakochała się w tobie, skoro wiedziałeś, że nie zostaniesz?

Włożył dłonie do kieszeni, żeby nie zobaczyła, jak je zaciska.

- Poświęciłem dwa lata, żeby się tu dostać. W jednym celu. Znaleźć brata i sprowadzić go do domu.

Spojrzała na niego ostro.

- Nie mogłeś go zmusić.

- Nie. - Niemal się uśmiechnął. Chyba przypominała Sunny bardziej, niż się na początku wydawało. - Ja też nie mogę mieć Sunny - zauważył. - I muszę z tym żyć. Nie tylko ona się zakochała. Nie tylko ona ponosi stratę.

- Ale ty wiedziałeś, co robisz.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach rozpacz.

- Ty przez jakiś czas sądziłaś, że Cal odleci. Czy z tego powodu przestałaś go kochać?

- Nie. - Westchnęła cicho. - Nie, nie przestałam.

- Sunny jest silna. - Teraz, gdy Libby okazała zrozumienie, coraz bardziej tracił pewność siebie. - Jeśli nie uda mi się wrócić, pogodzi się z tym.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Muszę. - Czuł ból, przyłożył dłoń do czoła. Powiedział przed chwilą to, czego nie odważył się powiedzieć Sunny. - Procedura nie jest doskonała. Tym razem spóźniłem się o kilka miesięcy. Następnym razem mogą to być lata.

Uśmiechnęła się do niego.

- Znam się na ludziach. Wiem, czym jest prawdziwa miłość. Jest czymś bardzo rzadkim. Nie można jej po prostu przyjmować, J.T., trzeba ją pielęgnować.

Spojrzał na pokrytą śniegiem ziemię.

- Będę o niej myślał każdego dnia, do końca życia.

- Nie znasz słowa kompromis?

- Jaki? W tej sytuacji czegoś takiego nie ma. Mogę tylko robić wszystko, by znów tu wrócić.

Pocałowała go w policzek. On ją objął.

- Dbaj o nią. No i o Cala - poprosił.

Uściskała Jacoba i uśmiechnęła się, widząc, że podchodzi do nich Cal. Jeszcze raz pocałowała Jacoba w policzek i puściła go, żeby wyciągnąć rękę do Cala.

- Może pójde zrobić śniadanie? - zaproponowała.

- Dziękuję. Kocham cię - odpowiedział jej mąż.

Uśmiechnęła się i ruszyła w kierunku domu.

Cal zwrócił się do brata:

- Sunny wcześniej wróciła. - Położył rękę na ramieniu Jacoba, żeby go zatrzymać. - J.T., ona prosiła, żeby ci powiedzieć, że życzy szczęśliwej podróży, ale nie może się po raz drugi z tobą żegnać.

- Do diabła z tym.

- Jacob. - Cal zrobił krok, żeby zagrozić bratu drogę. - Wierz mi, tak chyba będzie dla niej najlepiej. Nie próbuj już z nią rozmawiać.

- Według ciebie to takie proste?

- Nie twierdę, że to jest proste. Chyba nikt nie rozumie cię tak dobrze jak ja. Powtarzam jednak, jeśli ją kochasz, pozwól, żeby stało się tak, jak ona chce.

Jacob uniósł rękę i zrobił kilka kroków. Czuł ból. Nie chciała nawet zobaczyć go po raz ostatni.

- Niech będzie. Powiedz jej...

Odszedł. Nie umiał *znaleźć* słów, które oddałyby jego uczucia.

- Ona i tak wie - stwierdził Cal.

Po południu odwieźli go do statku. Jacob zastanawiał się, czy Sunny widzi przez okno, jak znikają w lesie.

Cal mówił coś nieustannie, jakby chciał wypełnić pustkę słowami. Jacob widział, że brat przez cały czas trzyma mocno Libby za rękę.

Ja nie mam nawet tego, pomyślał.

Przeklinając prośbę Sunny, wysiadł z samochodu.

- Opowiem wszystko mamie i tacie.

Cal skinął głową.

- Wracaj do laboratorium. Fajnie by było, gdybyś przyleciał i przywiózł ich z wizytą.

- Wrócę.

Objęli się.

- Kocham cię, J.T.

Jacob zwrócił się do Libby:

- Powiedz siostrze, że znajdę sposób, by wrócić.

- Dobrze. - Libby podała mu kopertę. - Sunny prosiła, żeby ci to dać. Musisz jednak przyrzec, że przeczytasz, dopiero gdy wrócisz do swoich czasów.

Wyciągnął rękę, Libby jednak cofnęła swoją.

- Najpierw przyrzeczenie. Cal powiedział, że można ci zaufać.

- Nie otworzę wcześniej. - Starannie złożył kopertę i wsunął ją do kieszeni. Pocałował Libby. W jeden policzek, potem w drugi. - Trzymaj się, siostrzyczko.

- Ty też.

Gdy Jacob wchodził do statku, wtuliła twarz w ramię Cala.

- On wróci, Libby. - Caleb uniósł rękę w geście pożegnania. Pocałował mokry policzek żony. - To tylko kwestia czasu.

Jacob skupił się na czynnościach związanych ze startem. Nic trudnego, nie chciał jednak myśleć o niczym innym. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Wiedział, że będzie bolało, nie wyobrażał sobie jednak, że aż tak.

Włączył zapłon. Spojrzał na ekran, żeby się upewnić, że Cal i Libby oddalili się na bezpieczną odległość. Spojrzał jeszcze na las, w nadziei, że zobaczy tam Sunny. Nie zobaczył. Przesunął dźwignię.

Statek oderwał się od ziemi łagodnie, niemal bezszelestnie. Jacob podrywał go powoli, aż Cal i Libby stali się tylko plamkami na tle zieleni lasu i szarości skał. Potem westchnął, otworzył szeroko przepustnicę. Statek wystrzelił w górę. Zwykle w takim momencie Jacob się uspokajał. Teraz nie chciał.

Uruchomił komputer.

- Włącz współrzędne na Słońce.

- Włączone.

Ziemia wyglądała teraz jak ładna, kolorowa piłka.

Prowadził statek niemal mechanicznie, ominął niewielki deszcz meteorów. Łatwe, pomyślał. Żadnych innych statków, patrolowców, z którymi trzeba by się komunikować, punktów kontrolnych.

Wprowadził statek w hiperprzestrzeń. W napięciu obserwował, jak pojazd zmierza ku Słońcu. Spojrzał

obojętnie na wskaźnik zewnętrznej temperatury. Wzrosła. Opuścił pokrywę, teraz leciał na ślepo. Sprawnie, lecz bez tej pasji, jaką odczuwał, gdy pokonywał po raz pierwszy tę drogę.

Zwiększył prędkość. Choć był na to przygotowany, odczuł boleśnie siłę grawitacji, która wcisnęła go w fotel. Zaklął. Teraz, choć jego serce pozostało kilka tysięcy kilometrów niżej, nie miał już odwrotu.

Czuł, jak po plecach ścieka mu strużka potu. Rzut oka na wskaźniki wystarczył, by stwierdzić, że się udało.

Udało się, pomyślał gorzko. Podniósł osłonę, by zobaczyć świat swoich czasów. Wyglądał tak podobnie. Gwiazdy, planety, atramentowa ciemność. Tyle że więcej satelitów. W oddali błysnęło światło. Wiedział, że to laboratorium badawcze. Za mniej niż trzydzieści minut znajdzie się na szlaku komunikacyjnym. Nie będzie już sam. Odchylił się w fotelu i zrozpaczony zamknął oczy.

Nie ma jej.

Los rzucił go do niej, potem mu ją zabrał. Los, pomyślał, i mój własny intelekt. Muszę się nim posłużyć. Choćby miało mi to zająć całe życie, muszę się z nią znów połączyć. Wrócę. Obliczę wszystko tak, żeby wrócić niemal w chwilę po wyjeździe.

Powoli wyjął z kieszeni list. Tylko to mu po niej zostało. Wiadomość. Jaka? Kilka słów, zapewnienie o miłości i pamięci. To nie wystarczy, pomyślał z rozpaczą i rozerwał kopertę.

Znalazł tylko jedno słowo: Niespodzianka!

Wpatrywał się ze zdumieniem w kartkę.

Niespodzianka? Co to ma oznaczać? Ze złością zmiął list. Przypomniawszy sobie jednak, że to ostatnia pamiątka i starannie wygładził papier.

Usłyszał coś i odwrócił się.

Stała w drzwiach. Śmiertelnie blada, lecz oczy błyszczały jej radością. Gdy patrzył na nią, nie mogąc ochłonać ze zdumienia, uśmiechnęła się.

- Widzę, że wiadomość dotarła.

- Sunny?

Wyszeptał to słowo. Był przekonany, że to halucynacja, jakiś uboczny efekt podróży w czasie. Muszę to zanotować, pomyślał.

Nie. Zerwał się z fotela, chwycił Sunny, przyciągnął.

Potem wpadł w popłoch.

- Co ty tu robisz? - zapytał, potrząsając nią. - Co ty tu u diabła robisz?

- Chyba zaraz zemdleję - odparła spokojnie.

- Nie.

Mimo wściekłości uniósł ją delikatnie i zaniósł na fotel.

- Boli cię głowa?

- Tak. - Przyłożyła dłoń do skroni. - Męcząca wycieczka.

- Mdłości?

- Trochę.

Nacisnął czarny, okrągły guzik, wysunęła się szufłada. Wyjął z niej pudełko, z pudełka małą pastylkę.

- Rozpuść na języku. Idiotka - dodał, choć usłuchała. - Nie jesteś przygotowana do podróży z taką prędkością.

Po zażyciu pastylki natychmiast poczuła się lepiej.

Odetchnęła głębiej i wyrzała. Przed nią rozciągała się galaktyka.

- Mój Boże. - Kolory, które powróciły na jej twarz, znów odpłynęły. - Niesamowite. To jest... czy to jest Ziemia?

- Tak. - Miał spocone ręce. - Sunny, czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś?

- Jak szybko teraz lecimy?

- Cholera, Sunny.

- Tak, wiem, co zrobiłam. - Spojrzała mu w oczy.

- Pokonałam razem z tobą czas, Jacob.

- Chyba zwariowałaś. - Miał ochotę nią potrząsnąć. - Jak mogłaś postąpić tak lekkomyślnie?

- Cal i Libby mi pomogli.

- Pomogli ci? Wiedzieli, że to planujesz?

- Tak. - Splotła ręce, gdyż zauważyła, że drżą. Nie chciała, żeby się zorientował, jak bardzo się bała.

- Zdecydowałam się wczoraj wieczorem.

- Zdecydowałaś się - powtórzył ze zgrozą.

- Tak. - Uniosła podbródek. - Rozmawiałam z Calem, powiedziałam mu, co zamierzam zrobić.

Już spokojniejsza, wyrzała przez ekran. Na niebie błyszczały światła. Gwiazdy. Choć przekraczało to wszelkie granice prawdopodobieństwa, pędziła właśnie przez kosmos z człowiekiem, którego kochała. I którego zawsze będzie kochać.

- Sunny, nie sądzę, żebyś rozumiała, co zrobiłaś.

- Rozumiem doskonale. Cal się sprzeciwiał. Bardziej ze względu na Libby niż na mnie. Ale Libby zrozumiała. Przywiozła mnie do statku po południu, kiedy rozmawiałeś z Calem.

- Twoi rodzice...

- Chcą, żebym była szczęśliwa. - Wypowiadając te słowa, poczuła jednak bolesne ukłucie w sercu. - Libby i Cal wszystko im wyjaśnia. - Ponieważ czuła się już dość pewnie, wstała i zaczęła spacerować po pokładzie. - Wiem, że będą się martwić, tęsknić za mną, gdyby powrót okazał się niemożliwy. Ale myślę, że ojcu, zwłaszcza ojcu, zaimponuje to, gdzie jestem.

Spojrzała na niego. Uśmiechała się.

- Żadne z nas nie uznaje kompromisów, J.T. Wszystko albo nic. Chyba właśnie dlatego tak do siebie pasujemy.

- Wróciłbym. Cholera, Sunny, powiedziałem ci, że wrócę. Za rok, dwa, no, może trzy.

- Nie chciałam tak długo czekać.

- Kretynko! Gdyby mi się udało udoskonalić procedurę, wylądowałbym u was pięć minut po dzisiejszym starcie. Rzecz jasna, w twoim czasie. Nie miałaś prawa podejmować takiej decyzji bez omówienia jej ze mną.

- To moja decyzja. Jeśli mnie nie chcesz, proszę bardzo, na pewno znajdę sobie jakiegoś przystojnego faceta. Może na Marsie. Potrafię o siebie zadbać, koleś.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę, tylko o to, co jest najlepsze dla ciebie.

- Sama wiem, co jest dla mnie najlepsze.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz chwycił ją za ramię.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał. - Na zewnątrz będzie można oddychać dopiero za kilka tysięcy kilometrów.

- To duży statek.

- Usiądź.

- Nie.

- Powiedziałem, żebyś usiadła. - Popchnął ją niezbyt delikatnie na fotel. - I zamknij się. Mam ci coś do powiedzenia.

Gdy oparła ręce na poręczach, uniósł pięść.

- Jeśli wstaniesz, przyrzekam, że cię palnę.

- Nie grzeszysz nadmiarem delikatności.

- Gdybym wiedział, co zamierzasz, uderzyłbym cię już wcześniej. Tu wchodziło w grę ryzyko, o jakim nawet nie masz pojęcia. Gdybym popełnił błąd w obliczeniach, nawet najdrobniejszy...

- Ale nie popełniłeś.

- Nie o to chodzi.

- A o co, Homblower?

- O to, że nie powinnaś była tego robić.

Prychnęła.

- Nie ma co o tym mówić, bo już się stało. Dlaczego nie przejdziesz do następnego punktu?

Teraz on sam musiał usiąść.

- Być może nigdy nie uda ci się wrócić.

- Wiem, liczę się z tym.

- A jeśli zmienisz zdanie?

- Jacob. - Wstała, podeszła do jego fotela i uklękła na podłodze. - Nie zmienię zdania, dopóki nie odmieni się moje serce. A tak się nie stanie.

Dotknął jej włosów.

- Nie mogłem cię o to prosić.

- Wiem. A gdybym sama poprosiła, znalazłbyś sto racjonalnych argumentów i wykazał, że muszę zostać. I myliłbyś się. Nie mogę bez ciebie żyć.

- Sunny.

- Spójrz na to inaczej. Zawsze czułam, że wyprzedzam swój czas, że urodziłam się w niewłaściwej epoce. Może w twojej pójdzie mi lepiej.

- Ale postąpiłaś głupio. Dzięki Bogu, że się udało.

- Więc nie jesteś już zły?

Pocałował ją.

- Kiedy się nie pożegnałaś, odczułem to jak cios w serce. Ale to nie miało znaczenia, bo i tak nie mógłbym bez ciebie żyć.

Do oczu napłynęły jej łzy, powstrzymała je jednak. Chciała się do niego tylko uśmiechać.

- Jakie to romantyczne i poetyckie.

- Tylko się nie przyzwyczajaj.

Nie wypuszczając jej z objęć, wychylił się, żeby skorygować tor lotu.

- Nauczysz mnie to prowadzić?- - zapytała.

Spojrzał na nią z ukosa. Była tu. Naprawdę była. I jest jego, na zawsze.

- Już się boję, co będzie, kiedy się dorwiesz do cruise ridera.

- Jestem pojętna.

- Właśnie tego się boję. Nie wiem też, czy mój świat jest przygotowany na spotkanie z tobą.

- Ale ty jesteś.

Pocałował ją.

- Byłem, przez całe życie.

- Nie mógłbyś włączyć automatycznego pilota?  
- zapytała.

- Teraz nie.

- A przedtem mogliśmy?

Spojrzał na ekran.

- Przedtem tak, ale teraz muszę uważać.

- A tak w ogóle, to jaki mamy rok?

- 2254.

- To znaczy, że mam 287 lat. Co sądzisz o starszych kobietach?£

- Szaleję za nimi.

- Kiedy skończę trzysta, dopiero ci pokażę.

- Liczę na to.

## EPILOG

Słyszeli huk łamiących się fal. Przez ścianę ze szkła widzieli przecinające niebo błyskawice i rozszalałe morze. W powietrzu unosił się zapach jaśminu. Pulsująca muzyka współgrała z odgłosem rozszalałego morza.

- Miałam rację - stwierdziła Sunny.

Jacob przekreślił się na łóżku i przyciągnął ją bliżej.

- Co do czego tym razem?

- Burzy. Wiedziałam, że to nie jest noc, światło księżycy czy tropikalny zachód słońca.

Tak, miała rację, lecz nie chciał tego przyznać.

- Jeśli chodzi o mnie, zjawiska atmosferyczne nie robią na mnie wrażenia.

- Tak?- Czy nie po to mnie tu przywiozłeś? Do miejsca, które mi kiedyś opisałeś?

- Chodziło o kilka dni relaksu.

- Rzeczywiście? Kiedy chcesz się zrelaksować?  
- Uśmiechnęła się i pocałowała go. - Teraz chyba nie jesteś zbyt rozluźniony?

Dotknął jej włosów.

- Jak długo jesteście małżeństwem?

Leniwie dotknęła przycisku, który miała w zasięgu ręki. W powietrzu ukazały się świetliste cyfry.

- Od pięciu godzin i dwudziestu minut.

- Rozluźnimy się za około pięćdziesiąt lat. - Dotknął jej nagiego ramienia. - Podoba ci się?

- Co?- Status mężatki?

- To także, ale chodziło mi o hotel.

- Bardzo. I wiesz, zabranie mnie tutaj jest najromantyczniejszym gestem, na jaki się zdobyłeś.

- Bałem się, że wolałabyś Paryż albo Kurort Intymności na Marsie.

- Zawsze możemy polecieć na Marsa - zauważyła, chichocząc. - Już niemal się do tego przyzwyczaiłam. Powiedziałam ci, że szybko się uczę.

- Jesteś tu już od sześciu miesięcy.

- Tak. Nie spieszyłeś się ze ślubem.

- Załatwiłbym to w sześć minut, gdybyście z ojcem doszli od razu do porozumienia.

- Załatwiłbyś? Załatwia się sprawę w urzędzie skarbowym.

- W jakim urzędzie?

- Nieważne. Załatwia się coś mało przyjemnego. Skoro małżeństwo ze mną jest tylko sprawą do załatwienia, to po co sobie zawracałeś głowę?

- Bo nie dałabyś mi spokoju. - Skrzywił się, gdy go uszczypnęła. - Bo przynajmniej tyle mogłem zrobić. Roześmiał się i przytrzymał ją, gdyż wbiła mu paznokcie w ramiona. - Bo jesteś cudowna.

- Mało.

- I niekiedy inteligentna.

- Próbuj dalej.

- Bo cię Kocham.

- Mam nadzieję. - Uszczęśliwiona objęła go za szyję. - Może było za dużo zamieszania, ale ślub wypadł wspaniale. Cieszę się, że twój ojciec namówił nas na coś tradycyjnego.

- Tak, to niezła ceremonia.

Gdy widział, jak ojciec prowadzi ją do ołtarza, ubraną w błyszczącą biel, po prostu oniemiał.

- Lubię twoich rodziców. Traktują mnie tak, że czuję się jak w domu. A najfajniej jest, kiedy powierzają mi mroczne sekrety rodzinne.

- Jakie na przykład?

- T. w J.T. - Gdy się skrzywił, uśmiechnęła się z satysfakcją. - Byłeś taki niedobry i niezdyscyplinowany, że...

- Byłem po prostu nietuzinkowym dzieckiem.

- ... tak uparty, że ojciec używał słowa „trudność” jako drugiego imienia. I T zostało.

- Jeszcze nie widziałaś prawdziwych trudności.

Lekko ścisnęła zębami jego wargę.

- Mam nadzieję, że zobaczę.

Pocałował ją i wstał z łóżka.

- Dokąd idziesz? - zapytała Sunny, siadając.

- Zapomniałem o czymś.

Oczywiście nie zapomniał, czekał tylko na stosowny moment. Wyregulował oświetlenie tak, że pokój wyglądał teraz jak skąpany w blasku świec. Po chwili Jacob podszedł do łóżka. Trzymał pudełko.

- Prezent - wyjaśnił.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeszcze nigdy niczego ci nie dałem.

- Podał pudełko Sunny. - Otworzysz w końcu, czy tylko będziesz się na nie gapić?

- Rozkoszuję się chwilą. - Przygryzła język i otworzyła pudełko. W środku zobaczyła czajniczek do herbaty. Pękaty, z fajansu, z ptakiem na pokrywce i wielkimi, brzydkimi stokrotkami na bokach. - Och, Boże.

- Chciałem, żebyś miała coś ze swoich czasów.

- Czuł się trochę głupio. Nie zamierzał zdradzać, że miesiącami przeszukiwał sklepy ze starzyzną. - Kiedy go zobaczyłem, to było... wiesz, jakby los. Nie płacz.

- Muszę. Przetrwaj, tak długo.

- To, co najlepsze, trwa.

- Jacob. - Trzymała czajniczek w dłoniach. - Nie mógłbyś znaleźć niczego, co znaczyłoby dla mnie więcej.

- Mam jeszcze jedną niespodziankę. - Usiadł koło niej, wyjął jej z rąk czajniczek i odstawił. - Chciałabyś na Boże Narodzenie odwiedzić rodzin?

Na chwilę zaniemówiła.

- Jesteś pewien?

- Tak, już prawie tam jesteśmy, Sunbeam. - Delikatnie otarł palcem łzę z jej policzka. - Zaufaj mi, to już niedługo.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Pracuj nad tym, ile chcesz. Mamy dla siebie całą wieczność.